

Drapieżca w domu | Bitwa o polskie plaże | Cuda na giełdzie | Psia depresja  
Schowani Konfederaci | Turcja i Grecja dzielą morze | Podróże tropem seriali

POLITYKA.PL

# POLITYKA

LIDER  
SPRZEDAŻY

TYGODNIK, nr 29 (3422), 12.07–18.07.2023

Cena 11,90 zł (w tym 8% VAT) nr indeksu 369195

## Imigranci: stary, nowy wróg PiS

Ilu ich jest w Polsce,  
jak żyją,  
gdzie pracują

RAPORT s. 12

USA 4,60 USD; KANADA 4,69 CAD; WIELKA BRYTANIA 2,50 GBP; SZWECJA 30 SEK; CZECHY 75 CZK; KRAJE STREFY EURO 4,95 EURO





Wypożyczalnia



Centrum testowe



Serwis



Diagnostyka silników Bosch



Serwis amortyzatorów



**SUPER  
OFERTA**

Kup rower Cube

**ODBIERZ 10%\***  
wartości roweru  
w akcesoriach  
i odzieży rowerowej



\* Oferta promocyjna na zakup akcesoriów i odzieży rowerowej marki Cube i RFR obowiązuje do dnia 31.07.2023. Promocja nie obejmuje rowerów hybrydowych oraz rowerów z serii Nuroad. Regulamin promocji w kasach sklepów i na [skiteam.pl](https://skiteam.pl)

**NASZE SKLEPY STACJONARNE SĄ OTWARTE 7 DNI W TYGODNIU**

Poniedziałek - Sobota **10:00 - 21:00** | Wszystkie Niedziele **11:00 - 18:00**

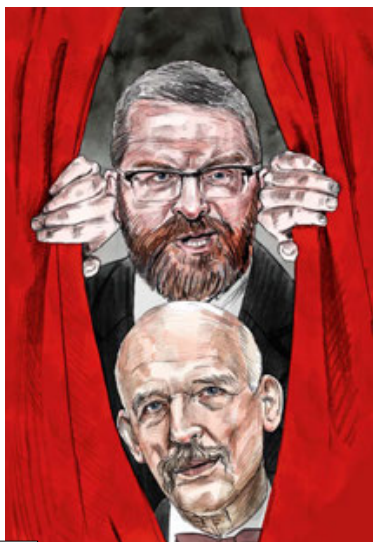


**WARSZAWA:** ul. KOR 36/38 | **WARSZAWA:** ul. Toruńska 107b | **POZNAŃ:** ul. Bułgarska 117a

**WROCŁAW:** CH Arkady Wrocławskie | **KATOWICE:** ul. Sportowa 20 (200m od CH Silesia)



16 **Złote piaski nad Bałtykiem**



23 **Żydzi, masoni i niskie podatki**



30 **Drapieżca w domu**

## Tematy tygodnia

- 12 Katarzyna Kaczorowska **Ten Obcy – raport o imigrantach w Polsce**  
 16 Ryszarda Socha **Spór o bałtyckie plaże**

## Polityka

- 20 Wojciech Szacki **Przewodnik wyborczy: daty, wydarzenia, scenariusze**  
 23 Przemysław Witkowski **Grzegorz Braun i Janusz Korwin-Mikke: ukryte twarze Konfederacji**  
 26 Rafał Kalukin **Roman Giertych i Ryszard Petru: niewygodni kandydaci**



## Społeczeństwo

- 30 Rozmowa z prof. **Marią Beisert** o kazirodstwie i jak mu zapobiegać  
 33 Agnieszka Gierczak-Cywińska **Nieudane psie adopcje**  
 36 Zbigniew Borek **Zarybić i zarobić – czyli nowy pomysł PiS na wyciąganie publicznych pieniędzy**  
 40 Marcin Kołodziejczyk **Puszcza Niepołomice: asy z piłkarskiej Ekstraklasy**



## Rynek

- 42 Adam Grzeszak **Akcje i manipulacje – czyli kulisy giełdowej afery dotyczącej elektrociepłowni Będzin**  
 45 Cezary Kowanda **Najem społeczny: dlaczego w Polsce to nie wychodzi**

## Świat

- 48 Łukasz Wójcik **TURCJA–GRECJA Traktat graniczny wygasa?**  
 50 Piotr Łukasiewicz **ROSKA Jewgienij Prigożyn: od kreatury do karykatury**  
 53 Jarosław Kuisz **FRANCJA Nastolatki na ulicach**  
 56 Marek Orzechowski **NIEMCY Skrajna prawica się umacnia**



## Nauka/projekt pulsar.pl

- 58 Agnieszka Krzemińska **Starożytna ekologia – czyli gdzie szukać początków ochrony środowiska**  
 61 Rozmowa z dr **Karoliną Zielińską-Dąbkowską** o skutkach ubocznych sztucznego światła

## Historia

- 64 Andrzej Krajewski **Polska Partia Przyjaciół Piwa: protoplaści ruchu Mentzena**

- 67 Tomasz Targański **Sydonia von Bork: czarownica z Pomorza**

## Kultura

- 74 Aneta Kyzioł **Set-jetting – czyli wakacje śladami serialowych bohaterów**



- 78 Dorota Szwarzman **Długowieczni muzycy**  
 80 Michał R. Wiśniewski **Geeki z PRL-u**  
 83 Jolanta Maria Berent **Neomelodia – czyli mafijne neolodie**  
 86 Mea Pulpa **Kuby Wojewódzkiego**

## Ludzie i style

- 92–97 • Wysoka wrażliwość • Gadżety bezpieczeństwa • Co dropnęło i kto sprigożynował • Trendy perfumierskie • Proste jedzenie wymaga wysiłku • Himalaizm się zmienia • Jak zrobić ser

## Stałe rubryki

- 4 Mleczko • 6 Przypisy  
 • 7 Ludzie i wydarzenia • 70 Afisz • 87 Sulej  
 • 88 Wicha • 89 Chutnik i Plebanek  
 • 91 Do i od redakcji • 98 Polityka i obyczaje



www.mleczko.pl

GALERIA ANDRZEJA MLECZKI: KRAKÓW, UL. ŚW. JANA 14

## Z ŻYCIA SFER

## Żywoty Adama

I oto Adam Bielan w pełni powrócił do łask prezesa, co potwierdzili bracia Karnowscy, zapraszając go do rozmowy o wyborach w swoich „Sieciach”. Już tyle razy spadał na cztery łapy, że należy mu się honorowy tytuł kota. Czy zalicza się do „tłustych kotów”? Trudno powiedzieć. Z oświadczenia majątkowego z 2021 r. wynika, że oprócz około pół miliona złotych oszczędności ma jeszcze tylko trzy mieszkania (warte w sumie trochę ponad 2,1 mln zł) i zaledwie trzy samochody (których nie wycenił). Rzecz jasna na wszystko to uczciwie zapracował m.in. jako poseł Parlamentu Europejskiego, do którego się przecież trzeba najeździć. Jednak kocia natura Adama Bielana objawia się także w wielości jego politycznych żywotów.

Zaczął jako poseł AWS w 1997 r. i jeszcze w tym samym życiu znalazł się w Stronnictwie Konserwatywno-Ludowym, ale długo tu nie wytrzymał. Szybko trafił do Przymierza Prawicy, które żyło krótko, więc musiał się inkarnować do kolejnej partii: PiS (był jej posłem i rzecznikiem). Tu środowisko było przyjazne, wytrwał aż osiem lat. W 2010 r. dała jednak o sobie znać natura drapieżnika. Po przegranych przez Jarosława Kaczyńskiego wyborach prezydenckich uciekł z – zdawało się – zagrożonego okrętu. Chwilę zabawił z gronem kolegów, którzy też zdecydowali się odejść z PiS i powołali partię Polska Jest Najważniejsza. Szybko się jednak z nimi skłócił, bo podejrzewano, że prowadzi poufne rozmowy o powrocie do PiS (ówczesna szefowa PJN Joanna Kluzik-Rostkowska podsumowała go: „Mogę się z Adamem

Bielanem kiedyś wódki napić, ale nie będę już z nim polityki robić, bo przestałam mu ufać”). On sobie nadal ufał, więc po okresie formalnej bezpartyjności w 2014 r. zapisał się do Polski Razem, świeżo upieczonej partii Jarosława Gowina, przekształconej w 2017 r. w Porozumienie Jarosława Gowina. To było piąte już wcielenie polityczne Adama, ale przecież nie ostatnie. Miał jeszcze do wykonania misję specjalną, by móc przejść do kolejnego życia. I wykonał ją. Kiedy Jarosław Gowin nie mógł się porozumieć z Jarosławem Kaczyńskim, Bielan postanowił pomóc prezesowi w pozbyciu się Gowina z rządu i próbował przejąć Porozumienie. Chociaż poległ w sądzie, partię Gowina skutecznie rozbił, a sam przeszedł do życia szóstego już jako szef powołanej przez siebie i dla siebie Partii Republikańskiej.

Kiedy w 2011 r. dywagowano, czy Bielan ma szansę wrócić do PiS, Joachim Brudziński żartował publicznie: „Serce i łaskawość lidera naszej partii są wielkie. Jeżeli Adam Bielan ubierze się w wór pokutny i do Canossy się uda, to (...) rozważymy taką możliwość”. Bielan to musiał zapamiętać. Tyle że zamiast założyć wór pokutny, w odpowiednim dla siebie momencie wsadził do wora partyjnych kolegów. Za co dostał nagrodę w postaci wejścia ze swoją kanapową partyjką do koalicji rządzącej. A teraz został członkiem sztabu wyborczego Zjednoczonej Prawicy. Na wszelki wypadek złożył w „Sieciach” deklarację lojalności: „Joachim Brudziński słynie z grubej skóry, mocnej konstrukcji psychicznej i ma ogromny autorytet wewnątrz obozu”. Ale wygrać czy przegrać – dla niego to prawie bez różnicy. On się nie boi, zostało mu jeszcze siódme życie.

REDAKTOR ZASTĘPCZY JK



## Amsterdam i kwitnące tulipany

Odwiedź Amsterdam wiosną i zobacz kwitnące tulipany w parku Keukenhof.

**Program wycieczki:** **Dz. 1** Wylot z Warszawy do Amsterdamu. Wiatraki w Zaanse Schans. **Dz. 2** Amsterdam – rejs po kanałach i pływający targ kwiatowy. **Dz. 3** Park kwiatowy Keukenhof. Wizyta na farmie serów. **Dz. 4** Amsterdam – czas wolny i powrót do Warszawy.

4 dni | Wyloty z Warszawy 03/04, 07/04, 22/04 2024

**4.348,-**



## Wietnam - zwiedzanie i wypoczynek

Odkryj tętniące życiem Ho Chi Minh City, tunele Cu Chi i deltę Mekongu oraz spędź z tygodnie w pięknym 4-gwiazdkowym hotelu nad Morzem Południowochińskim.

**Program wycieczki:** **Dz. 1** Wylot z Warszawy. **Dz. 2** Przylot do Ho Chi Minh City. Kolacja powitalna. **Dz. 3** Ho Chi Minh City. Tunele Cu Chi i wycieczka po mieście. **Dz. 4** Przejazd z Ho Chi Minh City do delty Mekongu. **Dz. 5** Mekong Nature Lodge. Zakupy na targu, warsztaty kulinarne i przejażdżka rowerowa. **Dz. 6** Przejazd z Delty Mekongu do Mui Ne nad Morzem Południowochińskim. **Dz. 7-19** Pobyt w Mui Ne, czas do własnej dyspozycji. **Dz. 20** Podróż powrotna do domu. Transfer autokarem do Ho Chi Minh City i przelot do Warszawy. **Dz. 21** Przylot do Warszawy.

21 dni | Wylot z Warszawy 28/02 2024

**12.998,-**



WYKŁAD  
ONLINE



**Wietnam**

20/07/23 o godz. 17:00  
Rejestracja na stronie  
[www.albatros.pl](http://www.albatros.pl)

## Afrykańskie bezdroża – safari w Parku Krugera i camp Albatrosa

**Program wycieczki:** **Dz. 1** Wylot z Warszawy do Johannesburga. **Dz. 2** Przelot Johannesburg – Hoedspruit. Przejazd do campu Honeyguide Mantobeni w Rezerwacie Manyeleti w Parku Krugera. **Dz. 3** Ekscytujące safari w Rezerwacie Dzikich Zwierząt Manyeleti i degustacja wina. **Dz. 4** Przejazd wzdłuż Trasy Panoramicznej stynącej z pięknych widoków i przystanki przy punkcie widokowym „Okno Boga” i kanionie rzeki Blyde. **Dz. 5** Safari w Rezerwacie Dzikich Zwierząt Manyeleti. **Dz. 6** Safari w Rezerwacie Dzikich Zwierząt Manyeleti. Wizyta w lokalnej wiosce. **Dz. 7** Safari w Rezerwacie Dzikich Zwierząt Manyeleti i lampka wina o zachodzie słońca przy punkcie widokowym Skybed. **Dz. 8** Manyeleti Game Reserve – Hoedspruit – Johannesburg. Podróż powrotna do Polski. **Dz. 9** Powrót do domu.

9 dni | Wylot z Warszawy 27/01 2024

**14.998,-**



# Minęła studniówka



Mariusz Janicki

**U**prugu wakacji, już mniej niż 100 dni do prawdopodobnej daty wyborów, zaczyna się wyjaśniać, o co walczą główni uczestnicy kampanii. PiS oficjalnie wciąż liczy na „powrót wyborców z 2019 r.”, którzy mają znowu dać tej formacji samodzielnią większość w Sejmie. Ale to deklaracje na pokaz, bo mało kto wierzy w wynik ponad 40 proc. Bardziej praktyczny cel jest inny: zdobyć tyle mandatów, aby nie musieć negocjować z całą Konfederacją, ale móc wyłuskać z niej grupę, która albo przystąpi do nowej koalicji rządzącej, albo będzie ją wspierać. Na to nie wystarczy te 190–195 mandatów, jakie dają Zjednoczonej Prawicy dzisiejsze sondaże, ale już 210–215 zdobytych miejsc otwiera perspektywę dogadywania się na boku, i o to teraz toczy się gra. Sławomir Mentzen napisał ostatnio na Twitterze: „Koalicji z PiS nie chcą wyborcy Konfederacji, działacze Konfederacji ani władze Konfederacji. Cały czas mówimy, że chcemy zakończyć rządy PiS, a pisowców odciąć od koryta”. Na spotkaniu we Wrocławiu kontynuował ten wątek: „Po wyborach nikt nie będzie rządził. My ten stolik wywrócimy, będą w lutym przedterminowe wybory”. Ale Kukiz też mówił różne rzeczy, a wiadomo, gdzie jest teraz, nie wiadomo, ile w tym kampanii, a ile prawdy (o schowanych na czas kampanii posłach Korwin-Mikkem i Braunie na s. 23).

Platforma wciąż liczy, że wspólnie z Trzecią Drogą i Lewicą przekroczy barierę 230 mandatów, w tej chwili brakuje ich ok. 15–20. Gdyby się jednak nie udało zdobyć większości, jawi się wariant zapasowy, choć mocno kontrowersyjny i do bólu pragmatyczny: jakoś porozumieć się choćby tylko z grupą Mentzena w sprawie kolejnych, przyspieszonych wyborów. Chodziłoby o czysto techniczny sojusz i takiż rząd, tylko w celu odspawania PiS od władzy na czas nowej kampanii i odebranie tej formacji nieuczciwych przewag, jakie daje jej autokratyczne i totalne rządzenie bez żadnych skrupułów w korzystaniu z zasobów państwa w celach partyjnych. Mogłoby to oznaczać np. przejście funkcji marszałka Sejmu, pluralizację TVP, odcięcie PiS od spółek Skarbu Państwa, od służb, prokuratury, od pozabudżetowych zaskórniaków, czyli „od koryta”, jak nazwał to Mentzen. Pozwoliłoby na przejrzanie rządowych dokumentów, zapoznanie się ze stanem państwa, także finansowym. Takie wyrownanie szans w kampanii, gdyby nowe wybory okazały się nieuchronne, byłoby korzystne także dla Konfederacji. Politycy Trzeciej Drogi kolportują plotkę, że Tusk już się konsultował z konfederatami, ale takie opinie mogą wynikać z wewnętrznych rozgrywek w antyPiSie. Niemniej ok. 55 mandatów Konfederacji, jakie dają jej obecne sondaże, jest politycznym faktem i coraz bardziej prawdopodobne, że „to koalicjant Konfederacji będzie rządził Polską po październiku”, jak napisał w „Gazecie Wyborczej” Piotr Beniuszys, sugerując, aby opozycja zbyt łatwo tej opcji Kaczyńskiemu nie odstępowała (więcej o scenariuszach przed- i powyborczych na s. 20).

Ostatnie dni to także czas udzielania opozycji dobrych rad w formie zarzutów. Główny jest taki, że Platforma poszła za bardzo w lewo w kwestiach gospodarczych, w populizm, rozdawnictwo i socjał, dlatego wyborcy uciekają do Konfederacji. Leszek Balcerowicz wspominał niedawno, że niegdysiejsza Unia Wolności, której był przewodniczącym, trzymała się ekonomicznej racjonalności i politycznie dawała radę. Tyle że najlepszy wynik Unii Wolności (partii skądinąd zasłużonej) w wyborach to 13,4 proc. Małe ugrupowania mogą być bardziej pryncypialne, forsować jeden temat (jak np. podatki), tym zdobywać grupy wyborców i uchodzić za odkrycie sezonu. Wielkie formacje są zaś horyzontalne, muszą działać i lawirować na wielu frontach, przekonywać do siebie nie milion wyborców, ale 5–6 mln. Liczą się nie cząstkowe zyski i straty, ale ich ogólny bilans.

**N**a tej zasadzie Tusk potraktował kwestię migrantów, wypuszczając dwa filmiki na ten temat, z których zwłaszcza pierwszy został potraktowany przez część publiczności jako antyimigrancki i ksenofobiczny. Pojawił się zarzut, że PO tym razem radykalizuje się prawicowo. Rzeczywiście wystąpienie Tuska nie było specjalnie empatyczne, zapewne wynikało z przeprowadzonych badań opinii, które nie od dziś pokazują, że niechęć do przyjmowania imigrantów, zwłaszcza w skali masowej, jest w Polsce dość duża, ugruntowana lekkiem przed problemami wielu państw zachodnich, a także przekazami rządzącej prawicy. Chodzi zwłaszcza o te realne, a nie deklaratywne poglądy, bo tylko takie „głosują”. Być może – jak powiedziała kiedyś pisarka Dorota Masłowska – w tym sensie „społeczeństwo jest niemile”. Zresztą w wielu krajach Unii kwestia imigrantów zdominowała życie polityczne, tasuje sondaże, wywraca rządy (ostatnio w Holandii), a stare partie, broniąc się przed naporem nacjonalistycznych radykałów, czasami utwardzają swoje poglądy na imigrację. Nie mogą zupełnie pomijać nastrojów społecznych, a zarazem nie chcą oddawać władzy politykom takim jak Orbán czy Kaczyński. To po prostu niezwykle złożony politycznie, społecznie i moralnie problem (więcej o imigrantach w Polsce na s. 12).

Tusk podjął ryzyko narażenia się zwłaszcza lewicowym komentatorom, gra ostro, może nie na każdy gust. Zadziałał tak jak przy 800 plus (wtedy też spotkał się z krytyką), chciał uderzyć w kolejny węzłowy punkt propagandy obozu władzy, rozbroić bombę związaną z referendum w sprawie relokacji. Tak przy 800 plus, jak i teraz chodzi mu nie tyle o podniesienie notowań PO, ale o to, by na piarowej „obronie granic” nie urosł PiS. Nie jest jeszcze jasne, czy ta zagrywka była politycznie opłacalna, jednak widać w PiS wyraźne rozdrażnienie postawą Tuska, który zachowuje się niezgodnie z planem Nowogrodzkiej i irytująco nie chce przegrać. A odpowiedzialność za poziom dyskusji o imigrantach w żadnym razie nie jest równo rozłożona, to PiS rozpoczął nagonkę na „odmiennych kulturowo” jeszcze w 2015 r. i teraz powrócił do tego wydanego wówczas wątku. A o tym, że traktuje tę kwestię czysto instrumentalnie, świadczy tzw. zaproszenie przez premiera opozycji do konsultacji w sprawie relokacji, gdzie chodziło tylko o to, aby pokazać puste krzesło dla Platformy, która nie przyszła.

**S**łuchać wezwania, aby teraz opozycja, a zwłaszcza Platforma, przedstawiła kompleksowy program migracyjny, bo Polska potrzebuje pracowników z zewnątrz. Owszem, taki program jest potrzebny, tyle że gdyby teraz takowy się pojawił, cokolwiek by w nim było, PiS rzuciłby się na niego z całą propagandową nawałnicą, nie będzie normalnej rozmowy, tylko wrzask. Tusk na sobotniej konwencji Nowoczesnej zapowiedział, że w sprawie imigrantów będzie prowadził z PiS twardą debatę przed referendum, ale jest jasne, że aby wypracować sensowne rozwiązania, najpierw trzeba wygrać wybory – w takich warunkach, jakie są, bo innych nie będzie.

## Zmora na torach

**W**te wakacje kolej zapewne znowu padnie ofiarą własnego sukcesu. Główny przewoźnik dalekobieżny, państwowa spółka PKP Intercity, już apeluje do pasażerów o wcześniejsze rezerwowanie biletów. Dla wszystkich chętnych miejscówek nie wystarczy, liczy się zatem refleks i znajomość matematyki. Bilety w Polsce można kupować bowiem tylko 30 dni przed odjazdem pociągu.

Szkoda, że to niejedyny kolejowy absurd, z jakim muszą się zmierzyć klienci. Remont pojedynczej, choć bardzo ważnej stacji, jaką jest Warszawa Zachodnia, powoduje wciąż ogromne utrudnienia. Na całe wakacje zamknięto podmiejską linię średnicową w stolicy. W składach Warszawskiej Kolei Dojazdowej, kursujących co pół godziny, zamiast co 10 minut, nie mieszczą się pasażerowie. Mało przyjemne jest też korzystanie z warszawskiego Dworca Gdańskiego, przez który przejeżdża wiele składów regionalnych i dalekobieżnych, omijających Zachodnią. PKP Polskie Linie Kolejowe nie przygotowały go na tak dużą liczbę pasażerów – ci tłoczą się na peronach w drodze do jedyne go przejścia podziemnego łączącego Gdański ze stacją metra. Puste są dwie niedawno zbudowane kładki, które według kolejarzy miały rozładować tłok. Tyle że nie prowadzą ani do metra, ani do większości linii tramwajowych kursujących w okolicy.

Kłopoty mogą jednak pojawić się nie tylko w drodze do pociągów. Bardzo



niepokojącym zjawiskiem jest kierowanie przez dyżurnych ruchu składów na niewłaściwe tory. To przede wszystkim efekt bardzo częstych zmian rozkładów jazdy, za którymi nie nadążają sami kolejarze. Po marcowej korekcie rozkładu przynajmniej pięć razy doszło do takich sytuacji, głównie w Warszawie. Efektem było wstrzymanie ruchu i paraliż linii. Po każdym takim incydencie PKP Polskie Linie Kolejowe zapewniają, że nie było ryzyka zderzenia pociągów, i powołują specjalną komisję. Teoretycznie konsekwencje powinny wyciągać Urząd

Transportu Kolejowego, który jednak do tej pory nie ukarał kolejarzy za wiosenny chaos w Warszawie, gdy z rozkładu jazdy trzeba było nagle usuwać część połączeń z powodu paraliżu na torach. Wniosek jest prosty: pasażer kolei ma się cieszyć, jeśli zdoła kupić bilet, bezpiecznie wsiądnąć i dojedzie do celu, nie zwracając uwagi na opóźnienie (ubiegłego lata punktualne było zaledwie 62 proc. składów PKP Intercity). A jeśli mu się nie podoba, niech znajdzie inny środek transportu. Kolej po nim płakać nie będzie, skoro na brak chętnych nie narzeka. (CK)

## Matura przedwyborcza

**C**entralna Komisja Egzaminacyjna ogłasza wyniki egzaminu ósmoklasisty oraz matury coraz później. W ubiegłym roku – 1 i 5 lipca, w tym – 3 i 7 lipca. Im później, tym mniejszy sens podważania wyników. Odwołania zostaną rozpatrzone zbyt późno, aby miały wpływ na rezultat rekrutacji do szkół ponadpodstawowych czy wyższych. W ten sposób CKE hamuje zapędy zdających, aby się odwoływać. Absolwenci szkół podstawowych i średnich mają zastrzeżenia do pracy egzaminatorów (wciąż opór budzą zasady oceniania wypracowań), jednak odwołania wnoszą tylko najbardziej zdesperowani. Wiceminister edukacji Dariusz Piontkowski pochwalił się wysoką zdawalnością matury w nowej formule (zdawali pierwsi absolwenci czteroletniego liceum) oraz starej (technikum). 84,4 proc. robi wrażenie – nie zdał zaledwie co siódmy maturzysta. Tak dobry wskaźnik zdarzył się 16 lat temu, gdy maturzystom pomógł minister Roman Giertych, ogłaszając amnestię (można było nie zdać jednego przedmiotu obowiązkowego, a maturę zaliczano).

Obecnie wysoka zdawalność ma dowodzić, że likwidacja gimnazjów oraz przywrócenie ośmioletniej podstawówki i czteroletniego liceum to dobra zmiana. Zdawalność przesłania jednak poważną wadę reformy, jaką jest dramatyczny spadek poziomu nauczania kluczowych przedmiotów zdawanych na poziomie rozszerzonym.



A przecież jest to matura „pandemiczna”, okrojona o 20–30 proc., czyli znacznie łatwiejsza. Na egzaminie rozszerzonym nie obowiązuje też próg 30 proc. (obowiązuje tylko na poziomie podstawowym z języka polskiego, obcego i matematyki). Wystarczy sama obecność na egzaminie z wybranego przedmiotu, a maturę uznaje się za zdaną (wynik zero też zalicza).

Wymagania egzaminacyjne minister Czarnek zmniejszał wielokrotnie, ostatni raz dwa miesiące przed egzaminami. Dyrektor CKE Marcin Smolik zapowiedział, że taka mikromatura zdarzy się jeszcze tylko raz, w przyszłym (również wyborczym!) roku, natomiast od 2025 r. zdających czeka znacznie trudniejszy egzamin, oparty na pełnych podstawach programowych.

**O**pozornym sukcesie pisowskiej reformy oświaty jeszcze bardziej świadczą wyniki egzaminu ósmoklasistów. Choć wszyscy zdali – zapewnia to bowiem samo przyjście na egzamin – to jednak słabiej niż rok temu, z matematyki na dwójkę (średni wynik 53 proc., rok temu – 57 proc.). W kolejnych latach będzie jeszcze gorzej, gdyż nie ma kto uczyć matematyki (pensja nauczyciela początkującego to najniższa krajowa). Dyrektor Smolik nie powiedział, kiedy ósmoklasistów czeka pełen egzamin, czyli również – co było w planach reformy – z przedmiotu dodatkowego. Tego raczej PiS sobie nie zrobi, gdyż wysłoby na jaw, że reforma edukacji i nowe formuły egzaminów to wyłącznie polityczna zagrywka, a nie wyraz troski o uczniów.

DARIUSZ CHĘTKOWSKI



## Była kulczykówka, będzie meridianówka

**S**ebastian Kulczyk żegna się z Autostradą Wielkopolską, największym krajowym biznesem, jaki w spadku zostawił mu zmarły w 2015 r. ojciec. Spadek, choć dochodowy, jest też sporym obciążeniem, bo autostrada A2 od Konina do Świecka zwana jest popularnie „kulczykówką”, a wysokie opłaty za przejazd, zwłaszcza między Koninem a Nowym Tomyślem, nie przysparzają familii Kulczyków sympatii wśród kierowców. Był to pierwszy odcinek powstały w ramach polskiego programu autostradowego, realizowany jako prywatna inwestycja przez konsorcjum firm zaaranżowane przez Jana Kulczyka. Starania o uzyskanie koncesji, pozyskanie finansowania i budowa zajęły blisko 10 lat. Koncesjonariusz może zarabiać na zbudowanej autostradzie, pobierając myto do marca 2035 r., kiedy koncesja wygaśnie.

Sebastian Kulczyk zapewne nie będzie żałował autostradowego biznesu, bo w przeciwieństwie do ojca, który chętnie robił interesy z państwem w branżach infrastrukturalnych (autostrady, telekomunikacja, energetyka), stawia na branżę nowych technologii i nieruchomości, inwestuje też w start-upy w ramach swojego funduszu Manta Ray. Pierwsze doniesienia o poszukiwaniu nabywcy akcji spółek autostradowych pojawiły się już na początku ubiegłego roku. Wkrótce wybuchła wojna w Ukrainie i wyglądało na to, że plan spali na panewce. A jednak

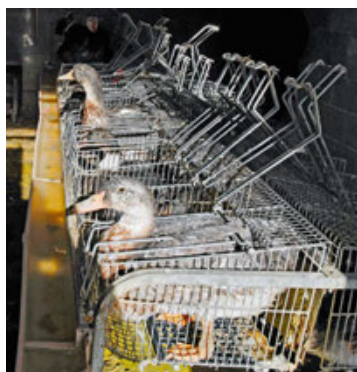
chętny się znalazł. Według „Pulsu Biznesu” francuski fundusz inwestycji infrastrukturalnych Meridiam, który jest dziś drugim pod względem wielkości akcjonariuszem spółek z grupy Autostrady Wielkopolskiej, gotów jest powiększyć swój udział, płacąc za to 700 mln euro. Jeśli na taką koncentrację zgodzi się Komisja Europejska, Francuzi staną się niemal wyłącznymi właścicielami spółek z grupy Autostrady Wielkopolskiej. W jej skład wchodzi: spółka AW SA, która zbudowała i eksploatuje odcinek autostrady A2 Konin–Nowy Tomyśl, oraz AW SA II, która w ramach partnerstwa publiczno-prywatnego zbudowała odcinek od Nowego Tomyśla do Świecka. Transakcja obejmie także dwie spółki towarzyszące: Autostrada Eksploatacja i A2 Route.

**Z**łożony w 2005 r. fundusz Meridiam specjalizuje się w finansowaniu i zarządzaniu długoterminowymi projektami infrastruktury publicznej w Europie, Ameryce Północnej i Afryce o łącznej wartości 18 mld euro. W Polsce czeka go nie lada wyzwanie, bo PiS w ramach obietnic przedwyborczych wprowadził przepisy o bezpłatnych przejazdach państwowymi autostradami i obiecał, że w ciągu roku doprowadzi do tego, że także odcinki znajdujące się w rękach prywatnych koncesjonariuszy staną się bezpłatne. Pojawiła się nawet groźba wywłaszczenia wobec tych, którzy stawiają opór. (AG)

## Kaczy kompromis

**K**amera przesuwana wzdłuż klatek wypełnionych kaczkami. Każdy ptak stoi w oddzielnej przegródce, z szyją i głową wysuniętą na zewnątrz. Nad nimi przesuwana jest pompa ze zwisającą długą rurą. Pracownik fermy po kolei wpycha ją kaczkom do gardła, wtlaczając pokarm. Kilkakrotnie razy więcej, niż zjadłyby same. W dodatku pasza to głównie kukurydza, która pęcznieje w żołądku. Przymusowe karmienie powtarza się 2–3 razy dziennie. Takie tortury ptaki muszą znosić przez 2–3 tygodnie, w trakcie których wiele z nich próbuje popełnić samobójstwo, waląc głową o kraty. Wiele umiera na skutek pęknięcia żołądka, przebicia przelyku czy gwałtownych wymiotów prowadzących do zachłyśnięcia. Potem te, które przeżyły, idą pod nóż, a z ich zdegenerowanych, chorych wątrób w zakładach mięsnych produkuje się przysmak smakoszy: *foie gras*, inaczej pasztet strasburski.

Jesteśmy we Francji, w samym sercu cywilizowanej Europy, gdzie podobnie jak w Hiszpanii, Belgii (Walonia), Bułgarii czy na Węgrzech ten proceder wciąż jest legalny. Ba, Unia Europejska odpowiada – według szacunków organizacji Otwarte Klatki – za ok. 90 proc. światowej produkcji *foie gras*. A przecież zgodnie z przepisami unijnymi (dyrektywa 98/58/WE) „zwierzętom nie należy dostarczać jedzenia lub płynów w sposób (...), który mógłby spowodować niepotrzebne



cierpienie lub zranienie”. W czerwcu 2021 r. Parlament Europejski wezwał Komisję Europejską do wprowadzenia zakazu tuczenia zwierząt na *foie gras*. Ale nic się nie dzieje. Lobbings Francji, która wciąż uważa *foie gras* za swoje „dziedzictwo kulturowe”, jest nie do przewalczenia. Aktywiści prozwierzęcy w Brukseli wpadli na pomysł, jak tylnymi drzwiami, nie zakazując produkcji *foie gras*, uchronić ptaki przed torturami. – *Wystarczy usunąć z rozporządzenia regulującego normy handlowe dotyczące drobiu limity wagowe dla kaczek i kurzych wątróbek używanych do produkcji foie gras* – mówi Maya Cygańska z Eurogroup for Animals, stowarzyszenia reprezentującego organizację ochrony zwierząt z 26 państw członkowskich UE.

W tej chwili według unijnej normy kaczka wątroba ma ważyć 300 g, a gęsia – 400 g, co jest niemożliwe do osiągnięcia bez karmienia na siłę. – *Jeżeli tych limitów nie będzie, rolnicy nie będą musieli tuczyć przymusowo kaczek i gęsi. Będą mogli podawać ptakom bardziej kaloryczną karmę, ich wątroby będą trochę stłuszczone i z nich będzie można produkować foie gras. I wilk będzie syty, i owca cała.*

**G**łosowanie nad nowelizacją rozporządzenia już za kilka dni. Czy wśród zmian znajdzie się usunięcie limitów wagowych dla kaczek i gęsiich wątróbek? Dużo zależy od komisarza UE ds. rolnictwa Janusza Wojciechowskiego z PiS. W Polsce przymusowy tuczek kaczek i gęsi na stłuszczone wątroby jest zakazany od 1997 r. (AS)

## Zakłamaną dyskusją o migracji

**Radosław Sikorski**

Kiedyś dziennikarz, potem m.in. szef MON, MSZ oraz marszałek Sejmu. Obecnie w PE.



**P**rawicowy komentarz z niechętną życzliwością odnotował mój wpis na Twitterze w sprawie migracji: „Sukcesy populistów wynikają w dużej mierze z tego, że lewica określa każdą dyskusję o migracji jako ksenofobię. Tymczasem mamy prawo do nierasistowskiej dyskusji o tym, ilu migrantów Polska i Europa mogą przyjąć, jakich potrzebujemy i co zrobić, aby stali się dobrymi obywatelami”. Założono, że tylko bronie Tuska przed krytyką z lewej flanki, ale sprawa jest głębsza.

Po pierwsze, jako uchodźca w Wielkiej Brytanii w latach 80. wiem, jak to jest. Człowiek miał powody polityczne, aby nie wracać do Polski stanu wojennego, ale przyczyny ekonomiczne też grały swoją rolę. Kraj wchodził w straconą dekadę, podczas której moi rodzice zarabiali według kursu rynkowego po kilkanaście dolarów miesięcznie. Pracując w hotelu czy pubie, stać mnie było wysłać im paczki z takimi luksusami, jak szampon czy proszek do prania. Dyktatury przeważnie zubażają.

Masowe migracje Polaków na jednolitym europejskim rynku potwierdzają starą zasadę, że dobra i ludzie przepływają tam, gdzie osiągają wyższą cenę. Jeżeli obok siebie leżą dwa obszary: pokoju, dobrej infrastruktury, wysokich płac i wysokich świadczeń socjalnych, i drugi – wojen, pustkowi, niskich płac i słabych usług publicznych, to wiadomo, w którym kierunku ludzie będą przepływać. Na południe i południowy wschód od UE mamy obszar zamieszkały przez z górą miliard ludzi, którzy woleliby mieszkać tu niż tam. Nie można się im dziwić, ale też nie wszystkich możemy przyjąć. Ergo, granica musi być kontrolowana, a wolumen i jakość migracji powinny być

regulowane naszymi potrzebami oraz możliwościami integracji.

W zakłamaną polską dyskusję o migracji raczej są wymieszane. Uważam, że lewica nie chce przyjąć do wiadomości, że nie ma globalnego prawa człowieka do mieszkania, gdzie się chce. Państwa i grupy państw mają prawo do ochrony wypracowanego wysiłkiem pokoleń stylu życia oraz spójności społecznej. Lewica nie przyjmuje ponadto do wiadomości, że wysokie świadczenia socjalne są nie do pogodzenia z otwartymi granicami. Można zachęcać do imigracji – jak USA, Argentyna czy Australia w XX w. – albo mieć wysokie świadczenia – jak Europa. Ale nie jedno i drugie jednocześnie.

Z kolei nasza prawica uległa w ostatnich latach argumentom o ekonomicznych korzyściach z imigracji – co widać i słychać na ulicach polskich miast – ale udaje, że są to tylko pracownicy tymczasowi. Przypominam, że podczas prosperity lat 60. XX w. kraje takie jak Wielka Brytania i Francja prowadziły rekrutacje pracowników w swoich byłych koloniach, a RFN zaprosiła kilkaset tysięcy tureckich „gastarbeiterów”. Większość z nich została na stałe.

**P**iS chciałby wydawać setki tysięcy zezwoleń na pracę, a jednocześnie wygrać wybory, strasząc muzułmańskimi amebami i pierwotniakami. Tymczasem wyzwania leżą gdzie indziej. Na wszystkich granicach strefy Schengen powinny być centra, gdzie można by szybko i w godny sposób określić, którzy przybysze mają szansę na wjazd i osiedlenie, a którzy muszą wrócić do domu. Tym, których zdecydujemy się przyjąć, trzeba dać lekcje języka, konstytucji i kultury danego kraju. I nie brzydzić się funduszami europejskimi, które inne kraje gotowe są przekazać, aby uczynić z migrantów produktywnych obywateli. Jako kraj graniczny – tak w dziedzinie obronności, jak i zagrożenia kryzysami migracyjnymi – Polska ma ponadprzeciętny interes w tym, aby korzystać w tych dziedzinach z solidarności europejskiej. Odrzucając ją z czysto ideologicznych pobudek, znowu strzelamy sobie w stopę.

# 90 000

Tyle mniej więcej dzieci w Polsce żyje w gorszych warunkach niż rok wcześniej – podał GUS. Liczba skrajnie ubogich dzieci (na poziomie minimum egzystencji) wzrosła o **7 proc.**, a o **23 proc.** – tych, które nie mają możliwości zaspokojenia podstawowych potrzeb. W ostatnim roku to właśnie dzieci i nastolatki (do 17 lat) były grupą, która najczęściej doświadczała w Polsce ubóstwa. Najbardziej te z rodzin wielodzietnych oraz dotknięte niepełnosprawnością. Powód? „Przeciętna sytuacja materialna gospodarstw domowych realnie pogorszyła się, m.in. z powodu wysokiej inflacji” – pisze GUS.

Ustawowo zagwarantowana jest coroczna waloryzacja emerytur, ale dzieci są traktowane gorzej. Od 2016 r.

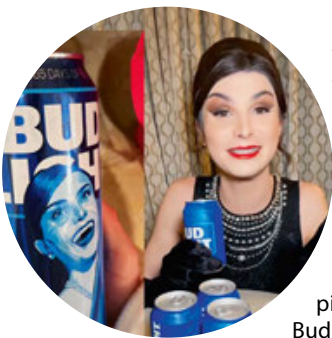
nie zwaloryzowano zasiłków rodzinnych i progów dochodowych uprawniających do ich otrzymania. Pozostają one bez zmian od siedmiu lat, a od tego czasu skumulowana inflacja wyniosła **47 proc.** Najniższe z tych świadczeń na jedno dziecko wynosi **zaledwie 90 zł.** A to właśnie ze świadczeń rodzinnych korzystają najbiedniejsze rodziny.

Równoległe narracja o likwidacji przez PiS ubóstwa zdominowała najnowszą dyskusję o podwyżce świadczenia 500 plus do kwoty 800 zł (przyjęta 7 lipca przez Sejm). Po utracie realnej wartości 500 plus do kieszeni rodziców trafi teraz... **o 50 zł więcej.** Zresztą postulat podniesienia wysokości świadczenia też był przez lata kwestionowany przez PiS – w 2021 r. rząd nie zwaloryzował swojego sztandarowego programu, mimo że powodów ku temu było kilka, w tym także inflacja. Jednocześnie w 2019 r. przed wyborami parlamentarnymi rozszerzono 500 plus na wszystkie dzieci, likwidując kryterium

dochodowe. – *Te biedniejsze rodziny i tak korzystały z programu, bo spełniały kryterium dochodowe. Korzyści zyskały więc głównie rodziny zamożniejsze. Twierdziłem wówczas, że to niesprawiedliwe. Proponowałem, aby zwiększyć dostęp do zasiłków rodzinnych oraz zasadniczo podnieść ich poziom. Rząd tego nie zrobił* – przypomina prof. Ryszard Szarfenberg z UW, ekspert od programów społecznych, ubóstwa i walki z nim.

**Z**kolei jeszcze w 2022 r. ministra Marlena Małąg tłumaczyła się, że nie będzie waloryzacji 500 plus, bo polskie rodziny dostały wsparcie na pokrycie kosztów opieki dzieci w żłobkach i przedszkolach. Tylko że program objął zaledwie **9 proc.** dzieci. No ale teraz mamy rok wyborczy i nawet sam prezes PiS powtarza, że przed nami najważniejsze wybory od 1989 r. Waloryzacja 500 plus jest konieczna, bo – jak kalkuluje władza – opłaci się wyborczo. Tak jak czternasta emerytura na stałe, uchwalona niedawno przez Sejm. (AGSZCZ)

## Meksyk warzy Ameryce



**P**o 22 latach Bud Light, najlepiej sprzedające się piwo Ameryki, zostało zdezonizowane. Koronę dzierży teraz produkowany w Meksyku pilzner Modelo Especial. Przyczyną było kilka, Bud Light tracił rynek od dawna, ale ta zmiana dobrze obrazuje rosnącą potęgę ekonomiczną i demograficzną amerykańskich Latynosów. Gdyby ich wydzielić jako odrębne państwo, byłoby trzecią najszybciej rozwijającą się gospodarką świata. Teraz sięgnęli po swoje piwo. Ale też lekki Budweiser stał się ofiarą wojny kulturowej, jaka wstrząsa Ameryką. A stało się tak za sprawą transpłciowej **Dylan Mulvaney**, która była jedną z (wielu) twarzy Bud Light i uczestniczyła w promocji piwa oraz była gospodynią konkursu „Ile udźwigniesz?”, polegającego na tym, aby utrzymać jak najwięcej puszek.

**M**ulvaney to także postać symboliczna: na TikToku prowadziła comiesięczną kronikę swojej tranzycji, zdobyła wielką popularność i stała się potężną influencerką środowiska LGBT. Co z kolei, kiedy zabrała się do promocji piwa, wywołała falę hejtu na forach społecznościowych ultrapracy, a także w mediach, z telewizją Fox na czele, strzelano nawet do puszek piwa z jej podobizną, co uwieczniły stosowne filmiki. Z powodu bojkotu w czerwcu sprzedaż Bud Light spadła o jedną czwartą. Tak silne są emocje i wielka jak kanion przepaść dzieląca obie Ameryki, Bidena i Trumpa. W reakcji na kryzys producent zaczął się dystansować od influencerki i jej środowiska oraz postawił na promocję o charakterze ultrapatriotycznym. Czym znów podpadł i stał się teraz z krytyką i bojkotem z obu stron. Aż wreszcie musiał oddać koronę, i to – o paradoksie – Meksykanom. Na tej wojnie obu Ameryk nie bierze się jeńców.

## Nie chcą spadku po Benedykcie

**A**rcybiskup Georg Gaenswein ma kłopot. Były wieloletni sekretarz osobisty i opiekun Benedykta XVI jest wykonawcą ostatniej woli papieża Ratzingera, który zmarł w 2022 r. Zapisał w testamencie pewne sumy swoim kuzynom. Nie wiemy, jak duże. Wiemy, że jest tych krewnych piątka i wszyscy mieszkają w Niemczech. Hierarcha zwrócił się do nich z pytaniem, czy przyjmują zapisany im spadek. Na razie odpowiedziała jedna osoba – negatywnie. Niemieckie prawo spadkowe przewiduje, że przyjęcie spadku oznacza zgodę na spłacenie ewentualnych roszczeń wysuniętych pod adresem autora testamentu. A takie roszczenia zostały wysunięte. W ponurym kontekście, bo chodzi o jedną z ofiar nadużyć seksualnych w Kościele w Niemczech.

**W**opublikowanym w zeszłym roku niemieckim raporcie na ten temat pojawia się sprawa czterech księży krzywdzicieli, o których Ratzinger wiedział, kiedy był arcybiskupem w Monachium. Mimo to nie interweniował, jak należało. Hierarcha zaprzeczał, a Watykan potępił pochopne wysuwanie zarzutów. Gdy raport trafił do opinii publicznej, sędziwy Benedykt przyznał, że wiedział o jednym z księży, ale podjął odpowiednie działania. Fakty tego nie potwierdzają. Ks. Peter Hullermann został skierowany na terapię, po czym powrócił do pracy duszpasterskiej i krzywdził kolejnych chłopców. Jedną z jego ofiar zażądała rekompensaty: 500 tys. euro od spadkobierców, 300 tys. euro od kurii monachijskiej. W tej sytuacji córka i opiekunka jednego z kuzynów papieża zapowiedziała, że nie przyjmą spadku. Wykonawca testamentu poinformował, że część zapisana kuzynom nie obejmuje honorariów autorskich Ratzingera za jego książki i wykłady ani pensji, jaką pobierał jako ordynariusz archidiecezji monachijskiej. Nie wiadomo, komu mają przyspaść te prawdopodobnie duże pieniądze.

## Rutte potknął się o imigrantów

**W** Holandii upadł rząd. 7 lipca **Mark Rutte**, najdłużej urzędujący premier w historii kraju, złożył rezygnację z powodu konfliktu o imigrację. Za czwartym już gabinetem kierowanym przez tego liberalnego polityka stała krucha koalicja, składająca się z dwóch partii chadeckich i dwóch liberalnych, w tym VVD, na czele której stoi Rutte. Jak trudna to była koalicja, świadczy fakt, że jej powstanie negocjowano 10 miesięcy, a rządziła przez 18.

Konflikty między koalicjantami narzmiwały od dawna, m.in. o problemy na rynku nieruchomości, ceny gazu ziemnego i inflację. Ale bezpośrednią przyczyną upadku był spór o imigrację, która – zdaniem krytyków rządu – miałaby współodpowiadać za powyższe problemy. Według rządowych statystyk liczba wniosków o azyl w 18-milionowej Holandii w zeszłym roku wzrosła o ponad 30 proc., do ok. 46 tys., a w tym roku ma przekroczyć 70 tys., bijąc rekord z 2015 r. Rutte i jedna z partii chadeckich (CDA) domagali się jej ograniczenia i rezygnacji z zasady automatycznego łączenia rodzin z krajów ogarniętych wojną.

Przyspieszone wybory zaplanowano dopiero na listopad, a biorąc pod uwagę rozbieżności sceny politycznej, trzeba zapewne doliczyć jeszcze kilka miesięcy na formowanie koalicji. Do tego czasu premierem pozostanie Rutte, ale w trybie technicznym – nie będzie mógł podejmować żadnych ważniejszych decyzji. Według sondaży agencji EenVandaag trzech na czterech badanych ma już go dość. Rośnie natomiast poparcie dla populistów.

**N**a kłopoty rządu natychmiast zareagowała skrajna prawica – Geert Wilders z Partii Wolności przekonywał w weekend, że tylko jego ugrupowanie jest w stanie zatrzymać imigrantów. Ale większe szanse na sukces w jesiennych wyborach ma Obywatelski Ruch Farmerów (BBB), populistyczne ugrupowanie, które powstało na fali niezadowolenia holenderskich rolników z ograniczenia emisji gazów cieplarnianych w ich branży poprzez przymusową redukcję pogłowia bydła. BBB niedawno wygrała lokalne wybory i jest już największą siłą w holenderskim senacie, w którym reprezentowane są regiony.





## Impas wileński

Szwecja jest o krok od wejścia do NATO, ale przez próg jeszcze nie przeszła. Gdy otwierają Państwo ten numer POLITYKI, znane są już rezultaty rozmów prezydenta Turcji z premierem Szwecji i prezydentem USA na szczycie NATO w Wilnie. Ale Recep Tayyip Erdoğan w ostatniej chwili uzależnił przyjęcie Szwecji od odmrożenia rozmów akcesyjnych Turcji z Unią Europejską, co może oznaczać dalszą zwłokę. Po bulwersujących świat islamu incydentach spalania Koranu Szwecja będzie

też musiała coś zrobić ze swoją interpretacją swobód obywatelskich. O uzgodnienie akcesji w Wilnie zabiegał **Jens Stoltenberg**, który z braku dorównującego mu następcy (lub następczyni) zostanie na czele NATO na dziesiąty rok. Na ostatniej prostej włączył się też Joe Biden. Ale cudu nad Wilią nie było, choćby dlatego że ratyfikację poszerzenia muszą przegłosować parlamenty w Ankarze i Budapeszcie.

Trudny kompromis w sprawie Szwecji nie jest jedynym bólem głowy NATO. Ukrainie trzeba było zaproponować coś więcej niż w Bukareszcie – że kiedyś

w NATO będzie – ale sam Biden powiedział, że na wejście jest teraz za wcześnie. Spór o zapis o „jasnej perspektywie” członkostwa był tak poważny, że w uzgodnienia zaangażowali się sami przywódcy. Wołodymyr Zełenski miał uzależnić od rezultatu tych rozmów to, czy na szczycie w ogóle się pojawi. Zaproszony był nie tylko na wspólne zdjęcie, a także na inaugurację Rady NATO–Ukraina. Nowy, lepszy organ konsultacyjny to nie wszystko. Ukraina otrzyma wsparcie organizacyjne i szkoleniowe, które ma skrócić jej drogę do NATO w przyszłości.

Choć dostawy sprzętu to sprawa poszczególnych krajów, szczyt był katalizatorem. Amerykanie ogłosili dostawy kontrowersyjnej, ale potrzebnej ukraińskim dowódcom artyleryjskiej amunicji kasetowej, która przyda się w pokonywaniu rosyjskich pól minowych i fortyfikacji. Mocniejsze wsparcie zbrojne z Zachodu jest Kijowowi bardzo potrzebne, bo od ponad miesiąca ofensywa posuwa się w ślimaczym tempie, a walki na umocnionym przez Rosjan terenie są krwawe. Najbardziej spektakularnych uderzeń Ukraina dokonuje na odległość, teraz przy użyciu brytyjskich pocisków manewrujących Storm Shadow. Rosji wciąż jednak nie brakuje kalibrów do atakowania ukraińskich miast ani samolotów do bombardowania frontu. Błędą nadzieję, że wojnę uda się rozstrzygnąć militarnie w tym roku. Przybywa za to opinii, że tylko przyjęcie Ukrainy do NATO umożliwi wspólne pokonanie Rosji. Ale w tej sprawie NATO w Wilnie nie dało jednak zgody.

MAREK ŚWIERCZYŃSKI

## Walki dinozaurów

Threads to najnowszy gorący temat w świecie cyfrowych mediów. Mark Zuckerberg, szef koncernu Meta kontrolującego m.in. Facebook, zaprezentował nowy serwis w czwartek 6 lipca. Threads jest bezpośrednią konkurencją dla Twittera, umożliwia komunikowanie się za pomocą informacji tekstowych do 500 znaków, fotografii i krótkich filmów. Dostępny jest dla użytkowników Instagrama, kto ma konto, łatwo może się przełączyć. O ile nie mieszka w kraju Unii Europejskiej, bo tu na razie ze względu na unijne normy prawne Threads jest niedostępny.

Zainteresowanie przebiło wszelkie prognozy, cztery dni po premierze z Threads korzystało już 100 mln użytkowników. Tym samym serwis pobił rekord szybkości rozwoju należący do firmy OpenAI i opartej na sztucznej inteligencji usługi ChatGPT, której dojście do 100 mln zajęło dwa miesiące.

Inaugurację poprzedził gorący spór między Zuckerbergiem i Elonem Muskiem, właścicielem Twittera. Musk, ekscentryczny miliarder zajmujący się m.in. produkcją samochodów elektrycznych Tesla i podbojem kosmosu, postanowił przed rokiem przejąć Twittera, by stworzyć „przestrzeń absolutnej wolności”, oczyszczoną z wpływów cenzury, politycznej poprawności i innych lewackich skrzywień.

Zaprowadzanie nowych standardów i ręczne sterowanie pogrążyło serwis w chaosie, odpłynęli

reklamodawcy, część użytkowników zaczęło szukać alternatywy, przenosząc się m.in. na niezależnego Mastodona. Musk niewiele sobie z tego robił, proponując dziwne i irytujące pomysły. Po wprowadzeniu płatnych kont oferujących chętnym dodatkowe usługi oraz większy poziom bezpieczeństwa stwierdził, że ograniczy użytkownikom ilość komunikatów,

Nagle do gry wszedł Mark Zuckerberg, który nie miał ostatnio najlepszej passy. Czy Threads pociągnie Meta w przyszłość? Serwis nie oszałamia innowacyjnością, formalnie oferuje to co Twitter, tylko obiecuje użytkownikom lepsze reguły gry. Wśród nich moderację treści, która nie będzie podsycać polaryzacji i premiować treści politycznych. Kierownictwo Twittera zarzuciło Mecie wprost naruszenie własności intelektualnej i wezwało do zamknięcia usługi.

Największą przewagą Zuckerberga to baza ponad 2,3 mld użytkowników Instagrama, zwłaszcza gdy usługa stanie się dostępna w UE. Wielu komentatorów zwraca jednak uwagę, że obecne starcie między Threads i Twitterem przyczynia walkę dinozaurów w świecie, w którym zaczynają zyskiwać uwagę rzeczywiście nowe propozycje. Zauważył to nawet sędziwy Joe Biden, podejmując wiosną br. współpracę z najbardziej wpływowymi tiktokera.

EDWIN BENDYK





# Obcy w domu

Sprawa imigrantów stała się przed wyborami gorącym politycznym tematem. Obóz władzy ideologicznie z imigrantami walczy, ale po cichu ich do kraju sprowadza. Wiele wskazuje na to, że są dla polskiej gospodarki niezbędni. Jaka jest zatem imigrancka rzeczywistość w Polsce?

KATARZYNA KACZOROWSKA

**T**warde dane mówią jedno – pracujący cudzoziemcy już tu są i jest ich coraz więcej. ZUS opublikował przygotowany niedawno na zlecenie Ministerstwa Finansów raport „Cudzoziemcy w polskim systemie ubezpieczeń społecznych 2022”, z którego wynika, że w 2015 r. w tej instytucji zarejestrowanych było mniej niż 200 tys. cudzoziemców. Dziś to już ponad 1 mln. Ta liczba wiąże się z napływem uchodźców z Ukrainy po wybuchu wojny w 2022 r., ale nie tylko. Według danych ZUS 31 grudnia 2022 r. w Polsce w systemie było zarejestrowanych niecałe 40 tys. obywateli państw unijnych, ale już z krajów spoza Unii Europejskiej – 1 023,9 tys., z czego 746 tys. osób z obywatelstwem ukraińskim. Po Ukraińcach najwięcej w Polsce żyje i pracuje legalnie Białorusinów (108,1 tys.), Gruzinów (27,4 tys.), Hindusów (16 tys.) i Mołdawian (14,7 tys.). Ilu pracuje poza tą statystyką, trudno oszacować.

Kartikey Johri, konsul honorowy Indii, twierdzi, że Hinduś w Polsce na pewno jest więcej, i on szacuje ich liczbę nawet na 60 tys. – *Obywatele Indii, którzy pracują za granicą, mają*

*obowiązek zgłosić się do swojej ambasady, ale wielu z nich tego nie robi. Oprócz pracowników, szczególnie w sektorze IT obsługującym bankowość, są też studenci, bo studia w Polsce są dla Hindusów bardzo atrakcyjne, poza tym znacznie tańsze niż w Indiach – tłumaczy Kartikey Johri, który żartobliwie mówi, że Wojciech Jaruzelski dał mu wykształcenie, Tadeusz Mazowiecki biznes, a Lech Kaczyński polskie obywatelstwo, bo po przełomie Johri zdecydował się zostać w Polsce, ożenił się i założył firmę. I dzisiaj jest gorącym orędownikiem Indii w Polsce i Polski w Indiach.*

## Polska docelowo i na chwilę

Nuri przyjechała do Polski trzy miesiące temu. Pochodzi z Bali, indonezyjskiego raj dla turystów. Pracuje w sieci salonów masażu, gdzie klienci poznają zalety lomi-lomi czy balijskiego uzdrowienia. Dyskretna, uważna, skupiona na pracy, co kilkanaście minut pyta klientkę (lub klienta), czy wszystko jest w porządku, a ucisk nie za mocny. W Polsce jej się podoba, mieszka w wynajętym mieszkaniu razem z innymi dziewczynami, które pracują z nią w salonie i tak jak ona pochodzą z Indonezji. Nuri



ILUSTRACJA MAX SKORWIDER

przyjechała tu z Malezji, gdzie też pracowała jako masażystka – z przepaszającym uśmiechem kończy rozmowę, bo przecież jest w pracy.

Changxue Du będzie mógł rozmawiać, kiedy w fabryce, gdzie pracuje od kilku tygodni jako tłumacz, będzie przerwa. Fabrykę pod Słupskiem budują Chińczycy, ale są też polscy pracownicy. I Changxue pomaga im się porozumieć.

– W Kantonie, skąd pochodzę, skończyłem studia licencjackie z polonistyki. Zdobyłem stypendium rządowe i przyjechałem do Poznania na studia – opowiada Changxue, który w Polsce jest kompletnie sam i musi sobie radzić. Kiedy więc skończył studia i skończyło mu się stypendium, pracował w Lesznie jako lektor chińskiego, a niedawno udało mu się zdobyć pracę na Uniwersytecie Wrocławskim. Trafił zresztą na moment, kiedy decyzją rektora zamknięto Instytut Konfucjusza, jednocześnie pozostawiając sinologię.

Changxue mówi, że chińscy pracownicy pod Słupskiem byli bardzo zaskoczeni, kiedy okazało się, że nie będą mieszkać w miasteczku kontenerowym przy powstającej fabryce, tak jak się to zwykle dzieje w Chinach. Zakwaterowani są w hotelu.

Ali w Polsce mieszka od 30 lat, żartuje, że z niego stary imigrant. Przyjechał tu na studia z Syrii. I został. – A teraz od kilku lat pomagamy kolejnemu pokoleniu. Tym młodym. Jednemu chłopakowi, który siedział w obozie w Przemysłu, organizowaliśmy w centrum przy meczecie wrocławskim paczki z jedzeniem i pieniędzmi. Bo uchodźca w takim obozie to dostaje 300 zł od państwa. A jak już ma pobyt i może z obozu wyjść, to dostaje 750 zł. Przecież za to nawet nie da się wynająć pokoju... Jego podopieczny trafił do Wrocławia. Pracuje, choć – jak mówi Ali – na początku było mu ciężko i biednie.

Dr Ziad Abou Saleh, socjolog współpracujący z Wyższą Szkołą Bankową i Uniwersytetem SWPS, który do Polski przyjechał na studia w 1983 r.: – Ta nowsza imigracja polskie społeczeństwo odbiera i ocenia inaczej niż my, żyjący tu 20, 30 czy 40 lat. Saleh, który z „nowymi” imigrantami ma stały kontakt, przywołuje swoje badania, z których wynika, że „stara” imigracja Polkę i Polaków, niezależnie od antyimigranckiej kampanii z 2015 r., postrzega bardzo pozytywnie. „Nowa” dopiero się tej Polski uczy.

– Ale nawet jak się nauczy, to nie znaczy, że zostanie. Dla wielu imigrantów docierających tu w ostatnich latach, szczególnie po 2015 r., Polska jest krajem tranzytowym. Chcą stąd jechać dalej, nie tylko z powodów finansowych, ale też kulturowych. W Szwecji, Niemczech, Francji czy Holandii jest po prostu więcej imigrantów z krajów arabskojęzycznych, muzułmanów, łatwiej więc o wsparcie, kontakty, usieciwienie – przyznaje Ali.

### Strukturalne uzależnienie

W połowie czerwca podczas sejmowej debaty prezes PiS Jarosław Kaczyński zapowiedział referendum w sprawie polityki migracyjnej Unii Europejskiej i relokacji migrantów. „Nie zgodzimy się na to, nie zgadza się na to także naród polski” – powiedział o relokacji Kaczyński, który podczas ostatniego spotkania z wyborcami w Pułtuskowi wyjaśniał, że jest to „referendum odnoszące się do losów Polski i Polaków, czy będziemy żyli w bezpiecznym, spokojnym kraju”. Sejmową zapowiedź błyskawicznie skomentował na Twitterze prof. Maciej Duszczyk z Ośrodka Badań nad Migracjami Uniwersytetu Warszawskiego, pisząc wprost: „Zwariowali. Musi być straszny strach przed utratą władzy. O czym ma być to referendum?”. A dyrektor Ośrodka prof. Paweł Kaczmarczyk mówi: – Migracje to zjawisko zupełnie naturalne. Polska przez długie lata była krajem głównie wysyłającym emigrantów. Imigrantów było u nas stosunkowo niewiele i być może dlatego mamy przekonanie, że jest to coś wyjątkowego, a przecież w wielu krajach wysoko rozwiniętych imigranci stanowią 10, czasami i więcej procent populacji. A jeszcze większy jest ich udział w rynkach pracy.

Prof. Kaczmarczyk przypomina, że potrzebujemy pracowników, w niektórych sektorach wręcz rozpaczliwie: – Polska gospodarka w dużej mierze jest strukturalnie uzależniona od cudzoziemskiej siły roboczej. A to oznacza, że musimy mieć narzędzia, które sprawią, że pracownicy będą chcieli przyjeżdżać do Polski, bo będą kontrolowane warunki pracy, ich bezpieczeństwo. Prof. Kaczmarczyk podkreśla też, że niezależnie od tego, co wymyślą politycy, trzeba mieć świadomość, że część imigrantów zarobkowych przyjeżdżających do Polski do pracy zostanie tu na długo; to doświadczenie większości krajów na świecie. – Jeśli więc przyjmujemy, że część z imigrantów zarobkowych ▶

► *pozostanie w Polsce, to już teraz musimy się zastanawiać, jak będzie tu wyglądało ich życie* – podkreśla prof. Kaczmarczyk. I od razu wyjaśnia, że doświadczenie sytuacji wojny w Ukrainie pokazało, jak kosztowne jest nieposiadanie sensownej polityki integracyjnej. Bo ta polega na stworzeniu narzędzi. – *A my nie zadaliśmy o odpowiednią liczbę nauczycieli języka polskiego jako obcego czy osób, które mogłyby przygotować dzieci cudzoziemskie w szkołach do nauki. Nie mamy sprawnego systemu, który pomagałby rozpoznawać kwalifikacje cudzoziemców, a więc wykorzystywać kapitał ludzki z korzyścią dla rozwoju naszej gospodarki. Doświadczenie ukraińskie pokazuje, że jesteśmy w stanie się zmobilizować na poziomie recepcji, ale znacznie trudniej idą nam kwestie strukturalne* – mówi dyrektor Ośrodka Badań nad Migracjami Uniwersytetu Warszawskiego i szacuje liczbę imigrantów żyjących w Polsce na ok. 2,5–3 mln.

## Polityczne złoto

Na zapowiedź referendum, które ma się odbyć w dniu wyborów parlamentarnych, zareagował bardzo szybko Donald Tusk. Lider Platformy Obywatelskiej nagrał krótki spot, w którym powiedział: „Oglądamy wstrząśnięci sceny z brutalnych zamieszek we Francji. I właśnie teraz Kaczyński przygotowuje dokument, dzięki któremu do Polski przyjedzie jeszcze więcej obywateli z państw takich jak – cytuję: Arabia Saudyjska, Indie, Islamska Republika Iranu, Katar, Emiraty Arabskie, Nigeria czy Islamska Republika Pakistanu. Jarosław Kaczyński jednocześnie szczerze na imigrantów i chce ich wpuścić setki tysięcy. Może potrzebny mu jest wewnętrzny konflikt i strach polskich obywateli, bo wtedy łatwiej mu rządzić i wygrać wybory. Musimy uniknąć tego niebezpieczeństwa”. Tusk spotkał się z krytyką, ale jednocześnie zwrócił uwagę na imigranckie realia w Polsce, które obóz władzy wyraźnie chciał ukryć, aby nie przeszkadzały w ideologicznej krucjacie przeciwko Brukseli. Dr hab. Bartosz Bolechów z Uniwersytetu Wrocławskiego, politolog: – *Idea tego referendum, jak i cały przekaz wokół migracji formatowany przez władze pokazuje, że tu nie chodzi o narzędzia, które pozwolą nam się zmierzyć z problemem demograficznym i w przemyślany sposób otworzyć na imigrację. Bolechów mówi wprost, że wyzwaniu temu towarzyszyć powinna cywilizowana, racjonalna dyskusja z udziałem ekspertów i społeczeństwa obywatelskiego oraz wdrożenie rozwiązań pozwalających minimalizować negatywne efekty uboczne tego procesu. – A teraz imigracja jest instrumentalizowana i przekształcana w ramach politycznej propagandy w „paliwo wyborcze”. Towarzyszy temu brutalizująca dyskusja publiczna retoryka normalizująca postawy ekstremistyczne* – podkreśla politolog.

A i tak z imigrantami trzeba się oswojać. Marcos Segador Arebolla, dyrektor zarządzający Gi Group Holding w Polsce, rekrutującej pracowników m.in. z Ukrainy, Indii, Uzbekistanu czy Mołdawii: – *W Polsce stale brakuje ok. 150 tys. pracowników. W różnych sektorach. Polska gospodarka jest silna i zapewne bez imigrantów sobie poradzi, ale nie uda jej się zbudować konkurencyjności w globalnym świecie.*

Arebolla, który u nas mieszka i pracuje od kilku lat, a wcześniej kilka lat pracował w Indiach, przyznaje, że polityczna atmosfera

wokół imigrantów, jaka w ostatnich tygodniach opanowała nasz kraj, polską specyfiką nie jest. I przypomnia, że niedawno we Włoszech wygrała wybory Giorgia Meloni, która sięga po antyimigracyjną retorykę. W Hiszpanii za dwa tygodnie odbędą się wybory i tam też prawica w kampanii sięga po straszenie imigrantami.

– *Pamiętam mój kraj po Franco. Był monoetniczny, monoreligijny, monokulturowy. Dzisiaj jest inaczej i to jest naturalny proces. Polski on nie ominie* – mówi Marcos Segador Arebolla.

A Joanna Holweger, dyrektor działu zajmującego się rekrutacją obcokrajowców w Gi Group Temp&Perm, tłumaczy, że na rynku pracy brakuje mężczyzn, co jest przede wszystkim konsekwencją wojny w Ukrainie. Dlatego firmy rekrutujące pracowników otwierają się na dalsze kierunki geograficzne, a więc i na kraje muzułmańskie, którymi straszą politycy.

– *Ale kwestia religii nie jest żadnym wyznacznikiem. W pierwszej kolejności znaczenie ma język, bo instrukcje, zalecenia, cały obszar bhp czy zabezpieczenia kadr i plac muszą być zrozumiałe dla cudzoziemca* – tłumaczy Joanna Holweger. I dodaje, że po stronie polskich pracodawców jest duża otwartość i ciekawość kulturowa wobec pracowników z zagranicy. – *Zawsze robimy prezentacje kulturowe. Przedstawiamy więc pracowników z Indii czy Indonezji, tłumaczymy, że w pierwszych dniach pracy mogą mieć problem z punktualnością. A nowym pracownikom wyjaśniamy, że w Polsce to normalne, że kobieta może im wydać polecenie. Bo dla wielu bywa to jedynym dużym zaskoczeniem.*

Według danych Eurostatu w 2019 r., a więc przed wybuchem wojny w Ukrainie, wszystkie kraje Unii Europejskiej wydały niemal 3 mln tzw. pierwszych pozwoleń na pobyt dla obywateli państw spoza wspólnoty. Niemal co czwarty obcokrajowiec trafił do Polski – ponad 724 tys. pozwoleń.

MSZ zamierzał pilnie wprowadzić rozporządzeniem outsourcing wizowy, według którego podmioty z ponad 20 krajów przyjmowałyby wnioski o wizę i przekazywały je do polskiego ministerstwa. Taki proces miał być możliwy m.in. w Arabii Saudyjskiej, Armenii, Azerbejdżanie, Republice Białorusi, Republice Filipin, Gruzji, Indiach, Indonezji, Iranie, Katarze, Kazachstanie, Kuwejcie, Mołdawii, Nigerii, Pakistanie, Tajlandii, Turcji, Ukrainie, Uzbekistanie, Wietnamie i Zjednoczonych Emiratach Arabskich. Miał, bo kilka dni po reakcji Tuska na pomysł referendum Kaczyński ogłosił, że outsourcing wizowy był indywidualną inicjatywą urzędnika, który zostanie pociągnięty do odpowiedzialności. I dlatego rozporządzenie zostało wycofane. Tym urzędnikiem – co szybko odkryły media – okazał się wiceminister Piotr Wawrzyk.

Holweger: – *A to rozporządzenie bardzo by nam wszystkim pomogło – wąskim gardłem są wizy. Bo mam zamówienia typu: „potrzebuję 10 Hindusów na za dwa tygodnie”. I przypomnę, że zezwolenia na pracę dla cudzoziemców nie oznaczają odbierania pracy Polakom. Wakaty dotyczą tych miejsc i stanowisk, na które nie ma chętnych.*

– *A to rozporządzenie bardzo by nam wszystkim pomogło – wąskim gardłem są wizy. Bo mam zamówienia typu: „potrzebuję 10 Hindusów na za dwa tygodnie”. I przypomnę, że zezwolenia na pracę dla cudzoziemców nie oznaczają odbierania pracy Polakom. Wakaty dotyczą tych miejsc i stanowisk, na które nie ma chętnych.*

## Pieć czy raj

Magdalena Nazimek-Rakoczy z Nomady, Stowarzyszenia na rzecz Integracji Społeczeństwa Wielokulturowego: – *Migranci to nie jest jednolita grupa. Dzielą ich kraje pochodzenia, wiek, to, czy są tutaj sami, z rodziną, czy chcieliby się z nią tutaj połączyć. Znaczenie ma siatka połączeń, którą najłatwiej buduje się, jeśli przyjeżdża się do kogoś lub na studia. No i kluczowy jest język, którym mogą się porozumieć z innymi osobami. Polski lub angielski.*

## Potrzebne ręce do pracy

Według badań GUS po pracownikach z zagranicy sięga przemysł, szczególnie branża metalurgiczna, budowlana, stoczniowa, ale też sektor logistyczny, przetwórstwo mięsne, rybne, przemysł elektroniczny i lekki, gdzie zależność od pracowników z zagranicy przekracza nawet 50 proc. Z badania Polskiego Instytutu Ekonomicznego i BGK wynika, że do 51 proc. (z 46 proc. w czerwcu) wzrósł w lipcu br. odsetek firm, dla których niedostępność pracowników stanowi barierę w działalności. W Polsce brakuje ok. 150 tys. kierowców (w 2022 r. ok. 150 tys. wakatów

dotyczyło branży IT). Według GUS pod koniec zeszłego roku cudzoziemcy stanowili ponad 8 proc. pracujących w branży informacyjno-komunikacyjnej. W budownictwie to 6,6 proc., prawie trzy na dziesięć firm zatrudnia cudzoziemców. Największy udział cudzoziemców był też w e-commerce (w tym w dostawach) oraz w transporcie i logistyce, gdzie prawie co ósmy pracownik (11,5 proc.) to obcokrajowiec. W branży hotelarsko-gastronomicznej co 10. pracownik to imigrant zarobkowy. Wojna w Ukrainie spowodowała, że wzrosła liczba zezwoleń na pracę

dla migrantów z bardziej odległych krajów. Największy liczbowy wzrost widać w zezwoleniach dla pracowników z Indii: w 2022 r. ponad 41,6 tys., prawie trzy razy więcej niż w 2021. Ponaddwukrotnie (do 33,4 tys.) zwiększyła się liczba zezwoleń na pracę dla migrantów z Uzbekistanu. Prawie dwukrotny wzrost widać w przypadku pracowników z Filipin (22,6 tys.) i Nepalu (20 tys.). Rekordzistą tempa wzrostu był Turkmenistan: liczba zezwoleń na pracę dla obywateli tego kraju wzrosła w 2022 r. aż 4,5-krotnie, do niemal 12 tys.

*Z naszego doświadczenia wynika, że migranci nie unikają kontaktu z Polakami, ale przeszkodą jest właśnie bariera językowa.*

I to tę barierę wykorzystują nieuczciwi pracodawcy, jak choćby właściciel warsztatu na Dolnym Śląsku, który zatrudnił wykwalifikowanego mechanika z Pakistanu. Po czym zakwaterował go zimą w nieogrzewanej przyczepie kempingowej na terenie warsztatu, odebrał mu paszport i wymagał pracy od poniedziałku do soboty po 10 godzin na dobę, twierdząc, że taki jest w Polsce podstawowy wymiar czasu pracy.

*– Pomogliśmy mu, ale obserwujemy też wykorzystywanie noszącej znamiona handlu ludźmi, dotyczy to pracowników z Kolumbii, gdzie trwa obecnie jakaś kampania promująca pracę w Polsce, oparta na całkowicie nieprawdziwych informacjach. Niedawno pomogliśmy takiej osobie, która przyjechała do naszego kraju do pracy i właściwie została pozbawiona wolności – mówi Nazimek-Rakoczy. I zauważa, że stosunek do imigrantów jest konsekwencją narracji w mediach. W 2015 r., kiedy straszono nimi w kampanii, widoczny był wzrost aktów przemocy motywowanej uprzedzeniami dotyczącymi koloru skóry, narodowości i wyznania. Wtedy ataki dotyczyły w znacznej mierze muzułmanów lub osób, które za muzułmanów były brane.*

Kartikey Johri, konsul honorowy Indii: *– Polska stała się moim domem. I wiem, że Polacy to dobrzy ludzie. W 2018 r. mieliśmy we Wrocławiu kilka przypadków napaści na pracujących tu Hindusów. Jeden został pobity w centrum miasta. Kilku nietrzeźwych osiłków chciało go zrzucić z przystanku tramwajowego do tunelu samochodowego. Pomógł mu młody Polak. Johri zaprosił tego Polaka do konsulatu i zapytał wprost, dlaczego zrobił to, czego bali się zrobić inni ludzie na tym przystanku. Chłopak odpowiedział mu, że źle by się czuł z tym, że nie zareagował na krzywdę drugiego człowieka.*

*– Zaferowałem mu w podziękowaniu bilet do Indii, ale potem bałem się, że może ta inicjatywa przyniesie odwrotny efekt – śmieje się Johri, który tuż przy wrocławskim rynku, koło swojej restauracji, postawił kilka lat temu krasnalą z twarzą dr. Harivansha Rai Bachchana, indyjskiego poety XX w. piszącego w języku hindi i przyjaciela swojej mamy. Na tę uroczystość zaprosił syna pisarza, gwiazdę Bollywood Amitabhę Bachchana. Johri z dumą pokazuje film, jaki jego rodak nagrał z przesłaniem dla Polaków na Święto Konstytucji 3 maja. – Kilka milionów odston! – mówi.*

*– Niedawno też inaugurowaliśmy z warszawską młodzieżą z Liceum Dobrego Maharadży drzewo przyjaźni polsko-indyjskiej w samym centrum Wrocławia.*

### Wyższa konieczność

Według raportu ZUS liczba osób w wieku poprodukcyjnym na 100 osób w wieku produkcyjnym wzrosła w ciągu najbliższych dziesięciu lat do 43. „Aby współczynnik obciążenia demograficznego pozostał na obecnym poziomie, w kilku najbliższych latach liczba cudzoziemców w wieku produkcyjnym musiałaby corocznie przyrastać o 200–400 tys. (...) Liczba cudzoziemców w 2032 r. musiałaby wynieść 2,8 mln osób, co stanowiłoby 13 proc. populacji w wieku produkcyjnym. Oznacza to, że aby zatrzymać wzrost współczynnika obciążenia demograficznego na obecnym poziomie, w 2032 r. blisko co ósma osoba w wieku produkcyjnym musiałaby być cudzoziemcem” – napisali analitycy ZUS i sami przyznali, że taki scenariusz jest nierealny. Bardziej realne jest zahamowanie przyrostu współczynnika obciążenia demograficznego o połowę – wymagałoby to wzrostu liczby cudzoziemców w wieku produkcyjnym w tempie 100–200 tys. rocznie. W 2032 r. liczba cudzoziemców wyniosłaby więc prawie 1,3 mln osób – 6,1 proc. populacji w wieku produkcyjnym. Co 17. osoba w wieku produkcyjnym w Polsce byłaby cudzoziemcem. O realności tego scenariusza mówi trend obserwowany przez ZUS: w 2020 r. liczba cudzoziemców zgłoszonych do ubezpieczeń społecznych wzrosła o 74 tys., w 2021 r. – o 150 tys., a w 2022 r. już o 188 tys.

Dr Ziad Abou Saleh, Syryjczyk, przypomina stereotypy dotyczące Arabów w Polsce i to, jak się zmieniały. W latach 80.: namiot, pustynia, dolary. W latach 90.: pustynia, bogactwo, ale też złe traktowanie kobiet, agresja i fanatyzm religijny. Po tragedii w WTC uznano, że wszyscy Arabowie to terroryści. – W 2015 r. Polacy dali się przekonać mediom, że muzułmanin to terrorysta. Dzisiaj ta narracja uraca. Ale wiem, i to nie tylko z doświadczenia osobistego, ale też z badań, które robiłem, że imigranci i Polacy są w stanie znaleźć w Polsce wspólną przestrzeń. Wymaga to jednak dojrzałości tak ze strony imigrantów, jak i polskiego społeczeństwa, ale pod jednym warunkiem – że politycy i ich media nie będą nami manipulować, bo wciąż na tę manipulację wielu z nas jest podatnych.

KATARZYNA KACZOROWSKA



Z początkiem wakacji ruszyła dyskusja: zabudowywać plaże i na ile (na fot. po lewej – Międzyzdroje)? Czy może zostawiać je dzikie i puste (po prawej – Jurata)?

# Złote piaski

Coraz trudniej pogodzić oczekiwania wszystkich amatorów wypoczynku nad polskim Bałtykiem. Jeśli to w ogóle możliwe.

RYSZARDA SOCHA

**N**iektórzy mówią, że gdyby Kuźnicę czy Łebę ulokować w centralnej Polsce, to nikt by tam na urlop nie pojechał. Ludzie siadają na piasku, z piwem lub bez, gapią się w zapadające w morze słońce, robią zdjęcia. Ale wymogi wobec plaży rosną. Prócz ludzi musi pomieścić coraz więcej atrakcji i udogodnień, jak gastronomia, boiska do gier, place zabaw (z tzw. dmuchańcami i bez), parki wodne, strefy hotelowe z barami, leżakami i parasolami, szkoły sportów wodnych, wypożyczalnie sprzętu rozmaitego, toalety, kosze na śmieci, przebieralnie, a także najnowszy krzyk mody, czyli plażowe

sauny na zimę. Do tego układane na piasku trakty spacerowe (z desek, kompozytów, mat gumowych). Żeby nad brzeg swobodnie dojechała mama z wózkiem dziecięcym oraz osoba z niepełnosprawnością, a i zwykły wygodniś, który nie chce pokalać sobie stóp plażowym piaskiem.

## Mojito z widokiem

W Sopocie mówią, że zza parasoli barowych coraz trudniej zobaczyć morze. Rozpętała się burza. Monika Lewandowska i Maria Czerniak, mieszkanki kurortu, prowadzą w stronę plażowego wejścia nr 33. To tu – na wydmie, między morzem a pomarańczową tablicą Urzędu

Morskiego w Gdyni głosząca, że to nadbrzeżny pas techniczny, gdzie pod karą zabronione jest chodzenie po wydmach, niszczenie roślinności, płotków faszytowych, rozniecanie ognia – właśnie wyrósł całoroczny, solidny drewniany bar. Stosunkowo nieduży (40 m kw.). Ale z rozległym (150 m kw.) tarasem, obudowanym wysoko taflami ze szkła. Tylko czekać, kiedy nad tarasem pojawi się jakaś forma zadaszenia. Bar zaanektował kawał wydmy, z której wykarczowano zieleń. Obie panie odczuwają dysonans poznawczy, bo ostrzegawczy napis na tablicy nijak się ma do realiów. A przecież coraz więcej się mówi o wydmach jako



naturalnej ochronie przed podnoszącym się poziomem mórz. Żal też zieleni, która musiała ustąpić drinkom z widokiem. Choć paręnaście metrów dalej, po drugiej stronie alejki spacerowej, gastronomii jest do wyboru, do koloru.

A są też do pokazania inne wejścia, przy których poroziadały się dwa albo i trzy bary. I miejsce, gdzie przekopano wydmę i wykonano wejście 32A, by goście hotelu nie musieli fatygować się 50 m do już istniejącego.

Bar przy 33 ma wszystkie wymagane pozwolenia. Wywołał poruszenie jako kropla, która przelała kielich. W efekcie początek sezonu zdominowała dyskusja, czy gastronomia nie za bardzo się rozhułała. Jest okazja, bo od trzech lat trwają prace nad zmianą planu zagospodarowania przestrzennego dla wydm i plaż. Początkowo, w pandemii, mieszkańcy mało się tym interesowali. Gastronomicy – i owszem. Ich wnioski do planu to istny koncert żyć. – *Głównie, by budować więcej, wyżej i szerzej* – mówi Grażyna Czajkowska, przewodnicząca komisji rozwoju i urbanistyki, radna Kocham Sopot, klubu opozycyjnego wobec prezydenta. – *Ich głos był mocny, a głos mieszkańców nie wybrzmiał.*

Teraz stał się słyszalny. Argumenty przeciw zabudowie strefy wydmowo-plażowej

podjęli radni Kocham Sopot. Wystąpili z rezolucją do rady miasta, w której postulują, by po wygaśnięciu aktualnych umów dzierżawy (najdłuższe sięgają do 2030 r.), rozpocząć proces eliminacji lokali gastronomicznych z tego rejonu. „Funkcja gastronomiczna – piszą – może być realizowana w zurbanizowanej części miasta. Oddzielmy plażę nieprzekraczalną linią – bez usług. Nic nie stoi na przeszkodzie, aby turysta zaopatrzył się w prowiant 50 czy 100 m dalej od linii plaży, a nie bezpośrednio na plaży. Zrównoważone miasto to takie, w którym obecne pokolenie nie zapomina o przyszłych”.

Radna Czajkowska ma świadomość, że petycja jest dość radykalna. Chodzi o to – tłumaczy – by podnieść temperaturę dyskusji i wciągnąć do niej jak najwięcej ludzi – mieszkańców, ale i turystów. – *Nie chcemy likwidować obiektów z tradycją, jak Koliba czy bar Przystań, gdzie koncentrują się resztki życia rybackiego. Ale część punktów jest całoroczna tylko z nazwy, a nie z funkcjonowania. Z tych na wydmach na odcinku od hotelu chińskiego do przystani rybackiej po sezonie nie działa żaden. Chodzi też o szerszą dyskusję, w którą stronę idziemy. Stwierdzenie, że ludzie stoją w kolejkach pod każdym punktem gastronomicznym latem*

*to żaden argument. To jak z autostradami – im więcej pasów, tym większy ruch samochodów. Co za przyjemność spacerować nad morzem, którego nie widać zza tych wszystkich budowli?*

Rezolucja Kocham Sopot skonsolidowała i poderwała do boju środowisko gastronomików, którzy odpowiedzieli własną petycją do rady miasta. Opisują, co się stanie, jeśli scenariusz ograniczenia lokali na wydmach się ziści – gigantyczny wzrost ilości śmieci, zanieczyszczenie wydm w związku z likwidacją toalet działających w punktach gastronomicznych, niekontrolowany rozwój sklepów sprzedających alkohol, nieskrępowany wzrost spożycia alkoholu na plażach, drastyczne zmniejszenie liczby strzeżonych kąpielisk, likwidacja stref aktywności, placów zabaw, wypożyczalni sprzętu rekreacyjnego, saun, szkółek żeglarskich itp. Słowem, armagedon. Rzecz w tym, że miasto wydzierżawiło ponad połowę powierzchni ze swoich plaż i scedowało na dzierżawców sporą część obowiązków związanych z ich utrzymaniem – wspomniane sprzątanie, udostępnianie turystom toalet (odpłatne), partycypowanie w finansowaniu kąpielisk strzeżonych. Gastronomicy uważają, że to umowy korzystne dla miasta, bo koszty stale rosną ►

► i oni muszą im sprostać. Pewnie tak jest – prezydent Sopotu i związani z nim rajcy jak lwy bronią status quo.

## Samba pod palmami

Sopockim Parkiem Północnym wędrują ku plaży dwie siostry. Wybierają ten rejon albo Jelitkowo, żeby uniknąć tłoku. Jedna jest mieszkanką kurortu, druga przyjechała z Poznania. Ciągną niewielki wózek transportowy wyładowany ekwipunkiem – od namiociku, przez koce, dmuchane zabawki do harców wodnych, po turystyczną lodówkę zapełnioną kotletami i napojami. Lodówka jest ważna, bo korzystając z barów, daleko by nie ujechały finansowo. Czasem pozwalają sobie na lody i kawę. Dzieci – łącznie sześcioro (od 3,5 do 10,5 roku) też taszczą jakieś torby i plecaki. Dla dwójki najmłodszych znalazło się jeszcze miejsce w wózku. Panie cieszą się, że dla auta znalazły darmowe miejsce parkingowe – zaoszczędzą 40 zł. Tylko z dała od molo i centrum, gdzie rozsiadły się największe hotele, można liczyć na taki fart.

Sheraton i Sofitel Grand Sopot (historyczny Grand Hotel) mają tzw. strefy hotelowe – z barami i fragmentami plaży wydzielonymi dla gości, ciasno zastawionymi rzędami leżaków i parasoli. Ich plaże są mocno wygradzone, choć nie sięgają do wody i na przedpolu jest parometrowy pas dla reszty użytkowników. Grodzenia jednak utrudniają przejście, zmuszają do slalomu, jak w dzielnicach strzeżonych osiedli. Cel niby jest tuż-tuż, ale te płoty... Co z tego, że eleganckie, z płyt szklanych... Początkowo wyglądało to inaczej – liny, więcej prześwitów umożliwiających przejście.

„Plaża jest własnością Sofitel Grand Sopot – czytamy w regulaminie ustawionym przy wejściu. – Na plaży hotelowej mogą przebywać wyłącznie goście SGS. Możliwość wstępu na plażę jest weryfikowana przez obsługę”. Mimo tych kategorycznych stwierdzeń przy wejściu to nieprawda, że na hotelowych leżakach mogą się opalać tylko mieszkańcy hotelu. To kwestia ceny. Wynajęcie leżaka kosztuje 150 zł za dzień, dwóch leżaków – 200 zł, a niskiego łóża z unoszoną budą, jak przy dzieciennych wózkach – 250 zł. Ceny mają niehotelowców odstraszyć. I tak relatywnie są niższe niż 5 lat temu, bo – co za radość – nie wzrosły, mimo szalejącej inflacji. Ale wypożyczalnia tuż za hotelowym płotem, na plaży ogólnodostępnej, życzy sobie za leżak 25 zł, za parasol – 35 zł.

W Kołobrzegu te strefy nie bardzo się przyjęły. – *U nas wielkie hotele wyeliminował rynek* – mówi Jacek Banasiak, dyrektor

Miejskiego Ośrodka Sportu i Rekreacji, który zarządza kołobrzeskimi plażami. – *Przegrywali w rywalizacji z podmiotami, które zajmują się wynajmem leżaków. To firmy rodzinne, o niskich kosztach, posiadające sprzęt. Niektóre hotele wykupują usługę od tych firm. Inne zrezygnowały.*

Z kolei w Międzyzdrojach z przytupem już 1 maja otworzył hotelową plażę działający od roku Wave Resort Międzyzdroje. Byli bębniarze i show zespołu tanecznego z Kuby. Impreza towarzyszyła otwarciu nowego pawilonu, dostępnego nie tylko dla gości Wave, ale także dla osób wypoczywających w kurorcie. Media rozpisywały się o „najbardziej luksusowej strefie na plaży w Polsce”, obejmującej restaurację, beach bar, huśtawki i leżaki. Na zdjęciach widać szpalery sztucznych palm. „Biały, elegancki wystrój stref przy plaży – donosił portal inwestycjewkurortach.pl – to znany koncept na całym świecie. Od kilku lat kojarzony z jeszcze jednym szaleństwem, czyli słynnymi White Party. To eventy – koncerty, imprezy klubowe czy bardziej eleganckie kolacje zasiadane dla VIP-ów – organizowane na całym świecie od Stanów Zjednoczonych, przez Hiszpanię, Dubaj, aż do Australii. Łączą je dwie rzeczy: biała stylistyka, której trzymają się także uczestnicy, przychodząc w totalnie jednokolorowych kreacjach, oraz bliskość wody”.

## Drogocenne piaski

W Świnoujściu miejsca pod duże bary plażowe poszły w przetargu za miesięcznie 95,5 tys. zł. Urząd Morski w Szczecinie pozwala tylko na obiekty sezonowe. To nie zatoka, jak w Sopocie, tylko pełne morze. – *Jesienią i zimą zdarzają się dni, że morze podchodzi pod same wydmy* – relacjonuje Marek Bartkowski, dyrektor zarządzającego plażą Ośrodka Sportu i Rekreacji.

Trudno się dziwić, że władarze chcieliby wycisnąć z piasku, ile się da, żeby pokryć jak największą część kosztów utrzymania plaży i kąpielisk strzeżonych. Chyba że plaży jest mało, a gości chmara. Jak w Mielnie, pięcioletniej gminie, która przyjmuje rocznie ok. 2 mln ludzi. Szerokość plaży wynosiła 10–20 m, toteż beach barów w ostatnich latach tu nie było. A Mielno intensywnie zabiegało o wpisanie do rządowego programu ochrony brzegów morskich. Doczekało się. W ten sezon wkracza z nową opaską brzegową, ostrogami i plażą 2–3 razy szerszą dzięki refulacji, czyli dosypaniu piasku. Co zrobią z tym szczęściem? Jeszcze nie wiadomo. Mirosława Diwyk-Koza z mielneńskiego magistratu podkreśla, że chcą kurort



wyciszyć, pozbyć się szyldu „polskiej Ibiży”. No i jest nacisk ratowników, by na plaży nie było napojów alkoholowych, skoro w sklepach jest nocna prohibicja.

Niełatwo znaleźć nadmorski kurort, który Sopotowi nie zazdrości. Czego? Tego, że jako wyjątek w wyniku historycznych zaszczytów jest właścicielem swoich plaż. Nie musi ich dzierżawić od Skarbu Państwa na krótsze lub dłuższe okresy. Może z dzierżawcami zawierać umowy długoterminowe, co stabilizuje sytuację i sprzyja inwestowaniu. – *Ja na trzy miesiące dostaję plażę w dzierżawę i mogę ją poddzierżawić za zgodą starosty* – relacjonuje Arkadiusz Klimowicz, burmistrz Darłowa (plaże w Darłównu – wschodnia i zachodnia – miały kiedyś po jednym barze, teraz po 4–5). – *Turyści przyjeżdżają i myślą, że burmistrz jest władcą na plażach. A my musimy prosić, żeby nam pozwolono wykonać przejście ze zjazdem dla niepełnosprawnych.*

Tak naprawdę władcą (bez względu na status własnościowy) jest stosowny Urząd Morski (w Szczecinie lub Gdyni). Bez jego woli nic się tu nie zdarzy. Nie przejdzie żaden plan zagospodarowania przestrzennego dla tej strefy. Ten wciąż obowiązujący w Sopocie, który pozwolił



**Ogródki w Sopocie. Mieszkańcy denerwują się, że spoza plażowej infrastruktury nie widać już morza.**

na krytykowane teraz bary, został przyjęty za milczącą zgodą urzędu, który w wymaganym czasie nie zajął stanowiska. – *Mamy dużo tych planów* – mówi Anna Stelmaszyk-Świerczyńska, zastępca dyrektora ds. technicznych urzędu gdyńskiego. – *Gdyby nie ta milcząca zgoda, byłoby trochę inaczej, ale nie znalazło się też nic drastycznego w tym planie.*

Wydmę w Sopocie zostały stworzone ludzką ręką. W latach 1960–70 ich tam nie było. Aż doszło do zalań i próśb, aby coś z tym zrobić. Zostały odtworzone. – *Tam woda nigdy nie podchodzi* – mówi dyrektorka o miejscu, gdzie wyrósł najnowszy obiekt. – *Wydma jest bezpieczna. Można też biologicznymi metodami ją poszerzyć. Gdyby coś takiego powstało przy wydmie w Orłowie, to miałabym wątpliwości. Nie uszędzie pozwalamy nawet na tymczasową zabudowę w pasie technicznym. Ale na wysokości miejscowości najczęściej wyrażamy zgodę.*

### **Honkenia i ludzie**

– *Przyzwyczailiśmy i przyzwyczajamy dalej turystów do totalnego lenistwa. Kiedyś po lody, wodę i rybę szło się za wydmę* – wspomina dr hab. Tomasz Łabuz, prof. Uniwersytetu Szczecińskiego

(Instytut Nauk o Morzu i Środowisku). Profesor co roku eksploruje wybrzeże od Świnoujścia po Piaski. Mierzy szerokość plaż, wysokość wydm, opisuje zmiany posztormowe, sprawdza stanowiska chronionych roślin i zwierząt. Wyliczył, że nad polskim Bałtykiem 72 miejscowości ze swoją infrastrukturą zajmują łącznie ok. 130 km wybrzeża. Z roku na rok więcej. Widzi, co się dzieje na dziewiczych do niedawna plażach, więc sopocki konflikt go nie porusza, choć obrońcy wydm odwołują się do jego publikacji.

– *To plaże* – powiada badacz – *nasypane sztucznie, a wydmę byle jakie, zarośnięte wierzbą, różą pomarszczoną, roślinami synantropijnymi związanymi z działalnością człowieka plus trochę lianych roślin typowych – miejska piaskownica dla dorosłych i dzieci. Więc niech tam sobie będą te całoroczne bary. Nad zatoką są inne parametry szturmów i falowania. A na polskim wybrzeżu jest coraz więcej turystów. 20 lat temu ok. 2 mln, a w 2019 r., tuż przed covidem, ok. 6 mln. Gdzieś muszą się pomieścić. Świnoujście ma już trzy promenady równoległe do siebie.*

– *Małe miejscowości* – kontynuuje opowieść naukowiec – *jak Poddębnie czy Dębina, pod wieczór mają plaże udeptane*

*stopa przy stopie. Rośliny nie mają szans wyrosnąć. Brak miejsca na dzikość. Ludzie są w tej chwili wszędzie, naprawdę wszędzie. Kiedyś człowiek miał mało. Teraz przywozi na plażę pół domu. Buduje siedlisko z trzech parawanów – 15 m kw. w dziewiczym miejscu. To są miłośnicy przyrody. Nie chcą wypoczywać w tłumie. Następne takie siedlisko jest 100 m dalej. Ale tam powinny być dzikie zwierzęta, np. gniazda siewek. Nie ma. I to jest większy problem niż ten, że Sopot ma bary na plaży. Niech sobie będą na plaży te różne atrakcje, byle na wysokości miejscowości większych niż Chatupy czy Kuźnica.*

Tę postępującą ekspansję naukowiec łączy w dostępnym do informacji: GPS, Google Maps, dostępem do opinii i zdjęć w mediach społecznościowych, z których ludzie dowiadują się, gdzie dojadą rowerem, dokąd można z wózkiem itp. Ale najbardziej uwierają prof. Łabuz rozliczne kosze na śmieci. Bo tak jak w mieście trudno o zdjęcie bez samochodów, tak na plaży bez tych koszy. Jakby pustych opakowań plażowicze nie mogli zabrać ze sobą, skoro pełne zdołali donieść. Żeby opróżnić te kosze, musi jechać traktor. Przy okazji rozjeżdża rośliny.

Rośliny plażowe i wydmowe są nieznaną większości turystów, ale też mieszkańcom wybrzeża: honkenia piaskowa, rukwiel nadmorska, solanka koleczysta, perz sitowy, piaskownica zwoycząjna, trzcinkownica piaskowa, wydmuchrzyca, groszek nadmorski, kruszczyk rdzawoczerwony... Chyba tylko mikołajek nadmorski – symbol nadmorza – jakoś się ludziom kojarzy. Trzeba pilnować, by nie zrywali na pamięć.

Nieliczni wiedzą, jak wygląda wydma z prawdziwego zdarzenia, bo coraz trudniej ją zobaczyć. Wielu myśli, że typowa roślinność wydmowa to wierzbę, którą sadi urząd morski, i róża pomarszczona, która jako gatunek inwazyjny wypiera te rodzime. Ale coraz częściej gotowi są bronić wydm w wersji, jaką mają. Chodzi o naturę, także tę – jak w przypadku Sopotu – niespecjalnie cenną z punktu widzenia przyrodnika. Chodzi też o pewien oddech, proporcje między przestrzenią wolną a tą zajęta na różne sposoby. O coś, co nazywa się zrównoważonym rozwojem, choć zwykle trudno wynegocjować, gdzie są jego nieprzekraczalne granice.

Sopot jest w trakcie takich negocjacji. Można zapytać: czy chcesz barów na wydmach? I rozlegnie się gromkie: tak. Ale czy chcesz ich kosztem zieleni? Tu odpowiedź może nie być taka prosta.

RYSZARDA SOCHA

# Przewodnik wyborczy

WOJCIECH SZACKI

Wielkimi krokami zbliża się start oficjalnej kampanii przed wyborami do Sejmu i Senatu.

To dobry moment, by zastanowić się, co się wydarzy w polityce w ciągu najbliższych kilku miesięcy. Przedstawiamy więc mały przewodnik po kampanijnych, ale i pokampanijnych datach i scenariuszach.



ILUSTRACJA MAGDA PELC

## Lipiec–sierpień: Andrzej Duda ogłosi datę wyborów

Wraz z początkiem wakacji zaczął się okres pewnego spowolnienia politycznego; sztabowcy wszystkich partii wiedzą, że lipiec to nie jest dobry moment na wielką politykę, składanie najważniejszych obietnic i wydawanie dużych pieniędzy na organizację konwencji. Po gorącym czerwcu emocje trochę opadły, a politycy czekają na ruch Andrzeja Dudy, który wkrótce zarządzi wybory. Kampania de facto już trwa, ale dopiero oficjalne jej ogłoszenie uruchamia nieprzekraczalne terminy, w jakich muszą się zmieścić wszystkie polityczne koncepcje.

Konstytucja daje prawo wyznaczenia terminu wyborów parlamentarnych prezydentowi, ale musi się on poruszać w określonych ramach czasowych. Głosowanie odbędzie się w dniu wolnym od pracy – czyli w niedzielę – przypadającym w ciągu 30 dni przed upływem czterech lat od rozpoczęcia kadencji Sejmu. Obecny parlament zaczął prace 12 listopada 2019 r., a więc w grę wchodzi teoretycznie cztery niedziele: 15, 22, 29 października lub 5 listopada.

PiS opowiada się nieoficjalnie za 15 października. W kościołach będzie wówczas obchodzony Dzień Papieski (rocznica wyboru kardynała Karola Wojtyły na papieża), w czym rządzący upatrują szansy na większą mobilizację prawicowego elektoratu przeciwko „antypapieskiej opozycji”. Drugim argumentem – z punktu widzenia PiS – za 15 października jest przekonanie strategów obozu władzy, że im dłuższa kampania, tym gorzej dla nich.

Duda nie wypowiedział się dotąd wiążąco w sprawie daty wyborów. W niedawnej rozmowie z Radiem Zet zasugerował jednak, że skłania się ku 15 października. Prezydent podkreślił, że jest to „bardzo ładna data”, a „Polacy nie przepadają za długimi kampaniami wyborczymi”. Można więc roboczo założyć, że posłów i senatorów wybierzemy właśnie 15 października, a jest to o tyle istotne, że od daty wyborów zależą różne terminy kampanijne – zgłaszania komitetów wyborczych, rejestracji list czy bezpłatnej kampanii w mediach publicznych.

Konstytucja daje Dudzie jeszcze jedno narzędzie do skracania bądź wydłużania kampanii. Przepisy mówią bowiem jedynie, że prezydent musi ogłosić wybory najpóźniej na 90 dni przed upływem bieżącej kadencji Sejmu – w tegorocznych realiach dzień ten przypada na 14 sierpnia. Konstytucja nie precyzuje natomiast, kiedy zaczyna się okres, w którym prezydent może zarządzić wybory; teoretycznie mógł to zrobić np. w zeszłym miesiącu. Im dłużej Duda będzie zwlekał z zarządzeniem wyborów, tym krótsza będzie kampania. To jest zaś istotne dla wszystkich partii, przede wszystkim pod kątem planowania wydarzeń kampanijnych i gospodarowania pieniędzmi. Wszystkie wyborcze wydatki kontroluje bowiem Państwowa Komisja Wyborcza. Można się domyślać, że PiS zostanie nieoficjalnie poinformowany o dacie postanowienia prezydenta o wyborach przed innymi partiami, co da mu na starcie pewną przewagę nad opozycją.

Jak to wyglądało w ostatnich latach? W 2015 r. wybory odbyły się 25 października, a Bronisław Komorowski zarządził je 17 lipca. Kampania trwała więc ponad trzy miesiące. W 2019 r. Duda ogłosił wybory 6 sierpnia, a głosowanie odbyło się 13 października, czyli partie miały na kampanię niewiele ponad dwa miesiące.

## Lipiec/sierpień–początek września: tworzenie komitetów i rejestracja list

Opublikowanie postanowienia prezydenta o dacie wyborów wraz z kalendarzem wyborczym (który wynika z ordynacji) oznacza początek oficjalnej kampanii. Najpóźniej 50 dni przed głosowaniem trzeba zarejestrować komitety wyborcze. Mogą je

tworzyć wyborcy, partie lub koalicje partii (wówczas próg wyborczy rośnie do 8 proc.). Natomiast 40 dni przed wyborami to ostatni moment na rejestrację list wyborczych. Odbywa się to na poziomie okręgów wyborczych (których jest 41) – w każdym trzeba dostarczyć co najmniej 5 tys. podpisów poparcia dla danej listy. Komitety, którym uda się zebrać podpisy w co najmniej 21 okręgach, mogą zarejestrować listy w pozostałych już bez podpisów.

Duże ugrupowania wykorzystują zbiórkę podpisów, by pokazać swą siłę i zmobilizować struktury. Dla mniejszych komitetów, zwłaszcza przy krótkiej kampanii, stanowi to pewne wyzwanie. W 2019 r. Bezpартyjni Samorządowcy zarejestrowali listy w 19 okręgach, przez co nie mogli wystawić kandydatów w całym kraju. Co wynika z tych uwarunkowań dla kampanijnej praktyki? Przy założeniu, że wybory odbędą się 15 października, komitety muszą powstać najpóźniej 25 sierpnia. W praktyce – nieco wcześniej, by mieć więcej czasu na zbieranie podpisów pod listami (termin na ich dostarczenie przypadałby na 5 września).

Wiele wskazuje na to, że Suwerenna Polska porzuciła sny o potędze i zaakceptuje warunki startu z list PiS narzucone przez Jarosława Kaczyńskiego. Ziobryści nie rejestrują zatem własnego komitetu wyborczego, a PiS wystartuje jako komitet partyjny z gościnnym udziałem m.in. kandydatów Suwerennej Polski, Partii Republikańskiej Adama Bielana i ugrupowania Pawła Kukiza. Dla celów wizerunkowych obóz władzy może korzystać z szyldu Zjednoczonej Prawicy, ale formalnie będzie to lista partyjna ze wszystkimi tego konsekwencjami – tylko PiS będzie uprawniony do subwencji w przyszłej kadencji.

Kaczyński może też – jak to już kiedyś bywało – zwlekać z rejestracją list. W 2015 r. poczekał z tym do końca sierpnia i na ostatniej prostej zablokował kandydatury Marcina Mastalerka (współpracownika Andrzeja Dudy) do Sejmu i Pawła Kowala (wówczas w Porozumieniu Jarosława Gowina) do Senatu. W tegorocznej kampanii przez PiS może zrobić podobnie i w ostatniej chwili skreślić jakiegoś polityka PiS czy nie lubianego na Nowogrodzkiej ziobrystę.

Więcej dylematów ma jednak opozycja. Czerwiec był koszmarem nieudany dla Trzeciej Drogi – sojuszu PSL i Polski 2050 – która zapowiada start jako koalicja wyborcza. Wystarczyło zaledwie kilka tygodni, by przy bardzo ostrej polaryzacji PiS kontra KO (lex Tusk i marsz w Warszawie) notowania Trzeciej Drogi spadły z bezpiecznych 14 proc. do nieco ponad 10 proc. (dane Polityki Insight). W pojedynczych badaniach z czerwca – Kantara, IPSOS i CBOS – poparcie dla przedsięwzięcia Szymona Hołowni i Władysława Kosiniaka-Kamysza – wyniosło nawet mniej niż 8 proc. Taki wynik dla koalicji oznaczałby katastrofę i brak miejsc w Sejmie, a dla całej opozycji – ryzyko powtórki z 2015 r., gdy prognoza nie przekroczył lewicowy sojusz SLD i partii Janusza Palikota (7,55 proc.), a PiS zdobył dzięki temu samodzielną większość.

Trzecia Droga ma przed sobą trzy drogi i coraz mniej czasu na decyzję. Opcja pierwsza to zignorowanie czerwcowych sygnałów ostrzegawczych i start jako koalicja z nadzieją, że mimo wszystko uda się zdobyć ponad 8 proc. głosów. Drugi wariant to zwiniecie koalicyjnych sztandarów i zarejestrowanie komitetu partyjnego (zapewne PSL), co pozwoliłoby sforsować próg nawet przy wyniku 6–7 proc. głosów; byłby to jednak koniec marzeń Hołowni o stworzeniu własnej silnej partii. Trzeci scenariusz to udanie się po prośbie do Donalda Tuska, żeby wpuścił ludowców i hołowniowców na listy Koalicji Obywatelskiej. W praktyce oznaczałoby to uznanie hegemonii Platformy i bezwarunkową kapitulację. Działacze PSL w kilku wywiadach zapewniali, że mają plan B i nie zamierzają wylądować poza Sejmem, ale oficjalnie padają mocne deklaracje, że Trzecia Droga jest na zawsze i z każdym takim stanowczym stwierdzeniem tym trudniej się potem wycofać; z drugiej strony w polityce wszystko jest możliwe. ►

► Tusk też ma dylematy. Maksymalnie wzmacniać Platformę, nawet kosztem reszty opozycyjnych partii, czy też raczej dbać o interes całej opozycji?

Może się zdecydować na wariant ofensywny – próbę zduszenia Trzeciej Drogi, zepchnięcia jej głęboko pod próg i odebrania jej wyborców. Takie transfery są wyobrażalne – sondaż IPSOS dla portalu OKO.press pokazał, że dla połowy elektoratu Trzeciej Drogi Koalicja Obywatelska jest ugrupowaniem drugiego wyboru. Zjedzenie mniejszego konkurenta pozwoliłoby zapewne Tuskowi wyprowadzić PiS w sondażach. Inaczej trudno będzie o kolejne wzrosty notowań Platformy.

Jak wyglądałby taki ruch Tuska? Można by się było spodziewać ofensywy medialnej („nie warto marnować głosu na kogoś, kto może nie wejść do Sejmu”), transferów kilku polityków z partii Hołowni do KO czy przecieków medialnych o rozdźwiękach między Hołownią a Kosiniakiem-Kamyszem. Tusk mógłby też zaferować wspólny start wyłącznie ludowcom, pozwalając obumrzeć słabnącej partii Hołowni.

Ale lider KO może obrać inną drogę i zamiast konfrontacji wybrać pokojowe współistnienie – szybkie ogłoszenie paktu senackiego, wyciszenie wojenek medialnych, uspokojenie najbardziej krewkich fanów Platformy w mediach społecznościowych. To wszystko rozstrzygnie się w ciągu kilku najbliższych tygodni. Najpóźniej w połowie sierpnia wszystko – jeśli chodzi o konfigurację opozycji – będzie już wiadome. Potem ruchu już nie będzie.

### Wrzesień – połowa października: szczyt kampanii i głosowanie

Walka o głosy potrwa do północy w ostatni piątek przed dniem głosowania, gdy zacznie się cisza wyborcza. To będzie czas największej mobilizacji partii, prezentacji programów i wzmoczonego zainteresowania opinii publicznej polityką. Na początku września będziemy już wiedzieli, jakie ugrupowania wystartują w wyborach i w jakiej konfiguracji, a także jakich wystawią kandydatów. Po rejestracji list nie można już bowiem ich zmieniać – wykreślać kandydatów, dopisywać nowych ani modyfikować ich kolejności.

30 dni przed wyborami – czyli zapewne w połowie września – PKW rozlosuje numery list wyborczych, a 15 dni przed głosowaniem zacznie się emisja bezpłatnych spotów w mediach publicznych. TVP jest też zobowiązana do przeprowadzenia debat wyborczych między przedstawicielami komitetów, które zarejestrowały listy w całym kraju. Szczegóły – czyli liczbę debat, czas ich trwania i godzinę emisji – określi KRRiT po zasięgnięciu opinii zarządu TVP. Wszystko pod kontrolą partii rządzącej. Równoległe będzie trwała kampania przed referendum w sprawie przyjmowania uchodźców, w której partie także będą miały prawo do bezpłatnych spotów w TVP i Polskim Radiu.

Samo głosowanie odbędzie się w niedzielę w godzinach 7–21. W ciągu dnia PKW parę razy poda dane o frekwencji, które będzie można porównywać z podobnymi komunikatami z 2019 r.

Późnym popołudniem zaczną się natomiast pierwsze miarodajne przecieki z przeprowadzanych w dniu wyborów badań *exit poll* (sondaż na dużej próbie wyborców głosujących w wybranych obwodowych komisjach wyborczych). O godz. 21 skończy się cisza wyborcza, a media podadzą wyniki głosowania, spodziewany podział mandatów i frekwencję.

Dane te będą potem korygowane – prawdopodobnie już po północy zostanie ogłoszony tzw. *late poll*, który uwzględni wyniki rzeczywiste z części obwodowych komisji wyborczych. Różnice w stosunku do *exit poll* nie powinny przekraczać 1 pkt proc. dla każdego komitetu, ale przy tak wyrównanym wyścigu nawet takie drgnięcia mogą zmienić obraz wyborów. W powyborczych

poniedziałek wszystko już będzie wiadomo, nawet jeśli PKW wstrzyma się jeden dzień z podaniem ostatecznych wyników ze 100 proc. komisji wyborczych.

### Październik – listopad/grudzień: tworzenie rządu

Odkąd obowiązuje obecna konstytucja, najszybciej po wyborach wotum zaufania otrzymał rząd Beaty Szydło w 2015 r. (24 dni po wyborach), najpóźniej – gabinet Kazimierza Marcinkiewicza w 2005 r. (46 dni).

W ciągu 30 dni od wyborów prezydent musi zwołać pierwsze posiedzenie nowego Sejmu (do tego czasu wciąż może się zebrać Sejm poprzedni). Na tej sesji posłowie wybiorą marszałka, na początku obrady poprowadzi marszałek senior.

W ciągu 14 dni od pierwszego posiedzenia Sejmu Duda powoła premiera i pozostałych ministrów (do tego momentu będzie rządził gabinet Mateusza Morawieckiego). Ten moment rodzi wiele pytań. Prezydent nie jest bowiem prawnie związany wynikami wyborów. Kogo wskaże prezydent, jeśli PiS wygra wybory, ale opozycja łącznie będzie miała więcej posłów? Czy Duda powierzy misję tworzenia rządu Tuskowi czy wyznaczy innego polityka opozycji?

Po powołaniu rządu nowy premier musi w ciągu 14 dni wygłosić *exposé* i uzyskać od Sejmu wotum zaufania bezwzględną większością głosów w obecności co najmniej 230 posłów. Gdyby premier to głosowanie przegrał, to musi podać się do dymisji, a inicjatywa utworzenia rządu przechodzi do Sejmu. W ciągu 14 dni posłowie – ponownie bezwzględną większością głosów – mogą wybrać premiera oraz proponowanych przez niego ministrów, a prezydent odbierze przysięgę od nowej rady ministrów.

Jeśli w tym drugim kroku nie uda się powołać rządu, ruch wróci do Dudy. Prezydent dostanie kolejne 14 dni na powołanie premiera i rządu, a potem – w ciągu następnych 14 dni – w Sejmie odbędzie się głosowanie nad wnioskiem o wotum zaufania.

Drugiego i trzeciego kroku w historii obowiązywania konstytucji jeszcze nie przerabialiśmy, wszystkie rządy po wyborach powstawały w pierwszej sekwencji. Co więcej, poza gabinetem Marcinkiewicza – gdy po wyborach 2005 r. upadła koncepcja koalicji PO–PiS – za każdym razem jasne było, kto ma większość i kto będzie premierem. Dwukrotnie (w latach 2011 i 2019) na czele rządu nie było zresztą zmiany, funkcję utrzymali odpowiednio Tusk i Morawiecki.

Z obecnych sondaży i deklaracji partyjnych liderów wynika, że tym razem może być inaczej. Jeśli prezydent powoła na premiera kandydata PiS, a Kaczyński nie będzie pewny większości, to pierwszy krok może być maksymalnie przedłużony (do pierwszej połowy grudnia), by dać czas na negocjacje z posłami, którzy mogliby poprzeć rząd. Politycy obozu władzy wskazują na różne warianty – transfery pojedynczych posłów (gdyby do większości brakowało niewiele), koalicję z Konfederacją bądź jej narodową częścią, a nawet z PSL. Wskazówkę, czy te rozmowy się powiodą, da wybór marszałka Sejmu.

Pat może się jednak przedłużać, zwłaszcza jeśli siły PiS i opozycji będą wyrównane, a brakujące głosy mogłyby zapewnić tylko Konfederacja. Negocjacje ciągnęłyby się tygodniami, a ostatnia próba stworzenia rządu odbyłaby się w połowie stycznia. Gdyby i wtedy rząd powołany przez prezydenta w trzecim kroku konstytucyjnym nie zdobył wotum zaufania, Duda musiałby skrócić kadencję Sejmu i zarządzić przedterminowe wybory, które odbyłyby się w ciągu 45 dni od zarządzenia prezydenta, czyli zapewne pod koniec lutego. To nie jest oczywiście scenariusz z kategorii bardzo prawdopodobnych, ale wykluczyć go nie można.

WOJCIECH SZACKI

# Żydzi, masoni i niskie podatki

Lżenie gejów i kobiet, dużo sympatii dla Władimira Putina, rozsiewanie narracji spiskowych i fake newsów. Przyglądamy się, co oprócz niskich podatków postulują nieco ukryci ostatnio liderzy Konfederacji: Grzegorz Braun i Janusz Korwin-Mikke.

PRZEMYSŁAW WITKOWSKI

**Z**a twarze partii robią dziś Krzysztof Bosak i Sławomir Mentzen. Braun i Korwin-Mikke, choć teraz w kampanii nieco niewidoczni, niemal na pewno mają startować z pierwszych miejsc list wyborczych Konfederacji w swoich okręgach. I jeśli partia przekroczy próg, a na to się zapowiada, znajdą się ponownie w Sejmie. Spróbujmy podsumować, co mają do powiedzenia o Polsce i świecie.

## Szachy dla debili

Janusza Korwin-Mikkego raczej przedstawiać nie trzeba. Jest obecny w polskiej polityce od ponad 50 lat. Zaczynał od udziału w protestach studenckich w latach sześćdziesiątych, żeby w kolejnych dwóch dekadach stać się w Polsce jednym z prekursorów konserwatywnego liberalizmu. Po krótkiej obecności w Sejmie na początku lat dziewięćdziesiątych na wiele lat wylądował na marginesie politycznym, zakładając kolejne ►

► pozaparlamentarne partie: od Unii Polityki Realnej począwszy, przez Kongres Nowej Prawicy, na KORWiN kończąc. Ostatecznie u jesieni życia udało mu się wrócić do ław parlamentarnych jako jednemu z liderów Konfederacji i po raz pierwszy bezkonfliktowo przekazać władzę w swoim ugrupowaniu następcy.

Trudno było nie słyszeć o choćby jednej z jego kontrowersyjnych wypowiedzi dotyczących kobiet, gejów, migrantów, osób trans czy pedofilii. Jego zdaniem kobiety są od mężczyzn słabsze, mniejsze i mniej inteligentne, nic nie wynalazły i będąc specyficzną kategorią niepełnosprawnych, na drabinie bytów zajmują miejsce między samcem a dzieckiem. W kwestii aborcji, zdaniem Korwina, kierują się przede wszystkim emocjami i jak stanowi prawo rzymskie, nie powinny być sędzią we własnej sprawie. Plus „jeżeli ojciec ma płacić alimenty, powinien mieć prawo decyzji, czy dziecko zabić, czy nie”. Muszą też zarabiać mniej niż mężczyźni. To jednak mało istotne, bo przecież „Kobieta idzie na studia albo do pracy po to, by znaleźć tam męża” i ostatecznie zostac panią domu, „na którego utrzymanie zasuwa wybrany przez nią niewolnik” [w sensie partner – przyp. aut.]. Jego zdaniem panie „nie powinny mieć prawa głosu” i „żadnego wpływu” na rządy. Generalnie i tak nie potrzebują głosować, bo zdaniem pana Janusza „kobieta przesiąka poglądami człowieka, z którym sypia”, gdyż jego plemniki wnikają „w ciało kobiety i przerabiają ją na obraz i podobieństwo mężczyzny, do którego ona należy”. Te, które się na to nie godzą, to zdaniem Korwin-Mikkego feminazistki. Niszczą naturalny porządek rzeczy i zachodnią cywilizację.

Z ludzi z niepełnosprawnością pożytku jego zdaniem nie ma i lepiej ich za bardzo nie integrować, bo i reszta „zdebileje”. O paraolimpiadach stwierdza wprost: „równie dobrze można by organizować zawody w szachy dla debili lub turnieje brydżowe dla ludzi z zespołem Downa (...). W telewizji powinniśmy oglądać ludzi zdrowych, pięknych, silnych, uczciwych, mądrych – a nie zboczeńców, morderców, słaubeusz, nieudaczników, kiepskich, idiotów i inwalidów”.

Stosunek do seksu Korwin-Mikke ma także, delikatnie ujmując, daleki od katolickiej ortodoksji. „Molestowałem w życiu setki kobiet”, mówi o sobie. Niczym strasnym jest dlań obsadzenie w roli aktorki uzależnione od tego, że się ją „wypróbuje w łóżku”. Opcja „praca za seks”

nie jest żadnym molestowaniem, a jedynie transakcją. Zresztą „kobieta, zapraszając mężczyznę do domu, daje mu jasny sygnał czego od niego oczekuje” i każda „udaje, że stawia jakiś opór”. „Zawsze się troszeczkę gwałci” – podsumowuje tę kwestię Korwin-Mikke. „Z tą pedofilią mocno się przesadza”, a „dotykanie przez mężczyznę (...) raczej rozbudza kobiecość i pomaga niż szkodzi”, stwierdza Korwin-Mikke. Kto jest winny ujawniania skandali pedofilskich? Oczywiście „Wielki Wschód czy inny sanhedryn”, które wydały „polecenie, by pedofilii wyłączyć spod zboczeń zalecanych lub tolerowanych”. Cel tego działania? „Rozbicie rodziny”. I puentuje: „Wolałbym, żeby moja córka trafiła w ręce pedofila, który po pupie pogłaszcz, niż poszła na lekcję edukacji seksualnej, bo to zabija erotyzm”.

### Jego Eminencja Włodzimierz Putin

O pozaeuropejskich uchodźcach zdanie ma ambiwalentne, bo z jednej strony są jak najeżdżający tolkienowskie Śródziemie Orkowie, a z drugiej ich dominacja i tak jest lepsza niż unijna, bo „Hiszpania pod okupacją arabską przez prawie 500 lat kwitła” i „mordercom będą obcinali głowy jak trzeba, nie będzie żadnych pochodów miłości, równości i tak dalej” i znikną niezgodne z Koranem podatki. Generalnie jednak wypowiedzi dotyczące migrantów, szczególnie tych czarnych, pełne są pogardy. „Europę zalewa murzyńskie szambo” stwierdził Mikke, jakoby cytując kongijskiego dyplomata. „Możemy być dumni, że uwolniliśmy części Afryki od tego szamba, ale naszym obowiązkiem jest nauczenie tych ludzi rozumu”, dodał. To nie jednorazowy wyskok. „Jak Polak jako taksówkarz pracuje w Nowym Jorku, to mówimy, że on się wysługuje amerykańskim kapitalistom. Jak nam służą, to ja się czuję jak Pan, niech mi te czarnuchy służą, bardzo dobrze”, powiedział w kwietniu 2019 r. Korwin-Mikke. W jednym ze swoich tekstów stwierdza: „Murzyni w Nowym Jorku o estetykę dbają, może nawet bardziej niż Białasy – ale je pisałem o zapachu!! Tu nie chodzi o smród z powodu brudu – to po prostu kwestia naturalnej woni. Również płci: związki mieszane są rzadkie dokładnie z tego samego powodu: gdy byłem (względnie) młody, zdołałem eksperymentalnie przemódz [pis. org. – przyp. aut.] się do Murzynki – ale zapach białej kobiety białego mężczyznę podnieca, a zapach czarnej nie. I odwrotnie”.



Lider Konfederacji chciał też rozstrzeżliwać unijnych urzędników i polować na „lewaków”, UE nazywał nową emanacją ZSRR, Eurokołchozem i „Jewropą”, spoliczkował publicznie byłego ministra, został dźgnięty nożem przez członka swojej rodziny, córkę heroinistkę wyciągał z aresztu, a następnie ożenił z szefem struktur swojej partii w Lubelskiem, a dzieci i żonę wciągał na listy wyborcze.

Nie ma, zdaniem Korwina, dowodów, że Hitler „wiedział o Holokauście”, za jego czasów góral mógł sobie robić, jakie chciał oscypki, a ojciec pana Janusza płacił trzy razy mniejsze podatki niż te, które obowiązują obecnie. Führer III Rzeszy to dla Korwin-Mikkego raz prekursor Unii Europejskiej, raz autor mądrych rozwiązań gospodarczych, raz zbrodniarz „jak Obama”, raz niezwykle zdolny akwarelista. Stalina też zdaje się w jakiś sposób lubić, gdyż jego zdaniem mordował bolszewików, homoseksualistów wysłał do obozów pracy na Syberii i ukrócił „wolną miłość”. A dzięki rozjechaniu czołgami protestujących studentów udało się w Chinach wywalczyć „prawdziwą wolność, a uniknąć demokracji i socjalizmu”.

Od lat osiemdziesiątych postuluje zbliżenie z Rosją, a od dziewięćdziesiątych z Białorusią, podziwia Władimira Putina i chciałby, żeby był prezydentem Polski, a jeśli nie on, to chociaż Aleksandr Łukaszenka. Twitterowa ofensywa Korwin-Mikkego z ostatnich dwóch lat, w której rozsiewał rosyjską dezinformację, powielał fake newsy i atakował Ukrainę, nie jest jakimś dziwactwem starszego pana, ale kontynuacją prawie już czterdziestoletniego trendu i stabilną postawą geopolityczną.

### Służby, mafie, łoża

Drugi z liderów Konfederacji jest równie kontrowersyjny. Sprzeciw wobec potępienia Rosji, wzmacnianie postaw antyukraińskich, spiskowe teorie geopolityczne, fake newsy i żywy odzew w moskiewskich mediach – tak wyglądał ostatni rok w wykonaniu Grzegorza Brauna. W dużej mierze jego publiczna aktywność została skanalizowana w działania skierowane przeciwko ukraińskim uchodźcom i w dążenia do wycofania polskiego wsparcia dla wschodniego sąsiada. Poprzednie dwa lata poświęcił z kolei walce ze szpiczeniami i pandemicznymi obostrzeniami. Wcześniej był jednym z głównych propagatorów spiskowych narracji smoleńskich.

Trudno się dziwić, że jeszcze kilka lat temu mało kto z liberalno-lewicowych elit brał Brauna na poważnie. Trudno im było uwierzyć, że w drugiej dekadzie XXI w. ktoś

na serio domaga się batożenia gejów, przywrócenia mszy po łacinie i uważa, że Maryja zatrzymała w 1877 r. pierwszą wojnę światową, objawiając się w warmińskiej wiosce. Zdziwienie tym bardziej rosło, kiedy krok po kroku Braun wyrwał się z politycznego marginesu, kończąc ostatecznie w sejmowych ławach. Najpierw 12 proc. w wyborach na prezydenta Gdańska i ponad 5 proc. na Podkarpaciu do europarlamentu. Potem w 2019 r. 31 148 głosów w okręgu rzeszowskim i mandat do Sejmu. W liczbach bezwzględnych wynik Brauna to więcej, niż zebrali w tym okręgu liderzy listy Koalicji Obywatelskiej Paweł Pomyjusz i Joanna Fydrych. W 2021 r. w wyborach na prezydenta Rzeszowa oddał już na niego głos co dziesiąty głosujący.

Tymczasem trudno w polskiej polityce o większy rozsądek spiskowych narracji. Życie wypełnia mu walka z „masonerią”, „żydostwem”, telefonią 5G, szczepieniami, ideologią gender i obstrzeleniami pandemicznymi. Jego rodzinny Wrocław to jego zdaniem „polski Wiedeń”, gdzie spotykają się „mafie, służby i łoże”. Miasto bowiem przejęła obca agentura. Już wrocławscy pierwsi osadnicy w 1945 r. to zdaniem posła zaufani „sowieciarze”. Sztaby tzw. Północnej Grupy Wojsk Armii Czerwonej, Legnica, ze słynną „małą Moskwą”, Świdnica – miasto, z którego dowodzona była operacja „Dunaj”, tajny bunkier pod Ofawą, gdzie miało znajdować się jedno z centrów dowodzenia trzecią wojną światową, WSI, SB, KGB, STASI, BND i GRU oraz Putin w pobliskim Dreźnie wszystko to dla Brauna świadczy, że na Dolnym Śląsku „mamy więcej postsowieckiej agentury na kilometr kwadratowy niż w jakimkolwiek innym regionie Polski”.

Propaguje autorytarny system polityczny, przychylnie patrząc na Hiszpanię generała Franco czy Chile Pinocheta. „Nie sądzę zatem, żeby Polska mogła być odzyskana w trybie demokratycznym” – oznajmił. Nawołuje do obalenia ustroju Polski siłą. „Mówiąc wprost – najpierw zamach stanu, a potem całkowita zmiana systemu politycznego. Jestem monarchistą, więc modłę się o powrót Króla”. Szkołę Braun rozumie specyficznie. Powinna ona być wyznaniowa, katolicka, bo tylko taka jest „ochroną przeciwko pogromom duchowym i intelektualnym”, a także przed systemem „depracacji” i „dezinformacji”, „szkoły patentu kołtająowsko-stalinowskiego”.

A po mszy w niedzielę strzelnica i na Mikołaja dzieciom paczka amunicji, bo „strzelanie to patriotyczna kaligrafia” i „patriotyczne zen”. Kobiety chce karać za aborcję więzieniem i publicznie

biczować gejów. Robert Biedroń jako „publiczny, zawodowy sodomita” powinien trafić, wedle Brauna, do więzienia. Zgodnie ze spiskową narracją tzw. kulturowego marksizmu oznajmia, że „rewolucja światowa, mafie, służby i łoże, Żydzi i masoni, (...) traktują sodomitów jako zaginiony lumpenproletariat swojej rewolucji”.

Nie wierzy w szczepienia, uważa, że nie są oparte „na faktach potwierdzalnych, weryfikowalnych naukowo czy statystycznie”. Jego zdaniem to „wielki eksperyment medyczny” i „loteria”, realizowane „przez postępacko-totalniacką wściekłość”, które godzą „w suwerenność władzy rodzicielskiej” oraz uderzają „w nasze cywilizacyjne, wolnościowe tradycje”. Jego zdaniem „Wielka Orkiestra Świątecznej Pomocy to jest jeden ze zworników postpeerelowskiego systemu zakłamania i propagandy III RP”, zrównoważony rozwój to diabelstwo, „kultura wiąże się genetycznie, organicznie z Tradycją christianitas”, co jest szczególnie ważne w czasach, gdy „realizowany jest scenariusz ostatecznego rozwiązania kwestii polskiej (...) anihilacji państwa polskiego, anihilacji polskiego projektu suwerennościowego”.

Jako że jego zdaniem Polska jest lądem Eurokołchozu – który w praktyce kontynuuje misję III Rzeszy metodami ZSRR, a „narodowych socjalistów” Hitlera i „międzynarodowych socjalistów” – Lenina zastąpili eurosocjaliści Michnika. Zgnębioną ojczyznę administruje „rząd warszawski” (nie polski, tylko obcy, mający siedzibę w Warszawie), a krajem rządzi agentura „postsowiecka”, „neorosyjska”, „imperium amerykańskiego”, „niemiecka”, „żydowska” i „ukraińska”.

### Polacy do rezerwatów

Po co to wszystko? Oczywiście aby zbudować „żydowską suwerenność wyspowa” w regionie od Szczecina do Odessy. Izrael, Niemcy i polscy zdrajcy dążą bowiem do zbudowania Mitteleuropie i umieszczenia w niej „Judeopolonii”. Zdaniem Brauna Izrael jest w kryzysie demograficznym, gospodarczym i militarnym, a na Bliskim Wschodzie zbliża się wielka wojna, Żydzi szukają więc nowego terenu pod kolonizację. Przejęcie kontroli nad terytorium Polski jest oczywiście kluczowe. Narzędzia to między innymi „Shoah” Lantzman, „Lista Schindlera” Spielberga, Muzeum POLIN (Braun nazywa placówką eksterytorialną), a także rozszczenia względem mienia bezspadkowego po zamordowanych Żydach i oskarżenia o mord w Jedwabnem.

Efekty? Ostateczne rozwiązanie kwestii polskiej, przejście Polaków do rezerwatów, konkursy na kandydatów do Polenratów i życie w „Kondominium”, gdzie zdaniem Brauna Żydzi mają zajmować się handlem niewolnikami. A nad wszystkim mają czuwać, jako zbrojne ramię, Stany Zjednoczone. Braun jest bowiem wielkim wrogiem USA. Wiceprzewodniczący Konfederacji nazwał „zdradą” sprawowanie amerykańskich wojsk na terytorium Polski. Po ratyfikowaniu w sierpniu 2020 r.

umowy między rządami Polski i USA o wzmocnionej współpracy

obronnej nazywał ją „Kolonizacją plus” i „Okupacją plus”. Wzywał do uznania ówczesnej ambasador USA Georgetown Mosbacher za persona non grata, a w zarejestrowanej w Moskwie Gloria.tv ogłaszał relacje, jakoby była ona chińskim agentem. I najwyraźniej też i żydowskim, bo jak twierdzi Braun, dyplomacja USA będzie przymuszona Polskę do zapłaty „haraczu” Żydom za mienie bezspadkowe.

W efekcie, aby Polskę uratować, konieczne jest zdaniem Brauna wywrócenie na nice naszych sojuszy. Braun oznajmia: „Ameryka wróg Polski numer jeden!”. Musimy koniecznie opuścić NATO i związać się z Białorusią, Iranem, Turcją i Chinami, a na Na Fort Trump odpowiedzieć Fortem imienia Xi Jinpinga.

### Kto jeszcze?

Nie znamy jeszcze ostatecznego kształtu list Konfederacji. Kogo możemy się jeszcze spodziewać? Trudno powiedzieć. Ponoć w Konfederacji trwają intensywne wewnętrzne tarcia. Zgłaszani na listy przez Brauna liderzy ruchu „antywojennego” Leszek Sykulski i Sebastian Pitoń (oraz jego żona Monika Stanisławska-Pitoń) i antyszczepionkowego – Justyna Socha mają być blokowani przez innych liderów Konfederacji jako „problematyczni”. Oprócz Mentzena i Bosaka duże zakulisowe wpływy ma mieć w Konfederacji były poseł PiS Przemysław Wipler i to on jest wskazywany przez moich rozmówców jako ten, który nie chce dopuścić do umieszczenia na listach najbardziej kontrowersyjnych polityków, licząc na zdobycie przez partię większej liczby głosów z politycznego centrum. Czy to się uda? Całkiem możliwe, jeśli wyborcy uwierzą, że Konfederacja to tylko „niskie podatki”. To będzie głosowanie z przymkniętym jednym okiem. Z tym że niskich podatków raczej nie będzie, a Korwin i Braun w Sejmie – raczej tak.

PRZEMYSŁAW WITKOWSKI

# Wejdą, nie wejdą?

Jeden potknął się kiedyś o Kaczyńskiego, drugi nie wytrzymał konkurencji z PO. Roman Giertych i Ryszard Petru nie porzucili jednak politycznych ambicji i poprzez Senat próbują wrócić do gry. Problem w tym, że mogą przy okazji nieźle narozrabiać.

RAFAŁ KALUKIN

**Z**eby wytłumaczyć, dlaczego tak im spieszo do startowania w wyborach, obaj najchętniej sięgają po wzniosłe frazy o konieczności wyswobodzenia Polski spod niszczycielskich rządów PiS. Własne ambicje wołają na wszelki wypadek pominąć. Dają do zrozumienia, że są ludźmi spełnionymi, wiedzie im się znakomicie. Spełniają więc klasyczne kryteria idealnego polityka, którego popycha do działania imperatyw działania obywatelskiego, a nie chęć zysku czy żądza władzy.

## Wolno, ale czy trzeba?

W jakimś sensie można się z tym zgodzić. W końcu ich kariery polityczne już raz zakończyły się spektakularnymi wywrotkami. Roman Giertych musiał wręcz wymyślić się na nowo, z czego wynika jedyna w swoim rodzaju kreacja politycznie zaangażowanego adwokata, a przy okazji influencera i celebryty. Podobnie Ryszard Petru po zaliczeniu nieudanego politycznego lotu wrócił do tego, na czym zna się najlepiej, czyli doradztwa finansowego. Spoglądając na miasto z obszernego tarasu jego biura na Mokotowie, można dojść do wniosku, że radzi sobie nie najgorzej. Po cóż więc wracać im do świata, który tak brutalnie ich potraktował?

Występują teraz obok siebie w medialnych doniesieniach, chociaż to przypadki osobne. Wzajemnie ledwo co się znają i nie utrzymują ze sobą kontaktów. Niemal rówieśnicy, ale poza tym prawie wszystko ich różni. W polityce się rozminęli, a przy tym zajmowali krańcowo odmienne bieguny; jeden był nacjonalistą ze skłonnością do awanturnictwa, drugi – wolnorynkowym liberałem znanym z zabawnych gaf. Ostatecznie obaj zostali zduszeni przez polaryzację,

nie wytrzymując konkurencji z wielkimi partiami.

Ich deklaracje kandydowania wbrew paktowi senackiemu napsuły w ostatnim czasie sporo krwi. To nic innego jak zawołany polityczny szantaż: jeżeli nas nie przyjmiecie na skrót do paktu, wystartujemy na własną rękę i wtedy opozycja może stracić niemal pewne mandaty. W jednomandatowych okręgach senackich ordynacja wymusza bowiem wystawienie tylko jednego kandydata reprezentującego dany blok. Każdy ponadwymiarowy będzie rozpraszal głosy, działając na rzecz konkurencji.

Samowolki zdarzały się już w poprzednich wyborach. Najwięcej emocji budził start szefa Obywateli III RP Pawła Kasprzaka przeciwko oficjalnie usankcjonowanemu paktem senackim Kazimierzowi Michałowi Ujazdowskiemu, którego obciążała przeszłość w PiS. Na szczęście w Warszawie przewaga elektoratu opozycyjnego była na tyle znacząca, że rozproszenie głosów nie przyniosło wielkiej szkody; ostatecznie

to Ujazdowski wywalczył mandat. Z kolei w łódzkim obwarunku to startujący niezależnie Krzysztof Kwiatkowski pokonał paktowego kandydata Lewicy. Mało kto się jednak oburzał niesubordynacją Kwiatkowskiego, którego propaństwowa postawa była powszechnie znana, podobnie jak sława wybitnego legislatora. Po zakończeniu kadencji w NIK chwilowo nie posiadał

Roman Giertych

politycznego przydziału, ale gdy już się znalazł w Senacie, od razu stał się jednym z filarów opozycyjnej większości. Przypadki Petru i Giertycha wydają się dużo trudniejsze, a też chyba pragnienie jedności w obozie opozycyjnym nieco wyższe niż przed czterema laty.

Oficjalnie obaj ujawnili się pod koniec maja. Roman Giertych ogłosił to na swoim kanale YouTube. Znad biurka, z bukietami kwiatów w tle. Przybierał pogodny ton, popadając nawet w nostalgję. Jego zapowiadany start w okręgu pod Poznaniem, obejmującym rodzinny Kórnik, to w końcu nic innego niż powrót do krainy dzieciństwa. Chociaż zanim mecenas już zaczął zbierać poziomy, musi jeszcze przeprowadzić rachunek sumienia.

Formę prezentacji wymusiły okoliczności: Giertych od ponad roku mieszka w rezydencji pod Rzymem. W kraju wciąż ciąży nad nim zarzuty o pranie brudnych pieniędzy i działanie na szkodę własnej spółki. Raczej mało kto na opozycji daje im jednak wiarę, jako że wyszły one z piśmowskiej prokuratury i noszą wszelkie znamiona zemsty politycznej. Co zresztą pośrednio potwierdził sąd, który nie znalazł wystarczających powodów do aresztowania Giertycha. Ten wołał jednak dmuchać na zimne i omija ojczyzną szerokim łukiem. Tylko jak w takim razie prowadzić będzie w rodzinnym Kórniku kampanię?

Z kolei Ryszard Petru ogłosił swój start na konferencji prasowej. Tłumaczył jednak podobnie: zbliżają się najważniejsze wybory i nie wolno stać z boku. „Kluczowe jest, by po stronie opozycji była oferta liberalna, wolnorynkowa” – dodawał. Dawniej odgrywała tę rolę Nowoczesna, ale teraz nie wykorzystuje swoich możliwości, co miało skłonić jej założyciela do podjęcia decyzji o samodzielnym

kandydowaniu z warszawskiego okręgu obejmującego m.in. Mokotów, Ursynów i Wilanów. A że Petru od ponad roku znów jest członkiem Nowoczesnej, przy okazji zapowiedział, że po wyborach będzie się ubiegał o stanowisko jej szefa. Słuchającym tego wszystkiego partyjnym kolegom podobno wydłużyły się twarze.

### Sam się wystawił

*– Od dawna sygnalizowałem gotowość startu, najlepiej w moim rodzinnym Dolnym Śląsku. Odzew był sympatyczny, chociaż bez konkretów. Czekałem cierpliwie, nic się nie działo i w końcu trzeba było zacząć działać samemu* – opowiada Ryszard Petru w rozmowie z POLITYKĄ. Chociaż od czasu tamtej konferencji trochę się zdążyło pozmieniać. Przede wszystkim okręg wyborczy.

Petru spuścił z tonu po publicznym apelu szefa klubu KO Borysa Budki, żeby

obaj z Giertychem przestali kozaczyć w okręgach, w których opozycja wygraną ma w kieszeni. I jeżeli naprawdę chcą się przydać, niech powalczą z PiS choćby na Podkarpaciu. Na co Petru natychmiast przystał. Od tego czasu trwa szukanie miejsca dla byłego lidera Nowoczesnej w którymś z trudnych okręgów. Ostatnio najczęściej mówiło się o Stalowej Woli, chociaż kooptacja Petru wciąż nie jest pewna. Negocjatorzy paktu senackiego trochę się obawiają tworzyć precedens, gdyż uginając się, mogą sprowokować kolejnych „szantażystów” z rozpoznawalnymi nazwiskami. A do tego trzeba jednak uzgodnić sprawę z PSL, które z zasady miało obsadzać swoimi kandydatami wszystkie najtrudniejsze okręgi, w których trzeba szukać sposobu na odbijanie wyborców PiS. Tymczasem ludowcy nie są skłonni ustępować pola liberałowi.

Kolejnym problemem jest nieuporządkowana relacja Petru z jego własną partią. Teoretycznie to Nowoczesna powinna przecież zgłosić do paktu swojego dawnego lidera, na co ten otwarcie liczył. Trudno jednak rozstrzygnąć, czy odzew naprawdę był taki „sympatyczny”. Wygląda bowiem na to, że obecny szef partii Adam Szłapka nigdy nie zamierzał proponować swojego poprzednika, który skądinąd nawet nie należy do jej szerokiego kierownictwa. Powracającemu na partyjne łono ponad rok temu Ryszardowi Petru zgotowano na zjeździe owację, ale w wyborach do Rady Krajowej zajął dopiero 51 miejsce, tuż pod kreską.

Niepowodzenie bynajmniej nie pokrociło ambicji pierwszego lidera Nowoczesnej. Nie doczekawszy się oficjalnej nominacji, postanowił wystawić się sam, asekurując się deklaracją powalczenia ze Szłapką o partyjne przywództwo. Tyle że wyborczy zjazd odbędzie się dopiero w 2026 r. Zapewne chodziło jednak o wykreowanie takiej sytuacji, w której Szłapce byłoby niezręcznie ukarać za nie-subordynację już niemal oficjalnego rywala. Co niewiele dało, bo lider Nowoczesnej nic sobie z tego nie zrobił i doprowadził do zawieszenia Petru w prawach członka.

„Jestem tak zajęty Siecią na Wybory, że nie mam nawet chwili aby zjeść. Proszę mi wybaczyć, ale pracuję po 17 godzin na dobę” – odpisuje nam Roman

Giertych, kiedy prosimy go o rozmowę. Sieć na Wybory to autorski projekt, realizowany wspólnie z Radosławem Sikorskim. Chodzi o to, żeby zintegrować jak ▶

Ryszard Petru

► najwięcej opozycyjnych kont w mediach społecznościowych, by niosły odgórnie uzgodniony przekaz. Niemal każdego dnia Giertych proponuje aktualne hasło albo slogan, najczęściej punktujące kolejne wpadki rządzących.

Od lat pozostaje jednym z najbardziej zaciekle krytyków władzy w mediach społecznościowych. Nie unika dosadnych epitetów, chętnie też sięga po insynuacje. Jako prawnik doskonale umie zarysować granice, w których można to czynić bezkarnie. Jeszcze dalej posuwa się zresztą kojarzony od wielu lat z Giertychem Jan Piński, dawniej ultrapravicowy dziennikarz, ostatnio influencer zdobywający popularność w antypisowskim internecie, przy okazji prowadzący też dosyć kuriozalny w formie i treści portal Wieści24.

Z takimi zasługami dawny założyciel Młodzieży Wszechpolskiej i wicepremier w rządzie PiS stał się po latach jednym z idoli zradykalizowanej opozycyjnej społeczności #SilniRazem, twardo stojącej za Donaldem Tuskiem i zwalczającej jego opozycyjnych konkurentów. Tyle że nie każdą jej emocję mimo wszystko Giertych podziela, starając się chronić Szymona Hołownię, oskarżanego od jakiegoś czasu o kolaborację z PiS.

### Przeszłość ciągle ciąży

Giertycha i Hołownię łączy nie do końca jasna relacja. Z plotek wynika, że poznali się wiele lat temu w ruchu Opus Dei. Giertych dał się zresztą zapamiętać jako gość wieczoru wyborczego Hołowni po pierwszej turze wyborów prezydenckich w 2020 r. I podobno to właśnie Polska 2050 miała teraz wstawić Giertycha do senackiej puli, przy akceptacji Koalicji Obywatelskiej. Tyle że mający coraz większe problemy Hołownia najwyraźniej uznał, że kruszący się front jego zwolenników nie zrozumie powodów wystawiania tak niecodziennego kandydata. Giertych długo więc bezowocnie czekał, aż w końcu zgłosił się sam.

Taką przynajmniej wersję zdarzeń suflują politycy PO. Ale jest też alternatywna, wedle której Giertych wcześniej dogadał się Platformą co do swojego startu z poznańskiego „obwarzanka”. Problem w tym, że pospieszył się z publicznym ogłoszeniem decyzji, podczas gdy partia potrzebowała czasu, żeby namówić tradycyjnie startującą w tym okręgu Jadwigę Rotnicką do przesunięcia się na listę poselską. Niczego nieświadoma Rotnicka oczywiście zareagowała gniewnie, a partia stanęła po jej stronie. W tej sytuacji kierownictwo PO musiało unieważnić domniemany deal z Giertychem. Sytuacja byłego wicepremiera pozostaje więc

niejasna. Za kulisami słyszymy, że gdyby wzorem Petru zgodził się wystartować jako kandydat niezależny w trudniejszym okręgu, jakieś miejsce w ramach senackiego paktu pewnie by się znalazło. Ale na razie Giertych chyba nie zamierza opuszczać rodzinnych stron.

Chociaż pożegnał się z czynną polityką już 16 lat temu, przeszłość nadal mu ciąży. Nie wszyscy wierzą w szczerłość jego ideowej przemiany, antypisowski pryncypializm Giertycha identyfikując jedynie z urażoną dumą przystawki schrupanej przez Kaczyńskiego. Inni wciąż mają mu za złe ideologiczne obcegi, którymi jako szef MEN w rządzie Jarosława Kaczyńskiego próbował ścisnąć polską edukację. W jakimś sensie był protoplastą ministra Czarna.

Sam Giertych kajał się już za przeszłość wielokrotnie. Najpierw wycofał swój sprzeciw wobec integracji z UE. Następnie widowiskowo odciął się od rodzinnej tradycji antysemickiej, jako wicepremier w rządzie PiS składając wizytę w Jedwabnem. Już po odejściu z polityki stopniowo starał się również tępić ostrze swoich radykalnych poglądów na aborcję i prawa osób LGBT, chociaż nigdy nie odrzucił ogólnej orientacji konserwatywnej. Z tego głównie powodu nie chce dzisiaj Giertycha w senackim pakcie Lewica, podobnie jak bardziej progresywnie środowiska w Koalicji Obywatelskiej. Chociaż platformerscy konserwatyści też nie pałają entuzjazmem do tej kandydatury. Sami dopiero co musieli się ugiąć przed żądaniem Tuska i uznać prawo kobiet do aborcji, podczas gdy startującemu niezależnie kandydatowi zapewne by się to upiekło.

W obszernym wpisie na Twitterze sprzed kilkunastu dni Giertych na wszelki wypadek skrytykował jednak wyrok Trybunału Przyłębskiej w sprawie aborcji i pochylił się nad „bieżącymi dramatami kobiet”. Przy okazji podkreślając swą determinację jako katolika, żeby „oczyścić Kościół ze zła pedofilii”.

### Raz upadłym ciężko wstać

Na razie to bardziej ugodowy Petru wydaje się jednak bliższy zdobycia gładu oficjalnego kandydata opozycji. Niewątpliwie pomogła mu niedawna debata ze Sławomirem Mentzenem w RMF FM, którą reklamowano jako pojedynek o miano jedynego prawdziwego ekonomicznego liberała. Wyzwanie rzucił Petru, który już od jakiegoś czasu stara się uczulać opozycyjną opinię na problem opuszczonej wolnorynkowej flanki, w którą coraz śmielej wciska się Konfederacja. Tymczasem jej oferta – jak stwierdza Petru

w rozmowie z POLITYKA – jest „pusta, nieprzemysłana i dziurawa”. Trzeba to tylko umiejętnie zademonstrować, w czym założyciel Nowoczesnej upatruje właśnie swej szansy. Mniejsza więc o okręg, z którego ostatecznie wystartuje, bo i tak kampanię planuje prowadzić przede wszystkim w internecie, starając się w pojedynkę wykreować wolnorynkową alternatywę w ramach szerokiego bloku opozycji.

Czyli w jakimś sensie powtórzyć manewr sprzed ośmiu lat, chociaż już bez powoływania nowej partii. Tyle że to właśnie Mentzen wydaje się na obecnej scenie znacznie bliższy miejsca, które zajmował w 2015 r. Petru. Dzisiaj to Konfederacja uważana jest za nową siłę, która rzuca wyzwanie zużytej elicie i obiecuje przywrócić wolność. Na szczęście dla Petru młody polityk przyszedł na debatę nieprzygotowany i to przedstawiciel liberalnego pokolenia pięćdziesięciolatek okazał się górą. Echa debaty rozeszły się po sieci w milionowych zasięgach, będąc wymarzoną wstępem do właściwej kampanii. Świeże skojarzenie pogromcy Mentzena, przynajmniej do pewnego stopnia powinno zatrzeć te od dawna utrwalone wtopy Petru („Madera”, „sześciu króli” itd.)

Co nie zmienia faktu, że takie powroty rzadko kiedy się w polityce udają. Z im wyższego pietra się upada, tym trudniej się potem reaktywować. I jedynie najwięksi z liderów – czyli Tusk i Kaczyński po kilkuletniej pauzie w latach 90. – potrafili efektywnie przemyśleć doświadczenie klęski i wrócić na sam szczyt. W nieco skromniejszym zakresie udawało się to jeszcze Leszkowi Millerowi i Waldemarowi Pawlakowi, ale na tym pozytywnie przykłady właściwie się kończą. Przynajmniej jeśli chodzi o krajową politykę, bo warto jeszcze pamiętać o błyskotliwej karierze Jerzego Buzka w Parlamencie Europejskim.

Znacznie dłuższa okaże się jednak lista prób niezdarnych, a niekiedy wręcz kompromitujących. Na czele z jednoprocentową katastrofą Lecha Wałęsy w wyborach prezydenckich w 2000 r., chociaż powinny też dawać do myślenia porażki takich polityków, jak Marian Krzaklewski, Andrzej Lepper, Andrzej Olechowski, Władysław Frasyniuk bądź Paweł Piskorski. Większość z nich wpadała w pułapkę powtarzania gotowych schematów z przeszłości, chociaż od dawna były już one martwe. Jeśli więc Ryszard Petru i Roman Giertych poważnie myślą o odnowieniu swoich karier, powinni starać się takich błędów unikać. W tych wyborach nawet błędy indywidualne mogą na koniec okazać się kosztowne dla całej opozycji.

RAFAŁ KALUKIN

# POSZERZAMY HORYZONTY



## Naukowe miesięczniki **POLITYKI**



Lipcowe numery już w kioskach i na [sklep.polityka.pl](http://sklep.polityka.pl)

Prenumerata cyfrowa obu tytułów: [projektpulsar.pl](http://projektpulsar.pl)





# Drapieżca w domu

Rozmowa z prof. Marią Beisert, seksuologką, psychoterapeutką i biegłą sądową, o tym, jak kultura sprzyja zjawisku kazirodztwa, czy kazirodców można leczyć i dlaczego wykorzystanie dziecka jest tak wielką i długotrwałą krzywdą.

**MARTYNA BUNDA:** – Co się musi stać, żeby człowiek skrzywdził seksualnie dziecko?

**MARIA BEISERT:** – Musi mieć motyw, a dokładniej pragnienie zaspokojenia potrzeby. Najczęściej seksualnej. I musi uznać ją za tak ważną, że dziecko i jego krzywda schodzą na dalszy plan. A na poziomie szczegółowym wyjaśnień jest wiele. Wykorzystanie seksualne dziecka to np. sposób pseudopodnoszenia się z własnych urazów. Jeśli sprawca przeszedł przez dramatyczne doświadczenia, potem krzywdzi innych, żeby odzyskać trochę poczucia kontroli. To częsty mechanizm. Im wcześniejszy uraz związany z seksualnością człowieka, tym niebezpieczniejsze

skutki. Urazy wczesnodziecięce uruchamiają bardzo prymitywne mechanizmy obronne. Ale mogą być też inne motywy.

**Jakie?**

Pamiętam pewnego drapieżcę seksualnego, zresztą mojego pierwszego w życiu pacjenta. To nie był przypadek kazirodztwa, bo mężczyzna wykorzystywał dzieci obce, w okrutny sposób. Ale mechanizm był podobny. Ów człowiek był niewidomy. Trafił do poradni, bo chciał to porzucić – ale tylko dlatego, że wiedział, że jako niewidomy pedofil zginie, jeśli trafi do więzienia, a obawiał się, że w końcu zostanie złapany. W ogóle nie brał pod uwagę cierpienia swoich ofiar. Zobaczyłam skrzyżowanie

braku poczucia winy, współczucia i empatii z lękiem przed karą – i z rozpaczą z powodu porzucenia jedynej rzeczy, która pozwala mu dostąpić tego, co mają inni – rozkoszy, satysfakcji seksualnej. Poczucia władzy.

To mit, że kazirodztwo dotyczy ludzi niskofunkcjonujących, dołów społecznych, warstw niewykształconych. Bo to przestępstwo, do którego dochodzi równie często w dobrych domach i wśród osób o bardzo wysokiej pozycji społecznej.

Wykorzystanie kazirodztwa biegnie zasadniczo dwiema drogami: może być siłowe, z uszkodzaniem ciała dziecka i elementami sadystycznymi, ale może być wikłająco-uwodzące, gdy to sprawca regresywny, czyli niedojrzały emocjonalnie i seksualnie, traktuje dziecko jak partnera i dba o jego przyjemne doznania. Sprawca sadystyczny jest zainteresowany dzieckiem jako „pewnym materiałem ludzkim”, który służy mu do zaspokojenia swojej potrzeby, nie bacząc na cierpienia i fizyczne uszkodzenia. Sprawca regresywny motywowany jest tym, żeby dziecko też się chciało z nim „bawić”, jak podległy i ufny partner. Przyjemność, którą sprawca regresywny znajduje w kontakcie – ale i oferuje dziecku – tworzy specyficzny związek: uwikłanie dziecka w koalicję z dorosłym. Dlatego bywa, że dziecko samo dąży do podtrzymania tej relacji. Choć to ono zapłaci wysoki psychologiczny rachunek za nadużycie.

#### **Statystyki policyjne mówią o kilkudziesięciu przypadkach kazirodztwa rocznie.**

To jest wierzchołek góry lodowej. Większość przypadków pozostaje ciemną liczbą. Poza tym w szacowaniu zjawiska wiele zależy od definicji kazirodztwa.

Kodeks karny mówi: ojciec, matka, brat, siostra. A nadużywający seksualnie brat matki, który mieszka z rodziną i de facto pełni funkcję ojca? A ojczym, który nie przysposobił formalnie dzieci, bo wciąż żyje ojciec, ale de facto pełni tę funkcję od małości dziecka? Czy to pedofile? Kazirodcy?

Idźmy dalej: czym dokładnie jest przestępstwo kazirodztwa? Gwałtem? Wykorzystaniem? Nadużyciem ciała? Seksualizowaniem dziecka, ale bez dotyku?

Badania polskie wykazały, że im ktoś ma mniej wiedzy fachowej, tym jego definicja kazirodztwa jest węższa. Definicje kliniczne są bardzo szerokie, zaliczają do kazirodztwa wobec dziecka tego rodzaju formy działań, w przypadku których mnóstwo osób by powiedziało, że nic się nie stało. Tymczasem pod pewnymi warunkami nawet komentowanie seksualności dziecka może zostawiać trwałe ślady.

#### **Krzywdzą mężczyzn?**

Głównie – to grubo ponad 90 proc. przypadków. Ale też kobiety.

#### **Sprawcy chcą się leczyć?**

Różnie. Ale nawet w tych najcięższych przypadkach sprawca przechodzi przez odmienne etapy swojego stosunku wobec przestępstwa i czasem w końcu dochodzi do tzw. terapii właściwej. Oznacza to osiągnięcie etapu, w którym pragnie zmiany. Z tego, co było, czyli z patologii, na coś nowego, czyli zdrowy seks. Jest to dla niego bardzo trudne, bo oznacza pożegnanie na zawsze jedynej źródła przyjemności, a czasami skutecznej strategii radzenia sobie ze stresem.

Osoby, które nie są specjalistami, zakładają, że z zasady każdy – i to jak najszybciej – chce porzucić patologię. A to nieprawda. Patologia może mieć uwodzący aspekt. Daje sprawcy oparcie i poczucie władzy. Leczy lęki. Sprawca, oddając to, godzi się na ogromną stratę i wchodzi w okres tzw. nieuprawnionej żałoby. To kluczowy etap terapii. Sprawca z jednej strony przewiduje rozstanie, z drugiej ukrywa nadzieję, że nie jest ono ostateczne. A z trzeciej – wypełnia go agresja i gniew na świat i terapeutę, który jego zdaniem jest autorem przepelniającej go diabelskiej

mieszanki beznamiętności, bezradności, decyzyjności i sprawczości. Zwykle sprawca przez jakiś czas manipuluje terapeutą, by ten uwierzył, że następuje zmiana, a tak naprawdę pacjent jej unika, nawet jeśli chodzi o własne dzieci. Ale z tego miejsca do tzw. etapu denuncjacji – gdzie sprawca bezwzględnie demaskuje swoje pragnienia powrotu do krzywdzenia dzieci i do niebezpiecznych sytuacji – jeszcze daleka droga. Pojawia się pytanie, dlaczego patologię porzuca. Na rzecz czego? Jeśli uda się znaleźć coś, co zrównoważy sprawcy „stratę”, terapia ma szansę powodzenia. Część moich pacjentów skończyła terapię z sukcesem.

Tu pojawia się następny problem – konieczność odseparowania sprawcy od dziecka, nawet jeśli pozytywnie przeszedł terapię. To są dramatyczne sytuacje, kiedy dziecko nie chce się oderwać od rodzica, ale to musi nastąpić. Bo to jest warunek bezpieczeństwa dziecka i – uwaga – bezpieczeństwa sprawcy. Wielu sprawców nie jest na to gotowych. Podobnie jak wiele ofiar.

#### **A statystyki przestępstw kazirodztwa? Spadają? Coraz więcej mówimy o prawach dziecka...**

Statystyki przestępstw kazirodczych są wypadkową działania poszczególnych ludzi i ich osobistych motywacji oraz działania całego systemu. Przestępstwu kazirodztwa szczególnie sprzyja porządek patriarchalny, z przynależnym mu wpłaceniem rodziny w strukturę zależności politycznych i religijnych. Także w hierarchiczny porządek daleki od demokracji. Wykorzystaniu sprzyja również brak szacunku dla rozwoju seksualnego dziecka, wymazywanie seksualności dziecka z mapy świadomości dorosłych. A to są procesy, które akurat współcześnie w Polsce ulegają pogłębieniu, nie odwrotnie. A każdy człowiek ma prawo do tego, żeby jego seksualność była od samego początku traktowana poważnie. Żeby się rozwijała w sposób niezakłócony. W Polsce zamiast tego pojawia się w przestrzeni publicznej manipulacyjne hasło o ochronie dzieci przed seksualizacją. Z jego treści można się zorientować, że przed nie potrafią profesjonalnie opisać problemu ani odróżnić seksualności od seksualizacji.

#### **Wpłacanie seksualności dziecka w rozmowę o przestępstwach kazirodztwa nie jest ryzykowne?**

Tylko wtedy, gdyby uznać, że wiedza jest ryzykowna, a bezpieczne – podtrzymywanie mitów i uprzedzeń. Z punktu widzenia celu nauki (opisu zjawiska i wyjaśniania) oraz z punktu widzenia prewencji (przeciwdziałania patologii) jest dokładnie przeciwnie. Dziecko – również ofiara przestępstwa – jest istotą seksualną, i to już w życiu płodowym. Po urodzeniu wchodzi w etap samodzielnego funkcjonowania seksualnego poza organizmem matki. W pierwszym roku życia już doświadcza ciekawości swojego ciała, która obejmuje części genitalne. Dziecko dowiadywa się, że dotykanie różnych części własnego ciała daje różnorakie odczucia. I chętnie eksperymentuje. Z kolei dotyk opiekuna buduje jego granice, pokazuje, gdzie się zaczynają, a gdzie kończą. To wszystko składa się na wizerunek siebie. Ale też uczy relacji.

Jeśli wszystko przebiega prawidłowo, niemowlę szybko dostrzeże, że dotyk może być przyjemny zarówno dla niego, jak i dla opiekuna. Czuje to. Takie doświadczenie zapisuje się w pamięci jego ciała. To wszystko również są elementy, które składają się na seksualność człowieka, czyli jego umiejętność pozytywnego doświadczenia ciała, dotyku, obecności drugiego człowieka.

Proces rozwoju seksualnego człowieka biegnie dalej. Między trzecim a szóstym rokiem życia rozwija się inicjatywność dziecka, rośnie skłonność do eksplorowania świata. Znowu interesuje je ciało i własne narządy płciowe, ale teraz również dlatego, że te obszary są zakrywane. Są tabu. ►

► Po szóstym roku życia pojawia się naturalne wycofanie i dziecko staje się na chwilę i pozornie „aseksualne”. Zasadniczo można powiedzieć, że „schodzi ze swoją seksualnością do podziemia”. Na zewnątrz zaś demonstruje brak zainteresowania seksem. Osoby, które mają mało wiedzy na ten temat, wyobrażają sobie, że ten etap, ów wycinek rozwoju, czas pomiędzy szóstym a dziesiątym rokiem życia, opisuje całą seksualność dziecka. Dorosli, zwłaszcza jeśli boją się własnej seksualności, budują na tym swoje przekonanie o „czystości i niewinności dziecka”.

A owa aseksualność to jedynie przystanek. Bo zaraz, czyli na początku fazy nastoletniej, np. córka zacznie testować swoją seksualność na ojcu, który powinien dać jej wtedy poczucie akceptacji, wyznaczając jednocześnie bardzo wyraźne granice seksualnych światów. To normalne rozwojowo zachowanie córki nie jest w żadnym razie pozwoleniem na komentowanie jej cech seksualnych, dotykanie jej, nakłanianie do kontaktu czy wręcz jego podejmowanie. Wszelkie badania pokazują, że dla powstania cech traumy seksualnej wystarczy, by sytuacja, która ją wywołała, opierała się na słowach, a niekoniecznie była związana z dotykiem. Każda opisana sytuacja jest wykorzystaniem seksualnym dziecka przez dorosłego. A w tym wypadku – wykorzystaniem kazirodczym.

#### **Dlaczego przekraczanie granic seksualnych dziecka jest dla niego takie złe?**

Istotą seksualności jest równość. W momencie gdy w kontakt wchodzi dorosły i dziecko, ta równość zanika. Nie ma mowy o tym, żeby dorosły ze swoją seksualnością nie niszczył seksualności dziecka, bo ono nie jest gotowe na tego rodzaju doznania – co do treści i co do siły – które płyną od człowieka dorosłego. Nawet jeśli te doznania są dla niego przyjemne. Nadmiarowe bodźce i przeżycia zawsze są niszczące, dziecko nie jest gotowe ani poznawczo i emocjonalnie, ani fizycznie do przyjęcia, a potem do absorbowania tych wszystkich przeżyć.

Rzetelne i zbiorcze badania de Jong z zespołem, dotyczące osób dorosłych po 25. roku życia – ofiar wykorzystania seksualnego w dzieciństwie – pokazują, jak głęboko uszkadza dziecko nadużycie seksualne. Wszystkie ofiary miały dolegliwe i naprawdę długotrwałe konsekwencje związane z życiem osobistym. Z życiem seksualnym – ewidentnie, ale też z rodzicielstwem i związkami. Podobne wnioski płyną z dziesiątek innych badań.

Najbardziej dramatycznym efektem kazirodztwa czy w ogóle wykorzystania seksualnego dziecka może stać się przekaz transgeneracyjny. Ludzie robią – tak jak potrafią – wszystko, żeby nie przekazywać destrukcyjnego wpływu krzywdy seksualnej następnym pokoleniom. Po czym wysiłki te – w pewnych przypadkach – okazują się daremne i w następnych pokoleniach pojawiają się skutki dawnych traum. Albo pod postacią nowych ofiar, albo pod postacią nowych sprawców.

#### **Mówi pani, że sprawcę zawsze trzeba oddzielić od dziecka.**

I to jest akurat najtrudniejszy aspekt skutecznej terapii. Specjalistyczna literatura, sprawdzona własnymi doświadczeniami, nauczyła mnie, jak nieskuteczna jest formuła terapii zezwalająca na wspólne przebywanie sprawcy i dziecka pod jednym dachem, nawet wzmocniona kontrolą sprawcy. Wiem o tym, jak skutecznie oszukiwany bywa system wymiaru sprawiedliwości, opieki społecznej.

Wiedza terapeuty i wiedza osoby, która tej funkcji nie pełni, różnią się wtedy diametralnie. I lepiej – kierując tę uwagę pod adresem wszystkich, którzy decydują o losach dzieci wykorzystywanych – nie uciekać się tu do wiedzy potocznej czy tzw. zdroworoządkowej. Tutaj frazesy z gatunku „lepszy taki ojciec niż żaden”, „trzeba dobrze patrzeć sprawcy na ręce”, „każdemu należy dać szansę” nie uchronią dziecka przed możliwością wykorzystania.

Naprawdę dobrą ochronę stanowi wiedza o seksualności dziecka i człowieka dorosłego, o jej normatywnym przebiegu i objawach. A także wiedza o pedofilii i wykorzystaniu seksualnym.

Czasem oczywiście można i trzeba posłużyć się jak detektyw szczegółami i je przywołać, bo w dobrej ilustracji tkwi klucz do rozumienia sytuacji. Pamiętam sprawę ośmioletniej dziewczynki. Zeznawała, że ojciec obnażał się i onanizował ją w kuchni w obecności mamy, która gotowała obiad. Dorosli twierdzili, że to niemożliwe – że nie można w obecności drugiego człowieka wykorzystać dziecka. Ale wystarczyło rozrysować szczegółowo mapę tej kuchni...

#### **Parę lat temu środowisko sędziowskie przeszło cykl szkoleń dotyczących fałszywych oskarżeń o przestępstwa kazirodztwa, stosowanych jako narzędzie walki w sprawach rozwodowych.**

Nie mogę komentować ani celu, ani treści tego szkolenia, bo nic o nim nie wiem. Mogę powiedzieć jedno. Badania Kathleen Faller nad fenomenem oskarżeń o wykorzystanie seksualne dzieci, ujawnianych podczas spraw rozwodowych, wykazały bardzo różnorodną naturę tych oskarżeń. Dzieleń spraw tego typu na fałszywe oskarżenia i na oskarżenia prawdziwe znowu jest wynikiem niezbyt wyrafinowanej wiedzy o związkach między rozwodem a seksualnością dzieci i dorosłych.

W różnych wypowiedziach pokrzywdzonych, sprawców, adwokatów i prokuratorów słychać, że niezmiernie trudno lub niezmiernie łatwo jest udowodnić przestępstwo wykorzystania seksualnego. Niekiedy mówią też oni rzecz straszną z punktu widzenia specjalisty – że oskarżenie to jest słowo przeciwko słowu, słowo dziecka przeciwko słowu sprawcy. Specjalista takiej opinii nie wypowie. Wie, że to, co mówi dziecko, to nie jest wyłącznie słowo. To jest materiał, który należy przeanalizować z użyciem odpowiedniej metody, by potem na podstawie wyników tej metody wydać opinię o wiarygodności zeznań lub o jej braku.

Tu jednak pojawia się kolejny problem. Podstawę do oceny powinien stanowić materiał dobrej jakości. Jeśli materiał tego waloru nie ma, biegły nie może dokonać oceny, a traci na tym dziecko. Tym wadom można jednak zapobiec, szkoląc biegłych i prawników. To proste... i bardzo drogie. Ale tu

wiedza nawet w dosłownym znaczeniu jest bezcenna.

Nie warto więc wskazywać na innych, którzy – z wąskiej oskarżycielskiej perspektywy – popełniają błędy, skutkujące wzrastającą liczbą dzieci krzywdzonych i wzrastającą liczbą nieleczonych sprawców. Tych rzeczywiście i potencjalnych. Wykorzystanie seksualne – kazirodztwo i pozarodzinne – jest efektem społecznej ślepoty. I tej, która hula na poziomie jednostkowym, i tej, która niszczy na poziomie systemowym.

ROZMAWIAŁA MARTYNA BUNDA



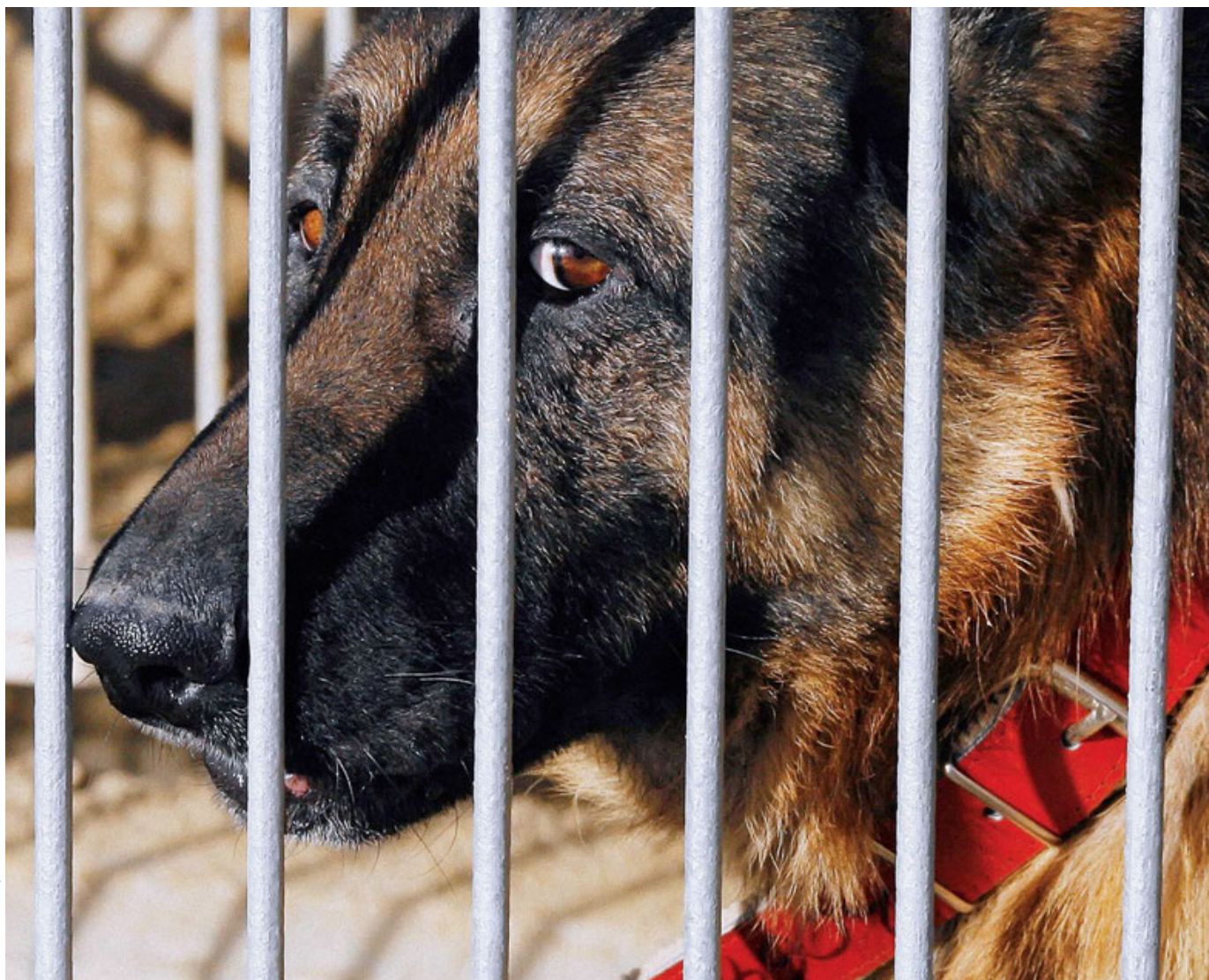
Prof. dr hab. **Maria Beisert** – psycholog i seksuolog kliniczna, psychoterapeutka, biegła sądowa, prawniczka, kierowniczka Zakładu Seksuologii Społecznej i Klinicznej oraz kierowniczka podyplomowych studiów: Seksuologia Kliniczna

Opiniowanie-Edukacja-Terapia na Wydziale Psychologii i Kognitywistyki UAM w Poznaniu. Wiceprezes Polskiego Towarzystwa Seksuologicznego. Autorka pionierskich książek i publikacji.

# Popsiowa depresja

Adopcja była przemyślana, przygotowali się do niej. Chcieli dać dom psu, który dotąd nie miał w życiu za wiele szczęścia.

AGNIESZKA GIERCZAK-CYWIŃSKA



© KACPER PEMPEL/REPORTER

**F**ilm jest czarno-biały. Duży piętrowy dom, kawałek placu. Kamera jest skierowana wprost na otwarte drzwi. W progu leży wielki pies, tarasuje niemal całe wejście. Z budynku wychodzi mężczyzna. Śmiało stawia duży krok i przechodzi nad psem. Skręca w prawo, idzie wzdłuż budynku, znika. Chwila bezruchu, potem w kadr wchodzi kobieta, zbliża się do wejścia. Mija psa. Jest

już w środku, obraz staje się mniej wyraźny, ale można dostrzec, że odstawia torbę, na ławę czy stół. Odwraca się w stronę psa i pochyla nad nim. Wyciąga dłoń...

## To miłością trzeba

Agnieszka była gotowa adoptować psa z problemami. W lockdownie pracowała z domu i miała dużo wolnego czasu. Uznała, że to idealny moment, o adopcji myślała

od dawna. Kiedy dowiedziała się, że do jednego ze stowarzyszeń trafiła nierozłączna para, chciała wziąć oba psy. Złapano je pod lasem. Pierwszy był śmiały i lubił ludzi. Drugi ich się bał, prawdopodobnie nigdy nie miał kontaktu z człowiekiem. Gdy Agnieszka zadzwoniła pod podany numer telefonu, okazało się jednak, że pierwszy pies już ma dom, a dwupaku nikt nie chciał. Nie ukrywała, że dotąd jedyny ►

► pies, jakiego miała, to ten w domu rodzinnym wiele lat temu. Uspokojono ją, że to nie problem. Kilka dni później przedstawicielka stowarzyszenia przywiozła jej przerażoną Oreo. Wypuszczona z transportera wbiegła pod stół w salonie, który stał się dachem jej nowego domu.

Oreo nie miała obroży ani szelek, ale kuliła się ze strachu, gdy Agnieszka próbowała się zbliżyć. Pierwszego dnia kobieta pomyślała, że nie będzie ich siłą zakładać, że przez dzień czy dwa pies może się załatwiać w mieszkaniu. Ale dni mijały, a Oreo nie była ani odrobinę śmielsza, nie dawała do siebie podejść. Agnieszka zadzwoniła do stowarzyszenia z prośbą o pomoc, usłyszała: „To miłością trzeba”.

Paulina marzyła o przyjacielu. Chciała, aby jej pierwszy pies był nieduży, najlepiej biały lub beżowy. W schronisku widziała kilka takich, z niektórymi nawet poszła na spacer. Wciąż jednak nie mogła się zdecydować. Aż w ostatnim boksie zobaczyła Sambę – dużą czarną suczkę. Przez kolejne tygodnie wracała, by ją lepiej poznać. Nie miała żadnych wątpliwości. Zaraz po adopcji zaprosiła behawiorystkę, aby oceniła, czy dobrze zajmuje się psem. Zbyt wielu uwag nie było, Samba była przyjazna i łagodna. Dobrze odnalazła się w mieszkaniu, spokojnie czekała, aż Paulina wróci z pracy. Po kilkunastu tygodniach zaczęły się problemy.

*– Mijamy 10 osób, zero reakcji. Przy 11. nagle kita do góry, sierść zmierzwiiona i rzuca się na człowieka, warcząc i przeraźliwie szczekając. Na szczęście nie gryzła, ale ludzie i tak byli przerażeni, bo to duży, czarny pies. Jeden starszy pan tak się wystraszył, że się potknął i przewrócił.*

## W gotowości

Anita i Grzegorz kilkakrotnie odwiedzili Zeusa, zanim opiekująca się nim fundacja wydała zgodę na adopcję. Spędzili razem wiele godzin pod okiem specjalistów, wykonywali zalecane ćwiczenia. Siedząc w psim boksie, mieli się przytulać – tak sprawdzano, czy zwierzę nie będzie zazdrosne. Podczas spacerów oceniano, czy Anita utrzyma psa, który sięgał jej do biodra. Uczyli się, jak go uspokajać, gdyby się zdenerwował lub zbyt mocno ekscytował.

Zeus to wymagający pies. Należy być wobec niego stanowczym, żeby nie próbował dominować. I najważniejsze – nie można się go bać. Anita i Grzegorz wiedzieli, że w jednym z poprzednich domów był agresywny wobec dzieci, że kogoś pogryzł. Ale oni nie mieli przecież dzieci, a wiele pogryzień to wina człowieka.

Po adopcji Zeusem zajmowało się dwóch behawiorystów: do jednego chodzili

na regularne treningi, a z drugim, z fundacji, byli w stałym kontakcie. Widać było postępy, choć na spacerach Zeus wciąż robił się niespokojny, tracił panowanie. Działo się to niespodziewanie, bez wyraźnego powodu, a nie np. po spotkaniu innego psa czy dziecka. W zabawie potrafił złapać właścicieli zębami. Żyli w ciągłej gotowości i w napięciu: ugryzie czy się wtuli? A przytulał się często, lubił bliskość, wspólne zabawy. Rozśmieszał ich, leżąc w pozycjach, których pozazdrościłby niejeden jogin. Anita ma w telefonie setki zdjęć i filmów.

Po dwóch tygodniach Agnieszka wciąż nie mogła zbliżyć się do Oreo. Od pierwszej behawiorystki usłyszała, że jest nieodpowiedzialna, bo dzikich psów się nie adoptuje. Jeżeli zwierzę w okresie szczenięcym nie miało kontaktu z człowiekiem, to może się już nigdy do niego nie przekonać. Agnieszka przestraszona zadzwoniła do stowarzyszenia, ale ponownie ją uspokojono, że miłość wystarczy. *– Bardzo mi na Oreo zależało. Chciałam dać jej dobry dom, w którym czułaby się bezpiecznie, więc się nie poddawałam.*

Druga behawiorystka potwierdziła, że sytuacja nie wygląda dobrze. Pies musi wychodzić na dwór, węszyć, nawiązywać relacje z innymi psami. I najważniejsze – z właścicielką. Oreo początkowo nocami zakradała się do misek z wodą i jedzeniem. Z czasem przestała wychodzić nawet do kuchni, więc miski musiały stać na progu salonu. Za radą behawiorystki Agnieszka miała dać psu wybór: albo je z ręki, albo wcale. Zgłodniej, to przyjdzie, a do tego czasu żadnego innego karmienia. Kobieta schowała miskę i kucnęła przy stole. Pies natychmiast się skulił i wycofał. Agnieszka, zgodnie z zaleceniem, patrząc w bok, a nie na psa, wyciągnęła przed siebie dłoń z karmą. Za pierwszym razem Oreo nie podeszła. Za drugim i trzecim także. *– Pomyślałam, że może jestem za wysoka i dlatego się boi. Położyłam się na podłodze i wyciągnęłam rękę. Leżałam tak przez 30–40 minut kilka razy dziennie. Po trzech dniach głodówki wystawiłam miskę.*

Zeus nie miał wstępu do sypialni Anity i Grzegorza – dla ich bezpieczeństwa i budowania hierarchii w stadzie. Służyły temu również inne zasady, choćby zakaz siedzenia i leżenia z psem na podłodze. Zawsze musieli znajdować się wyżej od niego. Wykluczone było też wykonywanie gwałtownych ruchów. Zdarzało im się zapomnieć, jak wtedy gdy siedzieli przy stole, na którym Zeus położył pysk, a Anita mechanicznie go odsunęła. Usłyszeli tylko głośne kłapanie szczęk. Do dziś nie wiedzą, jak udało się jej tak szybko zabrać rękę.

Dni były do siebie podobne. Pierwsza myśl Pauliny po przebudzeniu: Boże, muszę wyjść z psem na spacer. Zółdek się zaciskał, aż ciężko oddychać. Lepiej robiło się jej dopiero po dotarciu do pracy, myśli zajmowały obowiązki, ktoś opowiedział coś zabawnego, szef się do czegoś przytępił. Ale były takie momenty, na przykład podczas czekania, aż woda na herbatę się zagotuje, gdy pojawiała się ta myśl: zaraz kończysz pracę i będziesz musiała iść na spacer.

*– Zdarzało się, że podczas spaceru nie się nie działo, Samba była posłuszna. Cóż, wyjątki się zdarzają. Ale kolejny spacer danego dnia też był w porządku. Gdy następnego dnia rano nie się nie wydarzyło, wstępowała we mnie nadzieja. Myślałam, że mamy wreszcie przełom, te wszystkie ćwiczenia z psem mają sens. Pamiętam, jak wracałyśmy z trzeciego czy nawet czwartego takiego spaceru. Już było widać nasz blok. Obiecuję Sambi coś pysznego na kolację. Zostało nam kilkadziesiąt metrów. Mija nas mężczyzna z kilkuletnią dziewczynką na rowerze, już znikają mi z pola widzenia... I czuję gwałtowne szarpnięcie smyczy. Do domu biegłam z płaczem.*

## To się nie uda

W ułamku sekundy zwierzę się podrywa i wbija zęby w ramię pochylającej się nad nim kobiety. Z budynku wybiega druga, młodsza. Uderza psa pięścią w pysk, a wtedy pierwsza wyswobadza rękę i odskakuje na bok. Druga chwilę szarpie się z psem, ostatecznie wypycha go z domu.

Film pochodzi z kamery umieszczonej na terenie pensjonatu, w którym Anita z mężem i mamą spędzała wakacje. Zeus był u nich od dwóch miesięcy. Po ataku natychmiast się uspokoił, spuścił łeb. Zajął się nim Grzegorz, a kobiety pojechały do szpitala. Obie miały mocno pogryzione ręce. Po ich powrocie Zeus podszedł do Anity, żeby się przywitać. A ona zaczęła się go bać.

Przez następne dni konsultowali się z behawiorystami, rozważali różne możliwości, włącznie z zakupem domu pod miastem, gdzie Zeus może byłby spokojniejszy. Ale nie wiedzieli, czy zdołają jeszcze mu zaufać i czuć się przy nim bezpiecznie. Po tygodniu odwieźli Zeusa do fundacji.

*– Gdyby pogryzł tylko mnie, pewnie walczyłabym o niego dalej, ale on zaatakował moją mamę. Złożyłam broń. Przez kilka tygodni co rano stałam pod prysznicem i wylałam. Nazywam to popsiową depresją, żalobą.*

Agnieszka starała się nawiązać z Oreo kontakt. Zagadywała do niej, opowiadała, co właśnie robi, jakie ma plany

na nadchodzący dzień. Żeby przekonać ją do szelek i obroży, co jakiś czas smarowała je jedzeniem i kładła przy stole, pod którym siedziała suczka. To jednak nie działało, nie ruszała się z miejsca. Po trzech miesiącach Agnieszka straciła cierpliwość i postanowiła, że założy obrożę nawet siłą. Uznała, że przy tak małym psie pogryzienia nie będą dotkliwe. Trwało to godzinę, na zmianę goniła psa i dawała im obu odetchnąć. Wreszcie się udało. Ale ledwo wyszła na chwilę z pokoju, Oreo przegryzła obrożę.

– *I wtedy zrozumiałam, że to się nie uda. Rady behawiorystki wydają się rozsądne, ale nie działają i jej samej już kończą się pomysły. Konsultacje z weterynarzem także nie zmieniają sytuacji. W stowarzyszeniu gadają tylko o miłości, a miłość czasem nie wystarczy. Pies od trzech miesięcy leży pod stołem i wygląda, jakby miał coraz większą depresję. Ani razu nie wyszedł z domu. Podchodzę, to ucieka lub sika ze strachu. Byłam wykończona, czułam się fatalnie, ale wiedziałam, że najlepsze, co mogę zrobić dla Oreo, to ją oddać.*

### Jak dzieci

– *Gdzieś między czwartym a piątym behawiorystą wylądowałam u psychiatry – wspomina Paulina. Na lekach antydepresyjnych był też pies.*

Płacząc przez całą pierwszą wizytę, opowiadała psychiatrze, że pokochała psa, ale nie umie się nim zająć. I że Samba będzie żyła jeszcze 10–15 lat, a to oznacza, że przez te lata trzy razy dziennie będzie umierać ze strachu. Rozważała, że poszuka dobrych ludzi znających się na psach, którym odda Sambę i do końca jej życia będzie płacić za utrzymanie.

– *Marzyłam o psie, z którym będę chodzić na przyjemne, długie spacerunki, cieszyć się jego bliskością. Tymczasem przeżywałam największy koszmar w swoim życiu. Ciągle wracała do mnie myśl: to nie tak miało być! Co ja sobie zrzuciłam na głowę? Co się stało z tym kochanym, łagodnym psem?*

Większość psów w schronisku przełącza się na tryb przeżycia. Wydają się spokojne, na spacerach nie reagują na inne psy, ludzi, samochody. Takie odcięcie się to metoda na przetrwanie – bardzo wyczerpująca. Psy mają permanentnie podwyższony poziom kortyzolu, są niewyspane. Może też być na odwrót – wszystko niszcza, roznosi je energia i sprawiają wrażenie, jakby chciały rozszarpać każdego napotkanego psa czy człowieka. A po adopcji śpią cały dzień na kanapie. Pies na odnalezienie się w domu potrzebuje nie kilku dni, ale tygodni, czasem miesięcy. Gdy już się w nim „osadzi”, poczuje bezpiecznie, zaczyna



© ARCHIWUM DOMOWE

Gdy adoptowany pies poczuje się bezpiecznie, zaczyna być sobą. Może się wtedy radykalnie zmienić. Ujawniają się problemy, z jakimi już trafił do schroniska.

Na fot. **Samba, którą udało się wychować dzięki zajęciom z trenerką psów.**

być sobą. Co oznacza, że może się radykalnie zmienić. Wtedy ujawniają się problemy, z jakimi już trafił do schroniska, ale „walcząc o przeżycie”, ich nie pokazywał.

– *Pies nie odczuwa czegoś takiego jak wdzięczność za podarowanie mu domu. Dla niego dzień adopcji nie jest najszcześniejszym dniem w życiu – tłumaczy Maja Więclawska z Biura Przyjęć i Adopcji Zwierząt schroniska na Paluchu. – To kolejny ogromny stres: nowe miejsce, nowi ludzie, którzy ciągle są obok, a nie daj Boże jeszcze dzieci czy zwierzęta. Życie w schronisku było dla niego przewidywalne. Staramy się dobrze właścicielowi psa, który będzie odpowiadał jego stylowi życia, ale niestety nie wszystko da się przewidzieć.*

Dopiero praca z piątym behawiorystą dała Paulinie nadzieję. Był pierwszym specjalistą, który powiedział, że w relacji człowiek–pies to nie zwierzę ustala reguły. Właściciel ma być szefem stada, więc nie może kulić się ze strachu. Wiele sytuacji, które wywoływały gwałtowną reakcję Samby, stresowało przede wszystkim Paulinę. Miała się z nimi stopniowo oswajać obok placu zabaw i przed sklepem monopolowym, bo Samba robiła się

niespokojna między innymi przy dzieciach i osobach nietrzeźwych. Najwięcej udało im się osiągnąć dzięki zajęciom z trenerką psów, która pomogła Sambę wychować.

– *Psy są jak dzieci, jedne i drugie potrzebują jasnych reguł. Nie, nie bijemy Jasia łopatką i nie, nie rzucamy się na przechodniów – wylicza Paulina. – Psy mają tendencję do stawiania się szefami stada, szczególnie jeśli właściciel jest tak strachliwy, jak ja byłam. Aby stać się dobrym przewodnikiem dla mojego psa, musiałam nauczyć się krzyczeć. Kiedyś wstydziłam się drzeć na psa, który uciekł na drugi koniec parku. Nie byłam w stanie nawet nabrać powietrza. A teraz jak ryknę, to liście z drzew spadają. I to ja decyduję, kogo obszczekujemy, a kogo nie.*

Samba ukończyła swój trening dwa lata temu, co nie oznacza, że co jakiś czas nie testuje Pauliny. – *Jak gdzieś mi pobiegnie i ją przywołuję, to wraca, ale w pewnym momencie się zatrzymuje i zaczyna się drapać albo sikać. Jakby chciała pokazać, że wraca na swoich warunkach – śmieje się Paulina.*

– *Nie chodzi o całkowitą zmianę psa – zastrzega dr Paula Kiełbik, behawiorystka. – Bierzesz pod opiekę kogoś, kto ma swój charakter, historię, predyspozycję, np. jest bardzo szczekliwy. Może zniwelujesz to o 10 proc., ale czy o 100? Może przy zastosowaniu przemocowych metod to się uda, ale czy na pewno chcesz to robić?*

Agnieszka jest dziś właścicielką dwóch psów. Pierwszy okazał się bezproblemowy, drugi lękowy. Ponieważ bał się dotyku, schronisko wydało go w obroży z doczepioną przedłużką, do której przypina się smycz bez konieczności dotykania zwierzęcia. Dziś jest już w pełni zsocjalizowany, w czym bardzo pomogła obecność drugiego psa. Przy obu adopcjach wolontariusze ze schroniska udzielali Agnieszce porad przez telefon, a nawet przyjechali do niej do domu.

Kilka miesięcy po rozwiązaniu adopcji pojechała do stowarzyszenia, żeby sprawdzić, co dzieje się z Oreo. Suczka siedziała w boksie, na widok Agnieszki nie zareagowała.

Anita kilkakrotnie dopytywała o dalsze losy Zeusa, wysyłała zapasy jedzenia do opiekującej się nim fundacji. Po pewnym czasie doradzono jej jednak, aby już tego nie robiła. Chociaż minęły już prawie dwa lata, Anita i Grzegorz nie zdecydowali się na kolejną adopcję.

Zeus został psem fundacyjnym – całe życie będzie pod opieką fundacji i nigdy nie zostanie wydany do adopcji.

AGNIESZKA GIERCZAK-CYWIŃSKA

# Łowy w mętnej wodzie

Aż 250 mln zł rząd chce wydać na monitoring rzek po zeszłorocznej katastrofie **Odry**. Nie wiadomo jednak, co i ile konkretnie ma kosztować, a naukowcy, wędkarze i lokalne władze ostrzegają, że ktoś może chcieć tu łowić grubą kasę.

ZBIGNIEW BOREK

**T**o historia wypisz, wymaluj o „państwie PiS”: niby wszystko jest zgodne z prawem, niby każda instytucja i urzędnik robi, co do niego należy, a jednak słycać, widać i czuć, że coś tu nie gra. Pół biedy, gdyby chodziło o drobniaki, ale stawką są olbrzymie fundusze publiczne, interes drugiej co do wielkości polskiej rzeki (w dalszym planie „wszystkich kluczowych śródlądowych wód powierzchniowych”, jak zapewnia rząd), a także – jakkolwiek górnolotnie to brzmi – dobro ludzi, którzy nie potrafią patrzeć na to wszystko przez palce.

Historia zaczyna się w Radkowie – najmniejszej (2,4 tys. mieszkańców) gminie w Świętokrzyskiem. Dzięki rzece Biała Nida sporą jej część obejmuje unijny program ochrony przyrody Natura 2000, warunki do hodowli ryb są wymarzone, ale gdy wraz z wójtem Jarosławem Dominikiem stoimy pośrodku kompleksu stawowego w Chyczy, widzimy tylko morze trawy i sitowia, a wodę jedynie w kałużach na drodze. Podobnie jest w kompleksie w Kwilinie, nieco lepiej w samym Radkowie. – *Trzy kompleksy obejmują ok. 258 ha, lustra wody pozostało może z 10 ha* – wlicza wójt. Nie mieści mu się w głowie, że tak zaniedbane obiekty stawowe

przejął Instytut Rybactwa Śródlądowego w Olsztynie (używa skrótu IRS). To renomowany Państwowy Instytut Badawczy: jako pierwszy wykrył w Odrze obecność tzw. złotej algi (rok temu doprowadziła do jednej z największych katastrof ekologicznych współczesnej Europy: z rzeki wyłowiono ok. 360 ton martwych ryb, zginęło ok. 90 proc. mięczaków, ucierpiał cały ekosystem). Teraz IRS jest kluczowym uczestnikiem projektu monitoringu Odry, którym chwali się rząd, a stawy w Radkowie i okolicy zamierza wykorzystać m.in. do zarybiania tej rzeki. – *Mieszkańcy się z tego śmieją, bo tu nie ma już prawie wody, wszystko jest zrujnowane* – mówi wójt. Jego samego szokuje fakt, że ostatni dzierżawca stawów został pełnomocnikiem dyrektora instytutu, który je przejął: – *Dawniej słynęliśmy z karpia, teraz stawy są powodem do wstydu. A sprawca dostał w nagrodę państwową posesję.*

## Szerokie plecy

Ten człowiek nazywa się Sebastian Karwowski. Próżno szukać jego zdjęć w internecie, na wizytówce nie podaje numeru komórki, nie podaje go też dyrektor instytutu (jego formalny zwierzchnik), a centrala telefoniczna nie przełączy, bo Karwowski na co dzień nie urzęduje na uczelni. Stawy

w gminie Radków wydzierżawił przed ok. 10 laty jako prezes spółki Flipper. Początki były obiecujące. – *Jak kupowałem karpia, pan Karwowski zapowiadał, że za rok będzie i sandacz* – opowiada Leszek Zasuń, mieszkaniec gminy Radków i szef powiatowego oddziału Świętokrzyskiej Izby Rolniczej.

Szybko okazało się, że firma Karwowskiego karpia sprzedaje coraz mniej i coraz gorszej jakości, o sandaczach zapomnij. Jak mówią Dominik i Zasuń, firma żyła prawdopodobnie z dopłat unijnych (od 800 do 1,4 tys. zł za hektar rocznie, w zależności od położenia), nie przepuściła też okazji, żeby uzyskać ulgi albo odškodowania np. za suszę. Stawy jednak nadal wysychały, w niektórych zamiast ryb ganiały się psy, rowy melioracyjne zapuszczono tak, że po skargach rolników gmina kosiła je na swój koszt. Był inny chętny na dzierżawę, ale Krajowy Ośrodek Wsparcia Rolnictwa (KOWR) w Kielcach, któremu stawy podlegały, odmówił ogłoszenia przetargu, bo o przedłużeniu dzierżawy starał się Karwowski. Narzekali miejscowi wędkarze (uporządkowali jeden ze stawów, ale dzierżawca ich wyrzucił) i turyści (nie mieli gdzie wędkować). Wójt: – *Chcieliśmy więc uratować chociaż dwa stawy i zamienić w ogólnodostępne towiska.*



W tym celu gmina wystąpiła do KOWR o ich przejęcie, ale Karwowski chciał ją ubiec: wystąpił o kupno stawów (sprzedaż zablokowała izba rolnicza). W grudniu 2022 r. skończyła mu się umowa dzierżawy, a już w marcu 2023 r. KOWR przekazał wszystkie trzy kompleksy stawowe odległemu o 405 km instytutowi w Olsztynie. – *I tak to podległy rządowi instytut przy udziale państwowego ośrodka wystrychnęli lokalną społeczność na dudka – sumuje wójt.*

Dodaje, że przez cały ten czas w sprawie stawów przewijało się nazwisko Karwowskiego, ten zaś pozował na człowieka z plecami w rządzie. Dla wójta potwierdzeniem było to, że KOWR, rządowa instytucja, na wniosek gminy w ogóle nie odpowiedziała (wbrew przepisom). O politycznych mocodawcach byłego dzierżawcy, a obecnego pełnomocnika, słyszeli też nasi rozmówcy związani z Instytutem Rybactwa Śródlądowego (jest ich kilku, zastępują sobie anonimowość): – *Dyrektor instytutu mawia, że na pełnomocnika jest „za krótki”.*

Dyrektorem jest dr inż. Grzegorz Dietrich, wcześniej pracownik naukowy olsztyńskiej PAN. Pierwszy raz władzę w IRS przejął w 2015 r. Rządził krótko, w 2016 r. próbował wrócić. Komisja konkursowa

odrzucała jego kandydaturę, ale później Zjednoczona Prawica zmieniła prawo tak, żeby minister rolnictwa mógł odwołać i powołać dyrektora bez konkursu. I tak robił: odwołał z tej funkcji prof. Arkadiusza Wołosa (choć za jego kadencji instytut pierwszy raz od wielu lat zanotował zysk), a w 2022 r. powołał Dietricha. – *To była nominacja polityczna – twierdzą nasi rozmówcy. – Dyrektor chwali się np. udziałem w jasnogórskich dożynkach z minister rządu PiS Anną Moskwą.*

### Moc pełnomocników

Wśród pierwszych decyzji Dietricha było kupno służbowego samochodu, także zatrudnienie aż pięciu pełnomocników. Wcześniej dyrektorzy IRS pełnomocników nie mieli, a Dietrich nie krył, że część z nich to osoby „narzucone z góry”. – *Zatrudnienie pełnomocników jest obejściem przepisów dotyczących wynagrodzeń w instytutach oraz stanowisk. Dyrektora i jego zastępców powołuje oraz odwołuje minister. W przypadku pełnomocnictw brakuje oddzielnych regulacji i jest duża swoboda, szczególnie jeżeli chodzi o wynagrodzenia i czas pracy – mówi dr inż. Dariusz Ulikowski, szef instytutowej Solidarności.*

W historii, którą opowiadają nasi rozmówcy, pełnomocnicy są „grupą

trzymającą władzę”: podejmują kluczowe decyzje nad głową dyrektora, nie liczą się z niczym i nikim, a ich powiązania też dają do myślenia. Karwowski okazał się dzierżawcą stawów, które przejął instytut. Jego rodzony brat jest prezesem spółki ACS Poland, z którą związany był (kapitałowo, bo rodzinnie nadal jest) inny pełnomocnik Marceli Ferlin. W tej samej spółce udziały ma Marcin Sitarek, który pracował w IRS za pierwszej kadencji dyr. Dietricha. Kolejni pełnomocnicy dyrektora: Igor Granosik i Robert Baranowski (do niego wrócimy), byli wiceprezesami NASK SA, spółki zależnej NASK Państwowego Instytutu Badawczego, a ten nadzoruje kancelaria premiera Morawieckiego. Polityczne skrajzenia potęguje fakt, że IRS wynajmuje w Warszawie biura przy ul. Nowogrodzkiej 50, kilometr od siedziby PiS. Urzęduje tam m.in. pełnomocnik Karwowski.

– *Czujemy się tak, jakby szykowała się powtórka z afery w Narodowym Centrum Badań i Rozwoju, które zresztą znajduje się naprzeciwko naszych warszawskich biur – mówi wieloletni pracownik naukowy instytutu. Jeśli wierzyć byłemu prezesowi NCBiR, posłowi Jackowi Żalkowi, był wręcz szupem, a nad jego głową publiczne fundusze trafiały na cele partyjne i prywatne konta. – U nas pełnomocnicy też najwyraźniej mają mocodawców „u góry”, bo się na nich nieustannie powołują – twierdzą nasi rozmówcy z instytutu. Marek Sawicki, poseł PSL i były minister rolnictwa: – Dyrektorem instytutu został z nominacji partyjnej ministra z PiS [Henryka Kowalczyka – przyp. Z.B.] człowiek, który w konkursie nie miałby szans. Na pełnomocników nominował ludzi, którzy nie mogliby objąć w tym instytucji stanowisk kierowniczych, bo nie mają formalnych kwalifikacji, ludzi pokroju pana Karwowskiego. Byłem tym zdumiony, ale najwyraźniej wkradł się w łaski PiS. Tak działa ta partia: instytut, który powinien być wylegarnią, zamienia w dojarnię, kontrakty rządowe obstawiają zaufani ludzie, a to, co się dzieje wokół Odry, tylko to potwierdza.*

Co ciekawe, syn Sawickiego był początkowo współnikiem Karwowskiego w Radkowie (Karwowski obnosił się z osobistą znajomością „z samym ministrem”). Marek Sawicki w rozmowie z POLITYKĄ tłumaczy, że spotkał go dwa razy, Karwowski zrobił na nim złe wrażenie, odradzał więc synowi robienie z nim interesów, po trzech latach ich drogi się rozeszły i do dzisiaj nie utrzymują kontaktów. Od Karwowskiego odcina się też jego brat ze spółki ACS Poland: nie utrzymuje z nim kontaktów, nie interesuje się Radkowem, nie współpracuje z IRS. ▶

► Od niczego się nie odcina, ale też niczego zdaje się nie potwierdzać dyr. Dietrich. Choć kieruje państwową instytucją, to ani związek zawodowy, ani rada naukowa instytutu (reporter też) nie uzyskują od niego informacji o pełnomocnikach, ich kompetencjach, wykształceniu i doświadczeniu zawodowym. Nie ujawnia ich zarobków, gdy jednak jeden niechcący zostawia swoją umowę na biurku, okazuje się, że zarabia dwa razy więcej niż uczelniany profesor. Karwowski zaprzecza, że miał coś wspólnego z przejmowaniem przez instytut stawów, „nie przypomina sobie”, żeby chciał je kupić. Cegielkę do muru milczenia dokłada lokalny polityk PiS Jacek Toś, choć jako szef państwowego KOWR w Kielcach mógłby (i powinien) coś wyjaśnić.

### Sprawa dla CBA

Dla pracowników IRS zgłębianie sprawy okazuje się niebezpieczne: gdy szef Solidarności zwrócił się do dyrekcji o wyjaśnienie legalności działań pełnomocników, wykluczono go z zespołów badawczych i odebrano kierowanie dwoma dużymi projektami. Związkowcy mają już tego dość: planują powiadomienie inspekcji pracy, a może nawet CBA.

– *Ludzi, którzy są ekspertami w swoich dziedzinach, odsunięto na boczny tor, bo nie wszystko zgodziłoby się firmować swoim nazwiskiem* – twierdzą nasi rozmówcy. Według nich kluczowe projekty instytutu zostały wyprowadzone poza centralę IRS, do Rybackich Zakładów Doświadczalnych w Żabieńcu koło Warszawy i w Zatorze koło Krakowa. Oba formalnie podlegają instytutowi, ale mają odrębną księgowość i dyrektora. W obu został nim pełnomocnik Robert Baranowski, który pół roku przed przyjściem do Instytutu Rybactwa Śródlądowego był jeszcze wiceprezesem powiązanej z Kancelarią Premiera spółki zajmującej się bezpieczeństwem internetu. – *Jest nam teraz przedstawiany jako główny menedżer instytutu* – mówią nasi rozmówcy.

Tymczasem 2022 r. cały IRS zamknął stratą ok. 2,4 mln zł. – *Tak małą tylko dlatego, że do przychodów zaliczono ryby, które pływały jeszcze w naszych stawach. Tego się nie robi, bo nigdy nie jest pewne, ile ich jest i ile uda się odłowić. Bez tej sztuczki księgowej rzeczywista strata instytutu w 2022 r. wyniosła ok. 5,5 mln zł, a w tym finansowy rok do roku pogorszył się o 7 mln zł, przy przychodach ok. 38 mln zł* – twierdzi nasz rozmówca. Według niego sytuacja finansowa IRS jest krytyczna, ale pełnomocnicy opowiadają, że „są możliwości korzystania z ogromnych dotacji

na różne programy, byle były na duże kwoty, minimum 10 mln zł, obejmowały całą Polskę oraz były nośne medialnie”.

Projekt monitoringu Odry spełnia takie wymogi z nawiązką, a IRS odgrywa w nim bardzo istotną rolę. Od kwietnia zawiaduje pięcioma z dziesięciu punktów pomiarowych „pilotażowego, całodobowego, alarmowego monitoringu Odry”, a rząd promuje monitorowanie, jakby od niego zależało „być albo nie być” nie tylko Odry, ale też innych rzek.

Szczegóły finansowe toną jednak w mętnej wodzie. Najpierw minister Moskwa mówiła o „przeznaczeniu 250 mln zł na synchronizację i pełną cyfryzację systemu monitorowania jakości wód powierzchniowych na terenie całej Polski oraz na budowę instalacji oczyszczania wód poprzemysłowych na Odrze”. Później kosztowne z natury rzeczy „instalacje oczyszczania” z oficjalnych komunikatów wyparowały. Pozostał tylko monitoring. Wojewodowie organizują konferencje prasowe nad brzegiem rzeki i prześcigają się w zapewnieniach, że Odra już jest pod kontrolą: „Odra najlepiej przebadaną rzeką w Europie (...)”, „wprowadzona przez służby metodyka badań rzeki Odry wykracza znacząco poza obowiązki wynikające z dyrektyw unijnych”.

Biuro prasowe ministerstwa informuje, że z olsztyńskim IRS została podpisana „umowa wykonawcza” na zintegrowany system stałego monitoringu wraz z systemem wczesnego ostrzegania. Za kwotę „do 250 mln zł brutto” system ma objąć „wszystkie kluczowe śródlądowe wody powierzchniowe” w Polsce. Do końca trzeciego kwartału 2023 r. zainstalowanych zostanie na nich 25 punktów pomiarowych, a komplet (825 sztuk) do końca 2024 r. „Powstanie także centrum monitoringu – miejsce, w którym przez całą dobę będą zbierane i analizowane dane, w szczególności pochodzące ze stacji pomiarowych, ale także innych źródeł” – piszą urzędnicy. „Poniesione koszty są nieproporcjonalnie mniejsze w stosunku do spodziewanych korzyści środowiskowych” – kwitują pytania o szczegółowe koszty składowe inwestycji.

– *Wszystko jest postawione na głowie* – mówią tymczasem eksperci, bo o tym, że rzeka jest zatruta, przekonaliśmy się przed rokiem, gdy tony martwych ryb spływały jej nurtem. Od monitoringu woda nie robi się czystsza, system alarmowy jest potrzebny, ale nie odpowie nawet na pytanie, kto konkretnie ją zatrzyma. Przede wszystkim trzeba eliminować zanieczyszczenia, jednak służby ochrony środowiska nie zdołały się uporać

z przemysłowymi zrzutami zasolonej wody (tworzy warunki dogodne dla złotej algi) ani ze ściekami. Eksperci obawiają się więc powtórki z katastrofy, odnotowano już nawet symptomy: na Kanale Gliwickim, który zasila Odrę, na początku czerwca wyłowiono 370 kg martwych ryb. Tymczasem rząd informuje, że na „odbudowę bioróżnorodności Odry m.in. poprzez zarybianie przeznaczono 14 mln zł”.

– *Każdy biolog wie, że odbudowę populacji można prowadzić dopiero po rozpoznaniu czynników, które spowodowały zagładę, i ich wyeliminowaniu lub neutralizacji. W przypadku Odry tego nie wykonano* – mówi ichtiolog. I pyta: – *Jaki jest sens wydawania publicznych pieniędzy na zarybianie Odry, gdy za chwilę te ryby mogą zginąć, bo nie usunięto przyczyny śnięcia? Czy chodzi tylko o pokazanie, że władza działa?*

### Czas na małże

Jak przyznaje dyr. Dietrich, zarybianiu Odry mogą służyć m.in. stawy przejęte w Radkowie. – *Absurd, i to piekielnie groźny* – wskazują nasi rozmówcy, bo Radków leży w zlewni Wisły, a ryby powinno się rozmnażać i podchowycwać w zlewniach rzek macierzystych. Tarlaki (ryby zdolne do rozrodu) należałoby więc odłowić z Odry i przewieźć do Radkowa. – *To potężne ryzyko, że wraz z nimi złota alga trafi do zlewni Wisły, która jest od niej wolna. W ten sposób katastrofę, która dotknęła Odrę, można sprowadzić na inne polskie rzeki* – mówią, ale w instytucie nikt ich o zdanie nie pyta.

Co więcej, w maju IRS przejął kolejne stawy – tym razem w Rykach w woj. lubelskim – a zabiega o następne w innych regionach. „Celem jest pozyskanie materiału genetycznego rozród i podchów ryb coraz rozpoczęcia [powinno być chyba: oraz rozpoczęcie – przyp. Z.B.] odbudowy gatunkowej żyjących w polskich wodach małż” – pisze Dietrich. Wójt Dominik z Radkowa aż nie dowierza: – *Nie radzą sobie z tym, co mają u nas, to po co im więcej? Jedzie z reporterem przed miejscową bazę uczelni: za płotem trochę sprzętu, murowany barak, wiata z drewna, powiewa biało-czerwona flaga. Nieopodal, w rowie melioracyjnym, leży zawałony ziemią syfon. – Wystarczyło udroźnić, ale koparką zrobili obejście i go przy okazji rozbili. Przerzucili do Radkowa dwie maszyny, niby coś robią, ale nie wiedzą nawet, skąd te stawy są zasilane wodą* – opowiada. I powtarza, że skoro takie przedsięwzięcie firmuje rząd i państwowa uczelnia, to pewnie komuś się opłaci.

ZBIGNIEW BOREK

# Letnie łamanie głowy!

---



Zagadki logiczne, liczbowe, słowne i wiedzowe  
– każdy znajdzie coś dla siebie!

---

Do kupienia w kioskach oraz na [sklep.polityka.pl](http://sklep.polityka.pl)



© ZOFIA KOŁODZIEJCZYK

# Nieoczywiści

MARCIN KOŁODZIEJCZYK

Wyrośli z małego miasteczka. Nagle są w grze o najwyższe piłkarskie trofea w Polsce. Puszcza nie odpuszcza, jak mówi się w Niepołomicach.

**W** połowie czerwca, kiedy po meczu z Termaliką wdarli się do Ekstraklasy i przywieźli do miasteczka puchar, wzięła się za nich prasa sportowa. W jeden dzień z ciekawostki awansowali do bomby opisywanej branżowym bałakiem: „beniaminek ekstraklasy miał momenty wysokiego pressingu, wykonał olbrzymią pracę w działaniach defensywnych oczekując na kontrataki”. Ale kibice Puszczy Niepołomicze zwrócili też uwagę na ludzkie rysy wiekopomnego zwycięstwa – widzieliście, jak wzruszył się Tułacz?

Trener Tomasz Tułacz, zwany Napoleonem, piłkarski wyga, cieszył się jak ojciec z synów, miał łzy w oczach. Potem wpadł do szatni pogratulować chłopakom i mówi, że nie ma żadnego siadania na laurach, jest praca, praca, praca. Na krążganekach niepołomiczkiego zamku zawisł baner z gratulacjami od mieszkańców, a wystawiony na pokaz puchar tak wypryżulano, że musiał pójść do renowacji. Ulice załaza niebieskość klubowych koszulek Puszczy, a od małego stadionu tuż za rynkiem biła łuna kojarzona już na zawsze z dumą – tak to się przechowało w pamięci.

Księga pamiątkowa, dziś do wglądu u pani Marty w referacie promocji i kultury,

zawarła namiętność obywateli AD 2023: „szacunek dla tych, którzy z małych stają się wielkimi”, „Tata grał, brat grał, ja grałem i trenowałem, syn gra i trenuje, cieszę się, że dożyłem takich czasów”, „jesteście dumą Niepołomic, naszą DUMĄ!!!”.

Prywatnie pani Marta nie opuszcza nawet wyjazdowych meczów Puszczy, zresztą jak i inne panie z magistratu, a w pracy zajmuje się budżetem obywatelskim. Parę lat temu miasto zdobyło tytuł lidera samorządności, tutejszość i naszość jest tu ważna, a uliczne naklejki „Wspieraj swój lokalny klub Puszcza Niepołomicze” nie kłamią.

Tymczasem w Podgrabiu, na wiejskim boisku zapasowym drużyny, pan Adam, *spiritus movens* tego boiska, pięknie przyciął murawę i nawadnia płytę. Wcześniej zmuszony był zaapelować do ciekawskich dzieciaków i mam o zejście z murawy, przedyskutować na ostro z właścicielami psów zagadnienie spacerów po murawie, a nawet przegonić stąd faceta na koniu. Boisko jest słabo ogrodzone i każdy uważa je za własne, a pan Adam ma na nie stale czujne oko, ponieważ mieszka przez miedzę, i utrzymuje *perfekt* dla Napoleona i jego piłkarzy, którzy tu zjeżdżają na treningi trzy razy dziennie.

Na parkingach – małym wyasfaltowanym pod miejskim stadionem i tym

polnym przy boisku w Podgrabiu – rzuca się w oczy zupełny brak aut Lamborghini, Ferrari i Porsche, które normalnie należą do obowiązkowych marek wśród zawodników od Ekstraklasy wzwyż. Chłopaki przyjeżdżają używaną klasą średnią, czasem po kilku w samochodzie, a gdy dochodzi do wypowiedzi, powielają jeden komunikat, który wpoił im trener Tułacz: teraz czas ciężkiej pracy i pokory, nie ma siadania na laurach.

**P**an Adam zna ich od lat, po przewziwskich, i mówi, że to dobre, niezepsute chłopaki, żyjące blisko realiów. Trener trzyma ich ręką twardą, ale ojcowską. Tułacz potwierdza, że mają w Niepołomicach drużynę jak rodzinę, relację „jeden za wszystkich, wszyscy za jednego”, i stąd biorą się wyniki. Wcześniej wielu puszczań na piłkarskim wolnym rynku ocierało się o Ekstraklasę, ale wielkie drużyny ich nie chciały, dlatego oni – jak już zwalczyli frustrację – tak się zawzięli, że sami sięgnęli po Ekstraklasę. Zawodnicy nieoczywiści, mówi trener, robią nieoczywisty zespół. Liczy się rogadość duszy, bodziec, jaki daje lot z samego dołu; gwiazdorstwo w Niepołomicach niedozwolone. Czyli znów: praca, praca, praca, świętowanie skończone, zostało codzienne kopanie.

Napoleon wciąż w półwylocie na murawę, bo trening. Nad biurkiem w pokoju trenerów powiesił powiększoną stronę z „Przeglądu Sportowego”: „Kopciuszek na balu” napisali tam o Puszczy Niepołomicze. To – plus internetowe grillowanie przez anonimowe „czarne mamby”, które piszą „wracajcie na wieś” albo „drwale z Puszczy” – jest jak memento dla ambicji. Bo nastawienie jest zawsze jedyne możliwe, mówi trener – że wygra się mecz.

Taka sytuacja, wciąż omawiana w miasteczku od ratusza po płatny parking i fryzjera: nasi grają z wielką Wisłą Kraków. Stadion Wisły. Kibice też Wisły, 24 tys. ludzi. Jest pressing i przemyślana taktyka pozycyjna Napoleona, pytanie, czy psychika stanie na wysokości zadania. Wcześniej Wisła była w Niepołomicach i przegrała z Puszczą na tutejszym stadionie, ale winą za porażkę obarczono, jak to się często robi, stan murawy – była za mokra. Ale w Krakowie murawa tip-top, a i tak Wisła przegrywa z małą Puszczą 1:4. Gdyby nie trener Tułacz, który w porę podsunął słowo „nieoczywistość”, nie byłoby wiadomo, jak to wytłumaczyć.

Nieoczywiste było także zwycięstwo Puszczy z Bruk-Betem Termalika Nieciecza, 3:2. Właśnie po tym meczu puszczenie, którym filozofowie futbolu po różnych redakcjach sportowych wieszcyli raczej ciężką walkę o utrzymanie w I lidze, wrócili do miasteczka z pucharem, jako oficjalni ekstraklasiści. A chociaż wszyscy, od pokoju trenerskiego, poprzez burmistrza Niepołomic, do pana Adama z boiska w Podgrabiu, byli szczęśliwi w zdumieniu, używano bezpiecznego sformułowania „beniaminek ekstraklasy”.

Z czasem na rynku słów pojawił się gotowiec dla dziennikarzy: „stres mobilizujący był po stronie beniaminka, a usztywniający chyba po stronie przeciwnika”. Co się stało, jest wspaniałe, mówił Tułacz chłopakom z drużyny, ale już jest historią. Niepołomicze cieszą się jak jakieś śródziemnomorskie miasteczko, gdzie piłka jest religią, bohaterowie jadą na tydzień urlopu, a potem pan Adam nawodni im wiejską murawę i praca, praca, mordercza praca.

Marek Bartoszek, prezes Puszczy Niepołomicze, spiker PZPN, mówił: trzymajcie za nas kciuki, żebyśmy nie zwariowali. Dziś siedzi w biurze przed otwartym komputerem, bo sypie się lawina maili od menedżerów piłkarzy poszukujących pracy. A ekstraklasowa Puszcza szuka nowych graczy, ale nie panicznie – nie

będzie żadnej całkowitej wymiany składu. Nasi pokazali charakter, mówi prezes Bartoszek, nie pękają. Na giełdzie wypływają też teraz znani sprzed lat gracze, duże nazwiska, ale po kontuzjach lub w schyłkowo piłkarskim wieku, wraz z ich oczekiwaniami co do pensji – jest to nierealna oferta dla Puszczy.

Wysoki pressing panuje w niepołomiczym ratuszu – po awansie Puszczy do Ekstraklasy frakcja futbolowa wychodzi na prowadzenie. Roman Ptak, burmistrz, sam wywodzi się z piłki nożnej. Zanim w 2009 r. objął urząd, był reprezentantem Puszczy Niepołomicze w ówczesnej IV lidze, a i dziś nie opuszcza meczów jako kibic, w tym wyjazdówek. Wraz z nim profubolowość wyказuje większość rady miasta, a prezes Marek Bartoszek był jako bardzo młody człowiek odkryciem miejskiego referatu promocji i kultury, pnącym się jednocześnie w dziennikarstwie sportowym i strukturach PZPN.

Dawniej zdarzało się i tak, że niefutboliści z kręgów miejskiej polityki mieli ratuszowi za złe, że rozbudowuje stadion, zakłada akademie piłkarskie dla dzieci, poczynając od grupy U6 – poniżej szóstego roku życia. Politycznie mówiąc: zawsze znajdzie się jakaś dziura w gminnej drodze, którą da się przeciwstawić piłce, jeśli ktoś nie lubi burmistrza. Ekstraklasa tymczasowo zamknęła sprawę – teraz opinia publiczna w miasteczku nie zniesie krytyki swojej Puszczy i jej potrzeb. Jeżdżą po Niepołomicach na hulajnogach dzieci w koszulkach klubowych i wołają: do boju, Puszcza! Akademia piłkarska, która ma drużynę zapewnić narybek własnego chowu, pęka z dumy i pęka w szwach – tyle chętnych chłopaków i dziewczyn. Nic kosztem mieszkańców, mówi burmistrz.

Burmistrz Ptak mówi, że sukces Puszczy natychmiast uwidocznił się także jako wielka promocja dla miasta. Koncepcji szkoleniowej Napoleona, wychowanka Stali Mielec, znanemu w swoim czasie lokalnie zawodnikowi, miasto zaufało i dało czas – osiem lat na posiadzie to rekord, polska karuzela trenerów zwykle siłą odśrodkową wywala ludzi bez umiaru i zatrudnia nowych, niejako wpisując im w kontrakty czynienie futbolowych cudów. Bo trudno winić za brak sukcesu piłkarzy, jeśli się nie ma kasy na wymianę całego składu – trenera spakować łatwiej.

Klub Puszcza Niepołomicze kończy dokładnie 100 lat. W 1923 r. zakładał go, pod nazwą Niepołomiczanka, ówczesny burmistrz Andrzej Wimer. Niemal

jednocześnie powstał w mieście drugi klub – Żydowski Klub Sportowy „Puszcza”. Zagrali przeciw sobie tylko jeden mecz – Żydzi zwyciężyli 6:1. W 1926 r. kluby połączyły się pod szyldem Związku Strzeleckiego i przyjęły wspólną nazwę Strzelec Niepołomicze. Żydzi w uchodzącym za nacjonalistyczny przedwojennym Strzelcu? Tradycje społeczeństwa obywatelskiego w mieście nie biorą się znikąd, podkreślają dumnie w ratuszu.

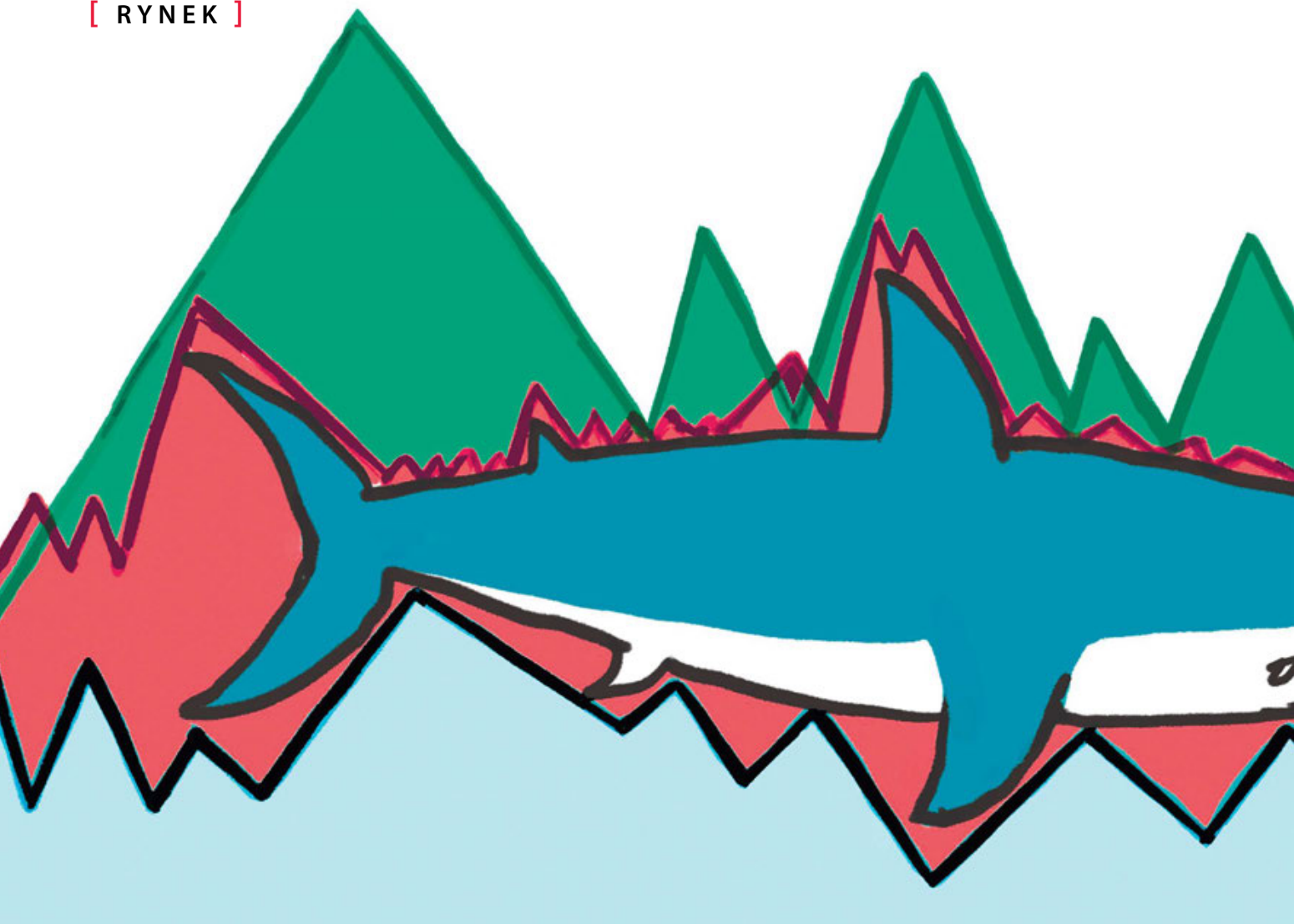
W 2023 r., po wejściu do Ekstraklasy, Puszcza – zgodnie z wymogami ligi – musiała przekształcić się w spółkę akcyjną. Zwykle zajmuje to kilka miesięcy, Niepołomicom zajęło 37 dni. Klub wciąż jednak należy w całości do miasta, jak wcześniej. Teraz musi jeszcze dostosować stadion – dobudować 2 tys. miejsc na trybunach i stworzyć bazę dla telewizji. Zainwestować, by zarobić, na przykład na transmisjach meczów. Trzeba tylko nie wypuścić z rąk Ekstraklasy. Przed Puszczą mecze, które do niedawna trudno było sobie nawet wyobrazić: Puszcza – Legia, Puszcza – Widzew.

Nieoczywiści trenują na boisku w Podgrabiu, trzeci trening tego dnia. Napoleon zasiadł na trenerskiej ławce z napisem „gospodarze”, asystenci ćwiczą chłopaków. Po polu, przed maleńką szatnią, kręci się, rozmawiając przez telefon po angielsku i niemiecku, menedżer piłkarski z Hamburga. Przywiózł swojego człowieka na testy w Puszczy, bo może go tu sprzedać. Wbiega na boisko taki koło trzydziestki, nieśmiały. Podawajcie nowemu, nawołują trenerzy. Przyjeżdżają też na wieś dawni wychowankowie drużyny, dzisiaj duże nazwiska w światku, trochę incognito – popatrzeć, życzyć szczęścia.

Koncepcja trenera Tułacza jest znana w mieście i w drużynie – praca, praca, praca. Więcej wart chłopak, który sam doszedł do sukcesu z drużyną, niż gwiazdor wzięty z rynku transferów. Prawdziwej motywacji nie da się kupić.

Dziennikarz prosi pana Adama, zwanego także podgrabskim *greenkeeperem*, aby dyskretnie wywołał z szatni Jakuba Serafina, kapitana Puszczy Niepołomicze. Serek! – drze się pan Adam i na to zjawia się kapitan. Mówi o ciężkiej pracy i że długo drużyna pracowała na sukces, ciężko i z poświęceniem. I musi już biec, bo trening.

Za płotem boiska przetacza się normalne, wiejskie życie. Pan Adam opowiada, jak po raz któryś tam wyprasał z murawy faceta z psem: Panie, coś pan zwariował? To jest boisko ekstraklasowe! ■



# Leszcze wśród rekinów

Na warszawskiej Giełdzie Papierów Wartościowych co rusz pojawia się podejrzenie o manipulowanie kursem akcji spółek. Komisja Nadzoru Finansowego czasem wszczyna postępowania, choć te na ogół kończą się niczym. Tym razem podejrzeniami dotyczącymi Elektrociepłowni Będzin SA zainteresował się premier.

ADAM GRZESZAK

**P**róba ustalenia w KNF, dlaczego premier zainteresował się Będzinem, napotyka zasadnicze przeszkody. Rzecznik KNF Jacek Barszczewski wyklucza jakąkolwiek rozmowę, bo całe siły urzędu zostały zmobilizowane do rozwikłania będzińskiej zagadki. Polecenie w tej sprawie wydał Mateusz Morawiecki, informując na Twitterze: „W związku z wątpliwościami ws. akcji EC Będzin zwróciłem się z prośbą do przewodniczącego KNF, aby w trybie pilnym przygotował raport, który będzie podstawą do dalszych kroków”.

Akcje Będzina w 2023 r. wzrosły o ponad 2 tys. proc. i trudno dla tego skoku znaleźć racjonalne wytłumaczenie. Węglowa elektrociepłownia to dziś słabo rokujący biznes, czego potwierdzeniem są potężne straty, jakie notuje spółka. Co zatem mogło tak nakreślić inwestorów? Wybucho więc afera, KNF rusza z postępowaniem wyjaśniającym, a przewodniczący Jacek Jastrzębski zapowiada groźnie „zero tolerancji”. Obiecuje jednocześnie, że wszystko będzie się toczyć szybciej niż zwykle. „W tej sprawie będziemy chcieli dzielić się informacjami w sposób szerszy niż standardowo” – obiecuje. Kończy się jego kadencja w KNF, chce się pożegnać z przytupem.



ILUSTRACJA PATRYK SROCYŃSKI

Już kilkanaście dni później pojawia się „Komunikat KNF dotyczący dynamicznej zmiany ceny akcji Elektrociepłowni Będzin SA”. „Analiza zleceń i transakcji, zawieranych na akcjach Spółki w okresie od 1.06. do 22.06.2023 r. w zakresie potencjalnej manipulacji kursem, nie potwierdziła podejrzania manipulacji na rynku” – głosi kluczowe zdanie dokumentu. „Zwiększona zmienność na akcjach Spółki przyciągnęła grono spekulantów akceptujących znaczące ryzyko zmiany kursu. Wymienione czynniki nie nosiły znamion manipulacji” – stwierdzają autorzy komunikatu KNF. Podkreślają, że tylko niewielka część akcji jest w obrocie, a oni przeanalizowali najważniejsze scenariusze manipulacji. Nie znaleźli dowodów ani na *pump and dump* (pompuj i porzuć, nakręcanie kursu, by w szczycie sprzedać akcje) ani na *layering and spoofing* (składanie i fałszowanie, manipulacja polegająca na składaniu dużej liczby zleceń kupna lub sprzedaży akcji bez zamiaru ich wykonania), ani na *wash-trades* (zmowa inwestorów robiących ruch poprzez jednoczesne sprzedawanie i kupowanie akcji), ani na *momentum ignition* (złożenie serii zleceń mających stworzyć wrażenie rosnącego trendu).

Wynika więc, że leszcze, czyli niezbyt doświadczeni inwestorzy indywidualni, uwierzyli, że jeśli cena akcji rośnie, to widać są powody i trzeba wsiadać do tego pociągu, jak gwarowo nazywa się szybko drożejące spółki. Zaczęli kupować akcje z nadzieją, że sprzedadzą wkrótce z zyskiem. Jak ustalił Business Insider Polska, zarząd EC Będzin jest przekonany, że spekulację nakręcali internetowi naganiacze, głównie z inwestorskiego forum na portalu

bankier.pl. Stare giełdowe porzekadło mówi, by kupować plotki, a sprzedawać fakty, więc kupowali trudne do zweryfikowania plotki, których internet jest dziś potężnym generatorem.

## Bananowa giełda

W sieci można było przeczytać anonimowe opinie, że Będzin zostanie wykupiony przez francuskiego inwestora albo polski Skarb Państwa. Wkrótce pojawiła się jeszcze informacja, że zawarto jakąś umowę ze spółką Orlen Synthos Green Energy w sprawie lokalizacji na terenie EC Będzin małego reaktora jądrowego (SMR), więc wszystko złożyło się w logiczną całość. Choć Orlen szybko sprostował, że żadnej umowy nie ma i reaktora też nie będzie, akcje nadal się pięły. Dziś w akcjonariacie EC Będzin państwo ma tylko 5 proc. udziału, ale biorąc pod uwagę, że obecna władza wszystko, co może, nacjonalizuje, plotki wydawały się prawdopodobne. Państwowy nadzór nad spółką sprawuje wiceminister aktywów Karol Rabenda. To polityk, przewodniczący Republikanów, partii Adama Bielana. A jeśli gdzieś są ludzie Bielana, to pewnie są i pieniądze.

KNF ma na koncie do dziś niewyjaśnioną własną aferę związaną z działaniami byłego przewodniczącego Marka Chrzanowskiego, więc trudno jej odzyskać wiarygodność w oczach inwestorów. Sądząc po komentarzach na twitterowych kontach i forach inwestorskich, komunikat nie przekonał wielu. „1000 proc. w miesiąc, prawie upadająca spółka...?! Kasyno ma większą wiarygodność niż KNF i GPW”. „Dlatego GPW jest i będzie bananową giełdą” – to niektóre z komentarzy.

Banany to w slangu inwestorów akcje spółek, co do których panuje podejrzenie, że ktoś nimi manipuluje. Przecież w tym roku to już nie pierwsza taka sprawa. Wcześniejsze dotyczyły spółek Ekipa Holding, Impera Capital ASI, MedicoFarma Biotech i Medcamp, kontrolowanych przez dużego inwestora Januarego Ciszewskiego, podejrzewanego przez KNF o popełnienie przestępstw wykorzystywania i ujawniania informacji poufnych oraz manipulacji w obrocie akcjami. Potem jeszcze wyszła sprawa dziwnego rajdu akcji Ciechu i podejrzenie manipulacji związanej z wezwaniem ogłoszonym przez KI Chemistry. Potem znów wątpliwości dotyczące akcji STS Holding. A teraz EC Będzin. Nie za dużo jak na pół roku?

– *Ja bym w sprawie Będzina tak KNF nie potępiał. Trzeba docenić, że pierwszy raz zareagowała szybko i wydała dość obszerny raport, nad którym można dyskutować, ale który ma spory walor edukacyjny. Gorzej natomiast, że nierozstrzygnięta została sprawa kluczowa, czyli podejrzeń o wykorzystanie informacji poufnych* – przekonuje dr Michał Masłowski, wiceprezes Stowarzyszenia Inwestorów Indywidualnych (SII), największej polskiej organizacji skupiającej drobnych inwestorów giełdowych.

## Handlarze tajemnic

KNF zastrzegła, że w sprawie wykorzystania informacji poufnych przez inwestorów mających do nich dostęp nadal prowadzi postępowanie. *Insider trading* – jak w międzynarodowym języku giełdowym nazywa się taki proceder – to jedno z najpoważniejszych przestępstw, zagrożone wysokimi karami, z więzieniem włącznie. Upilnowanie jednak, by informacje mające wpływ na sytuację spółki nie wpływały, zanim nie zostaną oficjalnie ogłoszone, i nie skłaniały wtajemniczonych do kupowania lub sprzedawania akcji, to jedno z największych wyzwań dla regulatorów rynków finansowych. Pod szczególną kontrolą są tu insiderzy (od ang. wtajemniczeni), którzy z urzędu wiedzą więcej, czyli członkowie zarządów i rad nadzorczych. Informacje o dokonywanych przez nich każdorazowych zakupach lub sprzedażach akcji kierowanej spółki muszą być podawane ►

► do wiadomości wszystkim akcjonariuszom, niezależnie jak dużego pakietu dotyczą.

Sprawę wpływu transakcji insiderów na kurs spółek badali dr Kamil Gemra z Kolegium Nauk o Przedsiębiorstwie SGH i analityk Piotr Kwestarz. – *Analizowaliśmy transakcje insiderów na GPW w latach 2010–20. Okazało się, że dokonywane przez nich zakupy akcji mają znaczący wpływ na kurs i powodują wzrost giełdowej wyceny spółki. Inwestorzy wychodzą z założenia, że jeśli członkowie zarządu i rady nadzorczej wykładają własne pieniądze, to znaczy, że wierzą w spółkę, a perspektywy wzrostu jej wartości są dobre* – wyjaśnia dr Kamil Gemra. W przypadku EC Będzin takie właśnie insiderskie zakupy mogły wpłynąć na akcjonariuszy.

Kiedy jednak w sytuacji spółki pojawiają się ważne wydarzenia, o których musi zostać poinformowany rynek, insiderom nie wolno sprzedawać ani kupować akcji, dopóki wymagane informacje nie dotrą do pozostałych akcjonariuszy. Zdarza się jednak, że poufna informacja wycieka i dochodzi do obrotu akcjami (np. przez osobę podstawioną). To wówczas mamy do czynienia z przestępstwem insider tradingu. – *To zjawisko, z którym zmagają się nadzorcy giełdowi na całym świecie. W Polsce idzie to wyjątkowo opornie, bo nawet jeśli KNF zidentyfikuje przypadek insider tradingu i skieruje go do prokuratury, to sprawa jest zwykle umarzana. Polscy prokuratorzy nie znają rynku kapitałowego, więc takie sprawy wydają im się błaha, skoro oni na co dzień zajmują się zabójstwami czy włamaniami. Podobnie jest z sądami, gdzie sprawy toczą się latami. Brakuje nam postulowanego od lat specjalistycznego sądu rynku kapitałowego* – uważa dr Gemra.

Przykładem problemów z wymiarem sprawiedliwości jest zakończona w kwietniu tego roku sądowa sprawa Mariusza Patrowicza, inwestora giełdowego oskarżonego o manipulowanie kursem akcji spółki Chemoservis-Dwory. Zarzut dotyczył sztucznego kształtowania TKO (teoretycznego kursu otwarcia – faza przed sesją, kiedy składa się zlecenia, ale nie są zawierane transakcje). Postępowanie sądowe trwało aż 14 lat i skończyło się uniewinnieniem.

W tym przypadku nie chodziło o leszcza, ale rekina giełdowego. W portfelu jego rodzinnej firmy Investment Friends są akcje 450 spółek. Patrowicz słynie z inżynierii finansowej i kontrowersyjnych posunięć, więc jest nieustannie na wojennej ścieżce z KNF. W marcu 2022 r. nadzór zawiesił notowania kilku spółek kontrolowanych przez Patrowiczów pod zarzutem stosowania manipulacji *pump and dump*. Swoją fundusz inwestycyjny inwestor przeniósł do Estonii, bo – jak twierdzi – tam nadzór jest mniej dokuczliwy, a kary dużo niższe.

## Od afery do afery

W historii warszawskiej giełdy pojawiało się wielu dużych i kontrowersyjnych inwestorów. Wystarczy wymienić choćby Józefa Huberta Gierowskiego, w latach 90. tytułowanego królem giełdy, który zasłynął z wrogich przejęć i był nawet poszukiwany listem gończym. A całkiem niedawno KNF znów zajmowała się sprawą dotyczącą giełdowych działań spółki Perła – Browary Lubelskie, która kojarzona jest z osobą Gierowskiego (poprzez jego spółkę cypryjską). Na warszawskiej giełdzie zasłynęła też rodzina ekipa Zalewskich, a sam Krzysztof Zalewski, znany zwłaszcza z rynku NewConnect, trafił niedawno do więzienia.

Giełdowa historia miliardera Romana Karkosika to także pasmo sporów z KNF, z których część kończyła się w sądzie. Najślynniejsza sprawa dotyczyła zarzutu, że wraz z żoną manipulował kursem swojej spółki Boryszew po to, by ta nie wypadła z indeksu WIG20. Chodziło o niedozwolone transakcje krzyżowe, czyli dokonywane między powiązаныmi ze sobą inwestorami. Postępowanie warunkowo umorzono, bo sąd doszedł do wniosku, że nie było pokrzywdzonych. – *To częsta sytuacja w sprawach giełdowych, gdy w sądzie*

*pada pytanie: kto konkretnie poniósł szkodę i jak dużą? Szkodę poniósł rynek, jego wiarygodność, ale wskazanie, którzy akcjonariusze stracili na manipulacji czy insider tradingu i ile konkretnie, jest niemożliwe* – ubolewa dr Masłowski.

Tomasz Prusek, prezes fundacji Przyjazny Kraj, od lat obserwuje i komentuje wydarzenia z polskiego rynku kapitałowego. Jest też autorem dwóch powieści sensacyjnych dziejących się w giełdowych realiach. On też uważa, że nie dorobiliśmy się jeszcze powszechnej świadomości zagrożeń, jakie rodzą przestępstwa, do których dochodzi na rynku kapitałowym. – *Nie mieliśmy wielkich procesów giełdowych oszustów – takich, jakimi pasjonowała się Ameryka. Nie mieliśmy Michaela Milkena, króla obligacji śmieciowych, skazanego na długoletnie więzienie za naruszenie prawa papierów wartościowych. Nie mieliśmy też Marthy Stewart, gwiazdy telewizyjnej, która wykorzystanie informacji poufnych w niewielkiej transakcji giełdowej odpokutowała głośnym procesem i pobytem za kratkami* – przekonuje Tomasz Prusek.

W Polsce mieliśmy za to sporo efektownych afer, którymi pasjonowała się wyłącznie branża, a które mogłyby stanowić tło filmu sensacyjnego. Zaslugałaby na to np. „afery 100 sekund” (w 2004 r. makler doprowadził do chwilowego załamania kursu kontraktów na WIG20, co wykorzystała współpracująca z nim osoba, wyprowadzając za granicę blisko 3 mln zł) czy „fixing cudów” (wydarzenie z 2008 r. polegające na sztucznym zawyżeniu kursu WIG20, by ktoś mógł uniknąć strat na kontraktach terminowych). Na razie tylko Amerykanie potrafią zarabiać na swoich oszustach, o czym świadczą słynne filmy, m.in. „Wall Street”, „Wilki z Wall Street” czy „Arcyoszust”.

## Haki dla premiera

Na warszawskiej giełdzie jest jeden akcjonariusz szczególnie, którego żadne reguły nie dotyczą. To Skarb Państwa. W jego przypadku wszystko jest dopuszczalne, zwłaszcza nieustanne wymiany prezesów i członków zarządów w rytm przetasowań w Zjednoczonej Prawicy. – *Politycy nie zwracają uwagi na przepisy dotyczące rynku giełdowego. Bywa, że publikują w mediach społecznościowych informacje dotyczące kontrolowanych przez państwo spółek notowanych na GPW, doprowadzając do wstrząsów na rynku. I nic ich z tego powodu nie spotyka* – dodaje dr Masłowski.

Dziś taki ruch wstrząsający rynkiem wykonał Mateusz Morawiecki. Skąd to nagle zainteresowanie premiera małą prywatną spółką? Ekspertki i analitycy gubią się w domysłach. Podejrzewają, że chodzi o politykę. Rzecz dotyczy tajemniczego inwestora, czyli grupy Altum, która niedawno przejęła kontrolę nad EC Będzin i od kilku miesięcy gwałtownie skupuje akcje, windując ich cenę. O samej grupie Altum niewiele wiadomo, nie wiadomo też, skąd ma pieniądze (ponoć z legalnego źródła, ale odmawia informacji). Onet ją prześwietlił i odkrył powiązania polityczno-biznesowe z obrzeży Zjednoczonej Prawicy (PiS – Suwerenna Polska).

Zaskakujące jednak, że obok Altum jednym z kluczowych akcjonariuszy i szefem rady nadzorczej jest osoba z innej bajki. To Waldemar Witkowski, przewodniczący Unii Pracy, niedoszły kandydat na prezydenta w ostatnich wyborach. Będzin ma też pewne powiązania z Orlenem, co zapewne sprawiło, że Daniel Obajtek tak gwałtownie zareagował, gdy pojawiły się sugestie, że mógł mieć wpływ na wzrost cen akcji. Premierowi przydadzą się haki, które być może znajdują się w będzińskiej historii.

Zainteresowanie premiera i cała afery wokół EC Będzin nie wpłynęły jednak na kurs akcji. Ten, nie zważając na okoliczności i kiepską sytuację ekonomiczną spółki, systematycznie rośnie. Część inwestorów jest przekonana, że ktoś uparcie pompuje balon, który z hukiem pęknie. I znów najbardziej poszkodowane będą leszcze.

ADAM GRZESZAK

# SAN ma sens

CEZARY KOWANDA

*Marcin Bondarowicz*

ILUSTRACJA MARCIN BONDAROWICZ



Najem społeczny, głównie dla tych, co nie załapują się na kredyt ani na mieszkanie komunalne, udał się całkiem nieźle w kilku dużych krajach Europy Zachodniej. Dlaczego u nas idzie z tym tak opornie?

**W** Polsce ciągle brakuje mieszkań. Najczęściej padają liczby w przedziale 1,5–2 mln lokali. To oczywiście tylko szacunki dokonywane na podstawie danych unijnego urzędu statystycznego. ►

► Zdaniem Eurostatu prawie 36 proc. Polaków cierpi z powodu ciasnoty swoich mieszkań czy domów. Średnia unijna jest o połowę niższa. Gorsze wyniki wśród członków UE mają tylko Rumunia i Łotwa.

Ekspert Eurostatu przyjmuje, że jedno pomieszczenie powinno przypadać na każdą osobę powyżej 18 lat (choć w przypadku pary może wystarczyć jeden pokój). Dzieci do lat 12 mogą według statystyków mieszkać w pokoju w dwójkę, a te od 12 do 18 lat razem tylko, gdy są tej samej płci. W przeciwnym razie każde powinno też mieć swój pokój. Jednak ostatnie dane Narodowego Spisu Powszechnego pokazują, że gdy jedni tłoczą

zaledwie dekady ich liczba się podwoiła. W tym samym czasie przybyło w Polsce ponad 1,8 mln nowych mieszkań i domów. Oznacza to, że odsetek pustostanów wzrósł przez dziesięć lat z 7 do 12 proc. To trend co najmniej niepokojący.

Jego powody są regionalnie zróżnicowane. Niezamieszkałe na co dzień mieszkania w regionach turystycznych najczęściej służą jako drugie domy, czyli rezydencje wakacyjne. Wiele pustostanów znajduje się na ścianie wschodniej, która wyludnia się w dramatycznym tempie. Tam problem pustych budynków jest mniejszy, skoro i tak nie byłoby na nie chętnych. Dużo bardziej niepokojące dane dotyczą największych miast,

agencjom. Oczywiście jeśli zmienią zdanie, mogą stosowną umowę rozwiązać i nieruchomości wróci do właściciela.

– *Chodzi przede wszystkim o tych, którzy boją się wynajmować swoje lokale. Zadowolona ich perspektywa wzrostu wartości nieruchomości. Część być może miała w przeszłości złe doświadczenia z najemcami. Społeczne Agencje Najmu mają kojarzyć się z dużo większym poczuciem bezpieczeństwa przy umowach najmu. To one ponoszą odpowiedzialność za stan mieszkania, to one gwarantują właścicielowi regularną wypłatę czynszu, a ewentualne problemy z lokatorami biorą na siebie* – mówi Katarzyna Kuniewicz, ekspertka Otodom Analytics.



To strach przed dodatkowymi wydatkami zniechęca wiele gmin do tworzenia agencji najmu. Muszą przecież zmagać się z podatkowymi skutkami pisowskiego Polskiego Ładu, który pozbawił je istotnej części przychodów. Jakby tego było mało, samorządy ponoszą skutki drastycznego wzrostu cen prądu i gazu, kontrolowanych przez państwowych monopolistów.

się w przeludnionych mieszkaniach, inne lokale stoją puste. Według Głównego Urzędu Statystycznego w 2021 r. w całej Polsce takich niezamieszkałych nieruchomości, określanych jako pustostany, było prawie 1,9 mln. To mniej więcej tyle mieszkań i domów, ile ponoć nam brakuje.

**W Polsce, jak dotąd, nie dorobiliśmy się oficjalnej, urzędowej definicji pustostanu.** Za taki powszechnie uważa się każde mieszkanie czy dom, w którym nikt nie mieszka ani na stałe, ani czasowo. Niestety, GUS nie próbuje dociekać, dlaczego nieruchomości stoi pusta. Nie wiemy zatem, jak wiele lokali nikomu nie służy z powodu złego stanu technicznego, a ilu mieszkańców właściciele, z różnych powodów, nie chcą czy też nie mogą wynajmować. Wiemy za to, że ten problem narasta.

Według danych z poprzedniego spisu w 2011 r. takich pustostanów było ok. 970 tys. Oznacza to, że w ciągu

w których przecież głód mieszkań jest największy. Świadczy o nim zarówno szybki wzrost cen nieruchomości, jak i coraz wyższe czynsze. Te eksplodowały zwłaszcza wiosną ubiegłego roku, gdy do Polski napłynęła fala uchodźców po rosyjskiej inwazji na Ukrainę.

Ceny dość szybko się ustabilizowały, ale na poziomie o 20–30 proc. wyższym niż przed wojną. Podczas gdy najemcy szukają lokali, wiele z nich stoi pustych. Na przykład w Warszawie niezamieszkałych jest już ponad 200 tys. mieszkań, w Krakowie ponad 60 tys., w Łodzi ok. 50 tys., a w Gdańsku, Wrocławiu i Poznaniu po 50 tys.

**Częściowym rozwiązaniem problemu miały być Społeczne Agencje Najmu (SAN).** Dwa lata temu pojawiła się ustawa, która umożliwiła gminom tworzenie takich instytucji. Mają one zachęcać właścicieli nieużytkowanych mieszkań, aby powierzyli je w zarządzanie takim

Dodatkową zachętą dla wahających się właścicieli miałyby być pomoc w przeprowadzeniu ewentualnego remontu lokalu. Jego koszt brałaby na siebie gminna agencja, a potem rozliczała się z właścicielem. Część lokali stoi bowiem pustych także z powodu złego stanu technicznego, kredyt jest dzisiaj bardzo kosztowny, a rentowność najmu niepewna. Chętnie więc powierzyliby to zadanie odpowiedzialnemu partnerowi. Zwłaszcza jeśli sami nie będą musieli z góry wydać ani złotówki.

Na papierze założenia Społecznych Agencji Najmu wyglądają obiecująco. Ich działalność byłaby wzorowana na istniejących od wielu lat rozwiązaniach francuskich, belgijskich czy brytyjskich. Niestety, samorządy wcale nie rzuciły się do ich zakładania. Przez prawie dwa lata zaledwie kilka gmin przyjęło odpowiednie uchwały. To kolejny z rządowych pomysłów ostatnich lat, dotyczących rynku nieruchomości, który przyniósł więcej rozczarowania niż pożytku. Podobnie jak

słynne Mieszkanie Plus, niedawno oficjalnie zlikwidowane.

**Powodów dotychczasowych niepowodzeń SAN jest kilka.** – Z moich rozmów wynika, że wiele gmin nawet nie słyszało o takiej możliwości. Wybuch wojny w Ukrainie skoncentrował wysiłki na pomocy uchodźcom, zmienił priorytety działania samorządów i odwrócił uwagę od takich inicjatyw. Tymczasem właśnie teraz Społeczne Agencje Najmu można by wykorzystać jako narzędzie wspierania osób przyjeżdżających do Polski. Poza tym gminy obawiają się dodatkowych wydatków, a przecież agencję trzeba wyposażyć w odpowiedni budżet – ocenia Katarzyna Przybylska, dyrektorka ds. rzecznicstwa w Fundacji Habitat for Humanity Poland.

Rząd postanowił ratować SAN-y, bo tak potocznie nazywa się Społeczne Agencje Najmu. Nowelizacja przepisów ma zachęcić gminy, aby zaczęły tworzyć takie jednostki. Dostaną finansowe wsparcie na remonty i budowę zasobu mieszkań. Łatwo jednak nie będzie.

– Dobry moment na rozwój Agencji był kilka lat temu. Ogromnie wzrosły czynsze. Bardzo skurczył się też sam zasób dostępnych lokali. Część osób wahających się, co zrobić z pustym mieszkaniem, przekonały do wynajmowania wysokie stawki. Społecznym Agencjom Najmu może być zatem obecnie ciężko zjednać do siebie właścicieli – ocenia Katarzyna Kuniewicz z Otodom Analytics.

Tym bardziej że SAN nie będzie konkurować z prywatnymi agencjami najmu. W modelu społecznym czynsze mają być niższe o ok. 20 proc. od stawek rynkowych. Właściciele godzą się z mniejszym zarobkiem, bo po pierwsze zyskują pewność i bezpieczeństwo, a poza tym mogą skorzystać z przywilejów podatkowych. Nie muszą płacić daniny od przychodów z najmu, chociaż mało kto wie o tej możliwości.

**Opłaty niższe od rynkowych mają pomóc SAN-om w wypełnieniu tzw. luki czynszowej.** To jeden z największych problemów polskiego rynku mieszkaniowego, w który państwo próbuje ingerować wybiórczo i najczęściej nieskutecznie. Chodzi o zarabiających za dużo, by otrzymać od gminy lokale komunalne, ale jednocześnie za mało, aby bez problemu płacić stawki rynkowe. To właśnie takie osoby powinny być klientami Społecznych Agencji Najmu. A jak ich działalność może wyglądać w praktyce?

Już wkrótce SAN ruszy w Poznaniu. – W pierwszym okresie planujemy podpisać umowy z właścicielami około stu

mieszkań. Mamy nadzieję, że przekonamy ich nie tylko argumentem bezpieczeństwa, ale też zwolnieniem przychodów z podatku dochodowego. Ten program będzie uzupełnieniem zasobów miejskich, bo skorzystają z niego ci, którym zabrakło punktów w staraniach o przydział lokalu komunalnego. Dodatkowo najemcy będą mogli skorzystać z dopłat do czynszów w ramach programu Mieszkanie na Start – wyjaśnia Katarzyna Kaszubowska, dyrektorka Biura Spraw Lokalowych Urzędu Miasta Poznania.

Społeczne Agencje Najmu praktycznie jeszcze nie wystartowały, ale podobna inicjatywa funkcjonuje już ponad pięć lat w stolicy. Chodzi o Program Najmu Społecznego prowadzony przez Fundację Habitat for Humanity Poland. Doświadczenia są zachęcające. – W tej chwili mamy w zasobach ponad 240 lokali, z czego większość w Warszawie i część na Śląsku. Początki były trudne, bo musieliśmy przekonać do siebie właścicieli. Jednak ci pierwsi polecali nas swoim znajomym i stopniowo rosło zrozumienie, na czym polega nasza działalność. Niektórych do nawiązania współpracy zachęca pomoc w przeprowadzeniu remontów, inni są gotowi na nieco niższe przychody w imię wsparcia osób, których nie stać na komercyjny wynajem. Co ważne, nie pobieramy żadnej prowizji za zarządzanie najmem w przeciwieństwie do prywatnych firm. Te działania finansujemy z grantów i wsparcia sponsorów – opowiada Katarzyna Przybylska z fundacji Habitat for Humanity Poland.

Przekonuje, że przy większym zaangażowaniu sektora prywatnego segment dostępny cenowo mieszkalnictwa mógłby rozwijać się szybciej. Jedną z form współpracy to przekazywanie materiałów budowlanych potrzebnych do remontów, co firmy mogą potraktować jako działalność w ramach odmienianej dzisiaj przez wszystkie przypadki społecznej odpowiedzialności biznesu.

Na razie jednak jesteśmy wciąż na początku drogi. Wiadomo że napływ na rynek przynajmniej części pustostanów w dużych miastach mógłby w naturalny sposób obniżyć wysokość czynszów. Jednak uwolnienie tego uspiętego zasobu jest bardzo trudne. Rząd powinien być może nawet nakazać samorządom tworzenie Społecznych Agencji Najmu, ale równocześnie wyposażyć je w potrzebne do tego środki.

To właśnie strach przed dodatkowymi wydatkami zniechęca wiele gmin. Muszą przecież zmagać się z podatkowymi skutkami pisowskiego Polskiego Ładu, który obniżając podatek od dochodów osobistych w pogoni za wyborczymi głosami, pozbawił je istotnej części przychodów. Jakby tego było mało, samorządy ponoszą skutki drastycznego wzrostu cen prądu i gazu, kontrolowanych przez państwowych monopolistów.

**W takich warunkach trudno myśleć o sensownych, ale przecież kosztownych inicjatywach mieszkaniowych.**

Jeśli to się nie zmieni, Społeczne Agencje Najmu pozostaną niszą, a rynkiem nadal będą rządzić prywatni właściciele. W kampanii wyborczej to oni stają się czarną owcą dla polityków. Tych posiadających więcej niż pięć mieszkań (jak choćby zagraniczne fundusze inwestycyjne) rząd planuje dodatkowo opodatkować.

Niektórzy aktywiści, na przykład z warszawskiego stowarzyszenia Miasto Jest Nasze, apelują nawet o wprowadzenie daniny od pustostanów. Kto z mieszkańia nie korzysta i nie chce go wynajmować, ten miałby automatycznie płacić wyższą stawkę podatku od nieruchomości. To forma kija, tymczasem Społeczne Agencje Najmu mogłyby okazać się marchewką.

CEZARY KOWANDA

OGŁOSZENIE

**SPRZEDAM NIERUCHOMOŚĆ**  
**POŁOŻONĄ W WARSZAWIE (MŁOCINY)**  
**PAŁAC BRÜHLA Z PARKIEM O POW. 4 HA**

Kontakt: [gardocki@gardocki.pl](mailto:gardocki@gardocki.pl)

# Jak zagotować morze

ŁUKASZ WÓJCIK

Za kilka dni po stu latach wygasa traktat z Lozanny, ustanawiający tureckie granice. I będzie można wreszcie je przesunąć. Tak przynajmniej twierdzą sieroty po imperium osmańskim.



# G

recja ma co najmniej tysiąc wysp. Trudno je policzyć, bo w zasadzie nie ma zgody, kiedy morska skała staje się wyspą. W każdym razie większość tych zamieszkałych, czyli ok. 200 (to również się zmienia), oblewają wody Morza Egejskiego, mekki europejskiej turystyki. I jednego z najgorętszych dziś akwenów Europy. Nie tylko ze względu na średnią temperaturę wody, która pod koniec lipca dobiega do 26 st. C.

Wielu Turków uważa, że Grecja ma tych wysp stanowczo za dużo. Poza tym tworzą one łańcuch (nie)bezpieczeństwa wokół anatolijskich wybrzeży Turcji. Te najbliższe, Mejesti i Kos, leżące w archipelagu Dodekanez, są oczywiście za blisko. Na Kos jest taka plaża – Lambi – z której można ostrzelać tureckie terytorium z karabinu maszynowego (ponoć kiedyś sprawdzali to Turcy, oczywiście w drugą stronę).

Każdy taki grecko-turecki skok napięcia fatalnie działa na egejską turystykę, która w przypadku greckim stanowi 15 proc. PKB, a w tureckim – nawet 18 proc.

Oba państwa są też bardzo uzależnione od transportu przez Morze Egejskie, który w zasadzie zamiera przy okazji każdego incydentu między tymi państwami.

Wielu Turków uważa jednak, że wszystkie te problemy w zasadzie na dniach same się rozwiążą, bo obecne granice Turcji, w tym również te na Morzu Egejskim, przestaną obowiązywać. Tak jak ich prawna podstawa, czyli traktat podpisany w hotelu Beau Plus Rivage w szwajcarskiej Lozannie 24 lipca 1923 r. I Turcja będzie mogła w końcu odebrać to, co się jej należy.

**1** Latem zeszłego roku relacje między Ankarą i Atenami sięgnęły najgłębszych zakamarków Morza Egejskiego. Doszło nawet do tego, że po kilku incydentach lotniczych prezydent Recep Tayyip Erdoğan w zasadzie zagroził Grecji – w końcu sojusznikowi w NATO – inwazją.

Oba kraje od dekad toczą kłótnie o Morze Egejskie. Turcja oskarża Grecję o wysyłanie wojska na wyspy, które według Ankarę powinny pozostać zdemilitaryzowane: zgodnie ze wspomnianym traktatem z Lozanny Grecy nie mogą budować tam baz morskich ani fortyfikacji, mogą natomiast

utrzymywać lekkobrojni i nieliczny kontyngent porządkowy. Przy czym nawet niezależne ośrodki analityczne przyznają, że Grecy od lat 70. XX w., szczególnie po konflikcie o Cypr, regularnie dozbrają wyspy wschodnioegejskie.

Ostatnie wzmożenie rozpoczęło się od wizyty greckiego premiera Kiriakosa Mitsotakisa w amerykańskim Kongresie, gdzie przekonywał, żeby nie sprzedawać Turcji samolotów F-16. Grek argumentował, że Turcja regularnie prowokuje niebezpieczne incydenty lotnicze nad Morzem Egejskim i narusza grecką przestrzeń lotniczą (czego akurat nad tym skomplikowanym akwenem trudno uniknąć).

W odpowiedzi wzburzony Erdoğan oświadczył, że nie uznaje już greckiego premiera, cokolwiek miałyby to znaczyć. Zaraz potem wprost ostrzegł Grecję, że (my, Turcy – przyp. red.) „możemy nadejść niespodziewanie pewnej nocy”. A na koniec stwierdził, że należące do Greków wschodnioegejskie wyspy są przez nich tylko „tymczasowo okupowane”.

Grecy jednak nie odpuszczają. Regularnie przypominają, że choć teraz wody terytorialne wokół swoich egejskich wysp



Widok na wyspę Samos, za nią widoczne tureckie wybrzeże. W największym miejscu cieśnina ma półtora kilometra.

odmierzają na 6 mil morskich, to rezerwują sobie prawo do rozszerzenia ich o kolejne 6 mil, co gwarantuje im prawo międzynarodowe, a konkretnie Konwencja NZ o prawie morza. Turcja na podobnej zasadzie powiększyła wody terytorialne na Morzu Czarnym.

Wody terytorialne są w praktyce przedłużeniem terytorium państwa, które na ich obszarze zachowuje kontrolę nad ruchem lotniczym i żegluga, ale zwyczajowo przyznaje obcym jednostkom, również okrętom, tzw. prawo nieszkodliwego przeływu bez zbędnych przestołów.

Dwa lata temu Ateny rozszerzyły swoje wody terytorialne do 12 mil na Morzu Jońskim. „Grecja rośnie” – powiedział wtedy Mitsotakis. Ale joński przyrost Grecji nie wzbudził protestów tamtejszych sąsiadów, czyli Włoch i Albanii. Morze Egejskie to zupełnie inny przypadek. – *Gdyby Grecja zdecydowała się na te 12 mil na Morzu Egejskim, jej kontrola nad tym akwenem zwiększyłaby się z obecnych 43 proc. do 71 proc.* – mówi Hasan Gogus, turecki dyplomata, były ambasador w Grecji. – *W praktyce Morze Egejskie stałoby się greckim jeziorem. To dlatego*

*Turcja reaguje w tym przypadku wyjątkowo agresywnie.*

We wrześniu ub.r. w Samsunie Erdoğan powiedział: „I ty, Grecjo, spójrz na historię, wspomnij ją – i nie zapominaj o Izmirze”. Grecy oczywiście nie zapomnieli. Po pierwszej wojnie światowej, pod sam koniec wojny wyzwolenczej, w której oddziały pod wodzą przyszłego Atatürka wypędziły z Anatolii grecką armię wspieraną przez Brytyjczyków, Turcy weszli do greckiego wówczas Izmiru nad Morzem Egejskim, podpalili go i zmasakrowali greckich mieszkańców, niektórzy historycy mówią nawet o dziesiątkach tysięcy ofiar.

W straszeniu Greków panuje zresztą w Turcji ponadpartyjna zgoda. Niedawny konkurent Erdoğan w wyszyciu prezydencjki Kemal Kılıçdaroglu zaatakował prezydenta za słowa o tym, że Turcja może „przyjść” do Grecji niespodziewanie i w nocy. Ale nie dlatego, że uznał je za zbyt agresywne, wręcz przeciwnie. „Prawdziwy przywódca – przekonywał – skopiowałby turecką inwazję na Cypr z 1974 r. i po prostu przejął okupowane dziś przez Grecję wyspy bez żadnego ostrzeżenia”.

**2** – *Turcja jest chora na historię* – mówi Edhem Eldem, znany turecki historyk, komentując te pogroźki pod adresem Grecji. – *Jest chora przez swoje mity i teorie, ale przede wszystkim przez swoje lęki, kompleksy, przemilczenia i samozaparcia. O tym wszystkim przekonamy się zresztą dobitnie w najbliższych dniach.*

Podobnego zdania jest Bekir, młody historyk ze Stambułu. Ale podchodzi do tego z dystansem. Wszystko ma już przygotowane na 24 lipca: dwie łopaty, spory kilof, wiaderko, a nawet czołóweki, czym chwali się na Instagramie. Bo 24 lipca przestaną obowiązywać nie tylko tureckie granice na Morzu Egejskim, ale również tajne zapisy, które przez ostatnie sto lat zakazywały Turcji eksploatacji złóż ropy naftowej i m.in. boru, który wykorzystywany jest przy produkcji półprzewodników. Właśnie bor chce „eksploatować” Bekir.

O co chodzi z tym 24 lipca? Tego dnia według wielu Turków, dokładnie po stu latach, przestanie obowiązywać traktat z Lozanny i wszystkie obecne granice Turcji, z tymi na Morzu Egejskim włącznie, stracą prawną podstawę. Co więcej, zgodnie z tajnymi klauzulami traktatu Brytyjczycy znów przejmą kontrolę nad fortami wzdłuż Bosforu, a w samym Stambule grecka Cerkiew prawosławna reanimuje Cesarstwo Bizantyjskie. Ale skorzysta też Turcja, która poza dostępem do podziemnych surowców może odzyskać nie tylko wyspy egejskie, lecz również „zachodnią

Trację”, leżącą dziś w Grecji, i wiele innych osmańskich terytoriów.

Oczywiście, nic takiego się nie stanie. Przynajmniej nie w przewidywalnej przyszłości. Traktat z Lozanny nie ma terminu przydatności, poważnym historykom nic też nie wiadomo o żadnych tajnych klauzulach. Ale wielu Turków wie swoje. Według niedawnych badań sondażowni A&G, przeprowadzonych na wyższych uczelniach, aż 43 proc. badanych studentów i absolwentów wierzy w koniec Lozanny i ujawnienie tajnych klauzul.

– *Nastąpiła tu jakościowa zmiana, bo jeszcze kilka lat temu wszystkie te teorie spiskowe na temat traktatu z Lozanny buszowały wstydliwie po zakamarkach internetu* – mówi Cinar Ozen, politolog i historyk z Uniwersytetu Ankarskiego. – *Dziś są niemal oficjalną częścią państwowej propagandy i trudno spotkać Turka, który nie miałby na ten temat wyrobionego zdania.*

Skąd to się bierze? Prowadzone od wielu lat badania pokazują, że w Turcji wiara w teorie spiskowe ma wyraźnie psychologiczne podłoże. Co więcej, nowożytną historię imperium osmańskiego, a później Turcji, można by w zasadzie opisać kolejnymi syndromami, tu rozumianymi jako zbiorowe objawy chorobowe o charakterze psychologicznym. Niezmienną ich cechą jest przeświadczenie o zewnętrznych siłach nieustannie spiskujących przeciwko Turcji. A rewersem – próba odsunięcia od siebie odpowiedzialności za los własnej ojczyzny.

**3** To zaczęło się w drugiej połowie XVIII w., gdy Rosja odebrała Turkom Krym. Już wtedy było oczywiste, że imperium nie jest w stanie równać się militarnie czy technologicznie z europejskimi potęgami. Ale imperium jak to imperium – nie było gotowe przyznać się do tego przed sobą. Tłumaczyło więc kolejne porażki międzynarodowym spiskiem, nigdy własną słabością.

Najbardziej znanym tureckim syndromem jest oczywiście ten z Sèvres z 1920 r., który ziszczył wszystkie strachy poddanego upadającego mocarstwa. Na mocy podpisanego wówczas traktatu zachodnie mocarstwa, zwycięskie w pierwszej wojnie światowej Francja i Wielka Brytania, rozparcelowały między siebie arabskie posiadłości imperium. Turkom natomiast zostały ofiarowane grzybek terytorium w centralnej Anatolii, odbierając im cieśniny i nawet odwieczną stolicę w Stambule.

Wszystko zmieniła Lozanna. Ale od razu nie dla wszystkich w Turcji było to oczywiste. Zwolennicy Mustafy Kemala uważali rzecz jasna traktat z Lozanny za swój ►

► wielki triumf, wynegocjowany przez genialnego wodza. W ten sposób stał się on nieodzownym elementem mitu założycielskiego nowego państwa. W rocznicę jego podpisania zaczęto w Turcji świętować Dzień Lozanny – tego dnia dzieci przychodziły do szkoły w barwach wszystkich regionów zjednoczonej już na zawsze Anatolii.

Sieroty po imperium widziały to zupełnie inaczej niż kemaliści – dla nich był to ostateczny koniec mocarstwa. Ale obie grupy od początku mówiły podobnym językiem o „wielkim spisku przeciwko tureckiemu narodowi”. Dokładnie takie sformułowanie, wypowiedane wielokrotnie przez Atatürka, w czasie nabrało w tureckiej polityce melodyki podobnej do naszego „Balcerowicz musi odejść” – rytualnie powtarzane, często bez związku z tematem wystąpienia. O „wielkim spisku przeciwko tureckiemu narodowi” regularnie mówi Erdoğan, czyli pod wieloma względami polityczna antyteza Atatürka.

Prezydent Turcji wywodzi się zresztą ze środowiska, które od dawna krytykuje Lozannę. Chodzi o ruch Milli Görüş (Narodowa Wizja), założony jeszcze w latach 60. przez Necmettina Erbakana, prekursora politycznego islamu w Turcji, premiera w latach 1996–97 i mentora Erdoğan.

Prezydent Turcji, odwołując się właśnie do słów Erbakana, kilkakrotnie w ostatnich latach powtarzał tezę o lozańskich „łańcuchach” zniewalających Turcję, szczególnie w sprawie kontroli nad Morzem Egejskim, czym systematycznie wyprowadzał z równowagi grecką dyplomację. W 2016 r., rozjuszony nieudaną próbą obalenia go przez wojsko, stwierdził, że traktat z Lozany był tak naprawdę porażką Turcji, bo musiała „oddać” wyspy egejskie Grecji. „Zostaliśmy skolonizowani we własnym kraju” – powiedział wtedy.

Cały ten kompleks reakcji można dziś już nazwać syndromem lozańskim, który powtarza wszystkie strachy z Sèvres, ale idzie jeszcze dalej. O ile syndrom z Sèvres funkcjonował niemal wyłącznie w środowiskach wykształconych elit, o tyle dziś jego lozańska odmiana trafiła dosłownie pod strzechy. I dzięki temu co rusz okazuje się bardzo skutecznym (i niebezpiecznym) instrumentem politycznym w rękach Erdoğan.

**4** Paradoksalnie podejście do Lozanny jednoczy dziś w Turcji środowiska, które w żadnych innych okolicznościach by się nie spotkały: islamistów, sekularystów-zwolenników dawnej republiki o bardzo antyzachodnich poglądach, skrajną prawicę spod znaku Szarych

Wilków oraz duże grono byłych i obecnych wysokich oficerów.

Przy czym przeciwnicy Erdoğan w rychłym wygaśnięciu traktatu widzą raczej zagrożenie. Obawiają się, że prezydent Turcji już dawno dogadał się z Unią Europejską i gdy tylko Lozanna wygaśnie, pozwoli na utworzenie niezależnego Kurdystanu, obejmującego również południowo-wschodnią część obecnej Turcji. Niektórzy na opozycji idą krok dalej i przy tej okazji stawiają pytanie: czy przypadkiem Erdoğan nie jest Żydem? I czy na pewno przypadkiem traktat podpisano właśnie w Lozannie, światowej stolicy syjonizmu?

Z kolei zwolennicy prezydenta nie mogą się oczywiście doczekać wygaśnięcia traktatu. Według nich sto lat temu Kemal mógł wynegocjować dużo lepsze granice, stosowne do „narodowego potencjału”. Może nie zdołałby utrzymać imperium (i kalifatu, czyli symbolicznego zwierzchnictwa na wszystkich muzułmanami, co kluczowe dla islamistów), ale mógł chociaż powalczyć o „zachodnią Trację” i roponośny Mosul (dziś w Iraku), który przez 400 lat był w rękach tureckich.

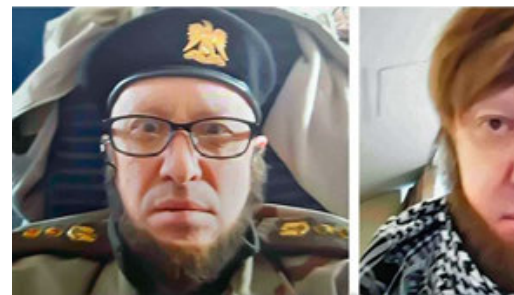
Ale może nic straconego? Dziś, sto lat po Lozannie, Turcja okupuje część północnej Syrii, turecka armia „wpada” do północnego Iraku wedle uznania, wysłała swoje jednostki specjalne do byłych osmańskich kolonii, od Libii po Azerbejdżan, i do Azji Centralnej, z którą łączy ją więź etniczne.

Edhem Eldem przestrzega jednak przed nostalgią po imperium i porównuje obecne wykorzystywanie syndromu lozańskiego przez Erdoğan do sentymentu, jakim wielu Niemców darzyło traktat wersalski w dwudziestolecie międzywojennym. Podobny wydaje się sposób tworzenia mitu o ciosie w plecy (niem. *Dolchstosslegende*), w Erdoğanowskiej Turcji przybierający formę oskarżeń o „wielką zdradę”.

Według niemieckiej wersji tego mitu Niemcy wcale nie przegrały pierwszej wojny światowej, ale zostały zdradzone przez swoich przywódców-cywilów przy stole negocjacyjnym. A niemieccy generałowie i żołnierze chcieli walczyć. Na tej samej zasadzie – przekonują publicyści z okolic władzy – Turcja wcale nie przegrała w pierwszej wojnie, wystarczył przecież wspomniany triumf pod Gallipoli czy w wojnie wyzwoleniczej z Grekami. Porażką i „wielką zdradą” okazał się dopiero traktat z Lozanny.

Najwyższy więc czas, aby przeszedł do historii. Tak jak greckie panowanie nad egejskimi wyspami.

ŁUKASZ WÓJCIK



PIOTR ŁUKASIEWICZ

## Coraz więcej wskazuje

**W**ładimir Putin-dyktator żyje i ma się chyba całkiem nieźle. Właśnie wystąpił na szczycie Szanghajskiej Organizacji Współpracy wraz z przywódcami Indii i Chin. Prigożyn-buntownik również żyje, oddano mu nawet najemników i skonfiskowany na chwilę majątek. Szojgu-cel buntowników wygląda na całkiem żywego, choć siedzi nieco posmutniały na naradach wojennych na Kremlu.

Wdowy po zabitych w czasie buntu pilotach – opłacone. Służby specjalne – na posterunku, choć nie wiadomo do końca, kogo strzegą. Armia rosyjska – wykrawia się na froncie w Ukrainie. Ukraińcy nacierają i wciąż próbują znaleźć słabe punkty obrony Rosjan. Na wschodzie bez zmian, choć cała sytuacja z Prigożynem wydawała się przez moment szansą na strategiczne załamanie Rosji.

### Bunt niewzorcowy

Kiedy trwał jeszcze marsz kolumny autobusów i ciężarówek wiozących czołgi Wagnera na Moskwę, świat gorączkowo przypominał sobie poprzednie rosyjskie rebelie i zastanawiał się, czy na naszych oczach właśnie odbywa się ich powtórka. Wizja była ponętna: Prigożyn obala Putina, rozpoczyna się walka o władzę, Rosja się rozpada! Ukraina wyczarowuje skądś pięć brygad pancernych, które przełamują linie obronne Rosjan w Zaporozżu i Donbasie. Koniec wojny, Krym odbity, armia w rozsypce. Piękny chaos.

Działanie Prigożyna wydawało się odzwierciedlać rosyjski model buntu przeciw carowi – albo w obronie cara. W historii tego kraju wojna kilkakrotnie stwarzała



# Śmieszno i straszno

na to, że słynni buntownicy z rosyjskiej historii nie znaleźli w **Jewgieniju Prigożynie** godnego naśladowcy. Raczej karykaturzystę.

już zagrożenie dla systemu władzy opartej na równowadze między ludem, carem i bojarami (czyli elitami pieniędzy i wojska). Jeśli lud czuje, że wojna nie przynosi spodziewanych efektów, może się zbuntować przeciwko błędnym decyzjom cara. Tak było w 1905 i w 1917 r., podczas wojen z Japonią i później z Niemcami.

Elity z reguły chcą się pod taki gniew ludu podłączyć, by zachować swoją pozycję i majątki. Wśród nich pojawia się desperat zdolny do rzucaenia wyzwania carowi. A pozostali, czując nadchodzącą zmianę, decydują się albo na poparcie buntu, albo na obronę cara. Jednak gdy Rosji groziła zewnętrzna interwencja, lud zawsze jednoczył się z carem – to jeden z mitów założycielskich rosyjskiego jedynowładztwa.

Tego ludowego buntu były jednak w Rosji różne warianty. W czasie tzw. wielkiej smuty na początku XVII w. lud wypędził pretendentów do tronu (Polaków!) i osadził na nim nowego władcę, pochodzącego z ówczesnych elit, Michała Romanowa. Za to w czasie rewolucji rosyjskiej 1917 r. lud nie tolerował dawnych elit skupionych wokół rządu tymczasowego. Szef sztabu armii podniósł wówczas nieudany bunt, na czym ostatecznie zyskali bolszewicy. Podobnie było w 1991 r., kiedy lud rosyjski, pożądający uroków kapitalizmu, odrzucił bunt komunisty Giennadija Janajewa.

Tym razem, w nocy z 23 na 24 czerwca, historia toczyła się podobnie ekscytująco, choć dobiegła później zakończyła zaskakująco banalnie jak na rosyjskie standardy. Prigożyn zamierzał ze swoimi najemnikami porwać ministra obrony Siergieja Szojgu w Rostowie nad Donem, z siedziby

dowództwa „specjalnej operacji wojskowej”. Nie udało się, Szojgu, prawdopodobnie ostrzeżony przez kontrwywiad, wyjechał z miasta. Prigożyn na krótko zajął dowództwo, nagrał kilka filmów, postraszył, że wojna w Ukrainie nie idzie z winy „biurokratów”. I pojechał dalej.

Na jednym z tych nagrań siedzi uzbrojony po zęby. Towarzyszą mu nieco bezradnie wyglądający wiceminister obrony Junus Bek-Jewkurow oraz wiceszef wywiadu wojskowego Władimir Alieksiejew. Nie wygląda to jednak na scenę, w której zatroskani ministrowie przemawiają do rozumu zbuntowanemu kondotierowi. Grożą sobie, ale i dowcipkują niczym mafijna rodzina Soprano, zastanawiająca się, kogo teraz „zniknąć”.

Było trochę „straszno”, kiedy obaj rozmówcy zarzucali Prigożynowi zdradę. Ale i „śmieszno”. Prigożyn i Alieksiejew żartują: „Ale ja chcę tylko Szojgu!”, na co szpieg z GRU odpowiada: „To go sobie weź!”. Po rozmowie zdesperowany Prigożyn rusza na Moskwę, by tam aresztować Szojgu i by... powiedzieć Putinowi, jaka to straszna korupcja zaległa się w rosyjskim MON. Oraz wyjaśnić prezydentowi, jak wygrać z Ukrainą.

Drugiego dnia buntu wydarzenia biegą szybko, choć kolumna Prigożyna porusza się na Moskwę raczej powoli. Ktoś zdecydował się na wysłanie przeciwko niej kilku śmigłowców – wagnerowcy je strącili. Z rąk Rosjan zginęli rosyjscy piloci. Wreszcie do roboty wzięli się negocjatorzy Putina, były ochroniarz prezydenta Alieksiej Djumin oraz ambasador Rosji w Białorusi Borys Grizłow. Dogadali się z Prigożynem i przekazali Putinowi, że to bunt wynikający z desperacji, a nie

z chęci wzięcia władzy. Zaproponowali też, że Aleksandr Łukaszenka będzie gwarantem porozumienia, a Białoruś – miejscem tymczasowej banicji dla kondotiera.

Kolumna zawróciła, bunt się zakończył, wagnerowcy oddali czołgi i zestawy przeciwlotnicze rosyjskiej gwardii narodowej. Zarzuty o zdradę zostały wycofane, Prigożyn na chwilę pojawił się w Białorusi i przeprosił, tzn. powiedział, że wcale nie chciał zamachnąć się na władzę.

Po buncie rosyjskie służby specjalne przeszukały pomieszczenia Wagnera w Moskwie i Petersburgu. Znaleźli tam cuda: sztabki złota, miliony dolarów, ozdobny młot kowalski, pięknie oprawione wizerunki odrąbanych głów ludzkich. Oraz serię zdjęć Prigożyna ze sztuczną brodą, porzebianego za cudacznego oficera arabskiej armii jak z kabaretu (publikujemy je powyżej).

Głupkowato się na nich uśmiecha. Nawet to zabawne, choć śmiech zamiera, jeśli przypomnimy sobie, że na zdjęciach jest człowiek, który pozwalał, by młotem kowalskim rozbijano głowy jego wrogów.

## Atomowe lęki

Ta groteskowa i ponura historia splotu wojny, armii, dyktatury i służb specjalnych miała jednak zupełnie nierosyjskie zakończenie. Putin bowiem nikogo nie ukarał. Nie doszło do czystek w wojsku. Generałowie gdzieś się poukrywali. Szojgu nigdzie nie było, szef sztabu Walery Gierasimow nie pokazał się publicznie od początku czerwca. W sumie wojsko rosyjskie na pucz zareagowało apatią. Nikt nie wiedział, czy do wagnerowców strzelać, czy przepuszczać ich przez kolejne blokady do Moskwy. ▶

► Podobnie lud rosyjski zachował obojętność wobec wydarzeń rozgrywających się między Putinem a Prigożynem. W Rostowie obywatele częstowali wagnerowców i robili sobie z nimi selfie. Lud obdzielił swoją sympatią zarówno najemników, jak i żołnierzy i policję, które ów bunt miały likwidować. I cieszył się, że uniknięto bratobójczej walki.

W odróżnieniu od innych buntów z rosyjskiej historii wroga zagranica, którą w Putinowskiej Rosji uosabia Waszyngton, zachowała się również wstrzeźliwość. Po buncie szef CIA William Burns zadzwonił do Sergieja Naryszkina, szefa służby wywiadu zagranicznego, i zapewnił go, że USA nie miały z tym nic wspólnego. Nastroje tonowali amerykańscy dyplomaci i szpiedzy. Zasygnalizowano Rosjanom, że Amerykanie wciąż uważają rosyjski arsenał nuklearny za bezpieczny. Przekaz był jednoznaczny: „Wspieramy Ukrainę, ale nie zmierzamy do zmiany władzy w Rosji”.

Popłynęły też zachodnie zapewnienia, że bunt „to wewnętrzna sprawa Rosji”. Świat może Putina nienawidzić za to, co dyktator wyprawia w Ukrainie. Ale jeśli chodzi o sprawy zasadnicze – atomowe – lepszy wróg znany i przewidywalny niż neofita-faszysta z kodami nuklearnymi.

Putin skwapliwie rozwijał Grupę Wagnera. Przynajmniej chwilowo, bo przecież przyda się jako wykonawca rosyjskiej polityki zagranicznej w Afryce i na Bliskim Wschodzie, gdzie wagnerowcy wspierają antyeuropejskich watażków i wydobywają złoto oraz diamenty. Odpowiedział tym samym na wyrażany publicznie niepokój rosyjskiego społeczeństwa – rodziło go istnienie w Rosji organizacji łamiących „monopol państwa na przemoc”.

## Przyczajony Putin, ukryte służby

Media zachodnie dziwiły się, jak to możliwe, że Prigożyn dotarł 200 km od Moskwy? Czyżby nie było w Rosji wojska albo oddziałów sił wewnętrznych, które umiałyby go zablokować? A może to był spisek wywiadu wojskowego GRU przeciwko służbie bezpieczeństwa FSB? Może jakieś „głębokie państwo” chciało Putina zamienić na kogoś, kto dogada się z Zachodem, podpisze pokój z Ukrainą i wróci do intratnego obrotu gazem?

Nic z tych rzeczy. Służby bezpieczeństwa mogły roznieść kolumnę wagnerowców na strzępy, ale Putin najwyraźniej wybrał ostrożne postępowanie. Chciał się najpierw zorientować, czy bunt jest tylko pomyłką i desperacją Prigożyna, czy

spiskiem o szerszym zasięgu. Okazało się, że kondotier działał sam.

Putin zorientował się też, że bunt daje mu okazję do pozbycia się jedyne go prawdziwego problemu, jaki miał od początku wojny. To nie spiski pojedynczych zamachowców zagrażają bowiem Putinowi, ale głęboki spór między ludźmi w wojsku, służbach i wśród ultrapatriotycznych środowisk – głównie o to, jak toczyć wojnę.

Prigożyn i jemu podobni chcieli docisnąć: robić mobilizację, rzucić jeszcze więcej żołnierzy na front, pokazać determinację i usunąć z MON „biurokratów i dziadków”. Inny obóz, symbolizowany przez aparat armii i służb, z Szojgu i Gierasimowem na czele, zdaje się grać na czas i wyczerpanie Ukrainy oraz Zachodu. Wskutek wojny cierpią na razie ludzie z prowincji, więźniowie, biedota i „mobiiki”. Wojna totalna wymagałaby jednak od miast większych ofiar, a Putin zdaje się nie być pewny ich poparcia.

Podział ten uwidocznił się również w rozmowie Prigożyna z generałem Aliksiejewem w Rostowie. Ten szanowany w służbach rosyjskich oficer wywiadu wojskowego zdobył szlify jako komandos specnazu, uczestnik wielu „akcji bezpośrednich”, a nie jako klasyczny wywiadowca działający pod dyplomatycznym przykryciem. Wcześniej przyczynił się do założenia Grupy Wagnera i był jej patronem. To człowiek armii, jeśli pozwolił więc sobie na publiczne wypowiedzenie do Prigożyna lekceważących słów o Szojgu, to znaczy, że podział w wojsku jest realny. Oficerowie, na których spoczywa ciężar wojny, nawet najwięksi patrioci rosyjscy, mogą nie wytrzymać, jeśli ktoś obarczy ich winą za klęskę.

Łatwiej ten spór rozwiązać zasadą „dziel i rządź” niż pójściem na zwanie z jednym albo drugim obozem. Oba są przecież częścią reżimu, którego nie mogą zniszczyć. Jeśli Putin potrafi tym sporem zarządzać, przetrwa pół roku, rok i jeszcze dłużej. Jeśli rozpocznie czystki, zbyt wielu niekompetentnych generałów może się czuć zagrożonych. Ci sprawni zresztą też.

Putin stara się przetrwać tę największą dla siebie próbę. Gotów jest wyjść na ulice, obściskować się z ludźmi, zapraszać ich na Kreml i hołubić ducha rosyjskiego ludu, który po raz kolejny „ochronił cara”. Tydzień po buncie pojawił się na wiecu w Derbencie, całował dzieci, przechadzał się wśród zachwyconego tłumu. Dziewczynkę, która nie zdążyła się do niego przytulić, zaprosił na Kreml i pokazywał jej swoje miejsce pracy. To ten sam Putin, który pandemię spędził w izolacji,

a Emmanuela Macrona i innych gości witał za groteskowo długim stołem.

Putin przemieniony? Jakby uwierzył, że już teraz nic mu nie grozi. Niczym Adolf Hitler, który po nieudanym zamachu bombowym Stauffenberga w Wilczym Szańcu w 1944 r. poczuł, że opatrność nad nim czuwa. I ze zdwojoną energią snuł plany wojny, którą przegrał zaledwie rok później.

## Wagner po polsku

Putin na puczu na razie niewiele stracił, choć część zachodnich mediów uważa, że jego wizerunek uległ nadwężeniu w oczach rosyjskiego ludu. Tak jakby trwałoby reżimu zależała od wizerunku... Czy faktycznie Rosjanie się przejęli, zobaczymy.

Na pewno przejęli się Polacy. Rząd Mateusza Morawieckiego chyba obawiał się, że maszerujący na Moskwę wagnerowcy mogą też ruszyć na granicę i mur rozdzielający Białoruś od Polski, z którego PiS jest tak dumny. Na razie nie ma dowodów, że na Białoruś już się przedostali. Pojawiały się, owszem, zdjęcia satelitarne z budowy czegoś, co przypomina wojskowe pole namiotowe, w obwodzie mohylewskim na wschodzie Białorusi. Mogłoby pomieścić kilka tysięcy ludzi. Być może wagnerowców, a być może rosyjskich żołnierzy szkolących się w Białorusi przed pójściem na wojnę w Ukrainie.

Zagrożenie z Białorusi dobrze się za to rządowi PiS rymuje z migrantami „szturmującymi granicę”. W kampanii wyborczej zawsze dobrze pomachać flagą narodową, licząc na „efekt gromadzenia się” wokół władzy strwożonych Wagnerem Polaków. Czy rzeczywiście wagnerowcy takie zagrożenie stworzą, okaże się później. Pojawia się na pewno bez broni ciężkiej i bez perspektywy zdobycia zarobków godnych najemniczej przeszłości. Nawet jeśli dojdzie do jakichś prowokacji z ich udziałem, to wagnerowcy nie wydadzą się być wyzwaniem dla polskich sił specjalnych, Gromu i innych, dyskretnie strzegących granicy.

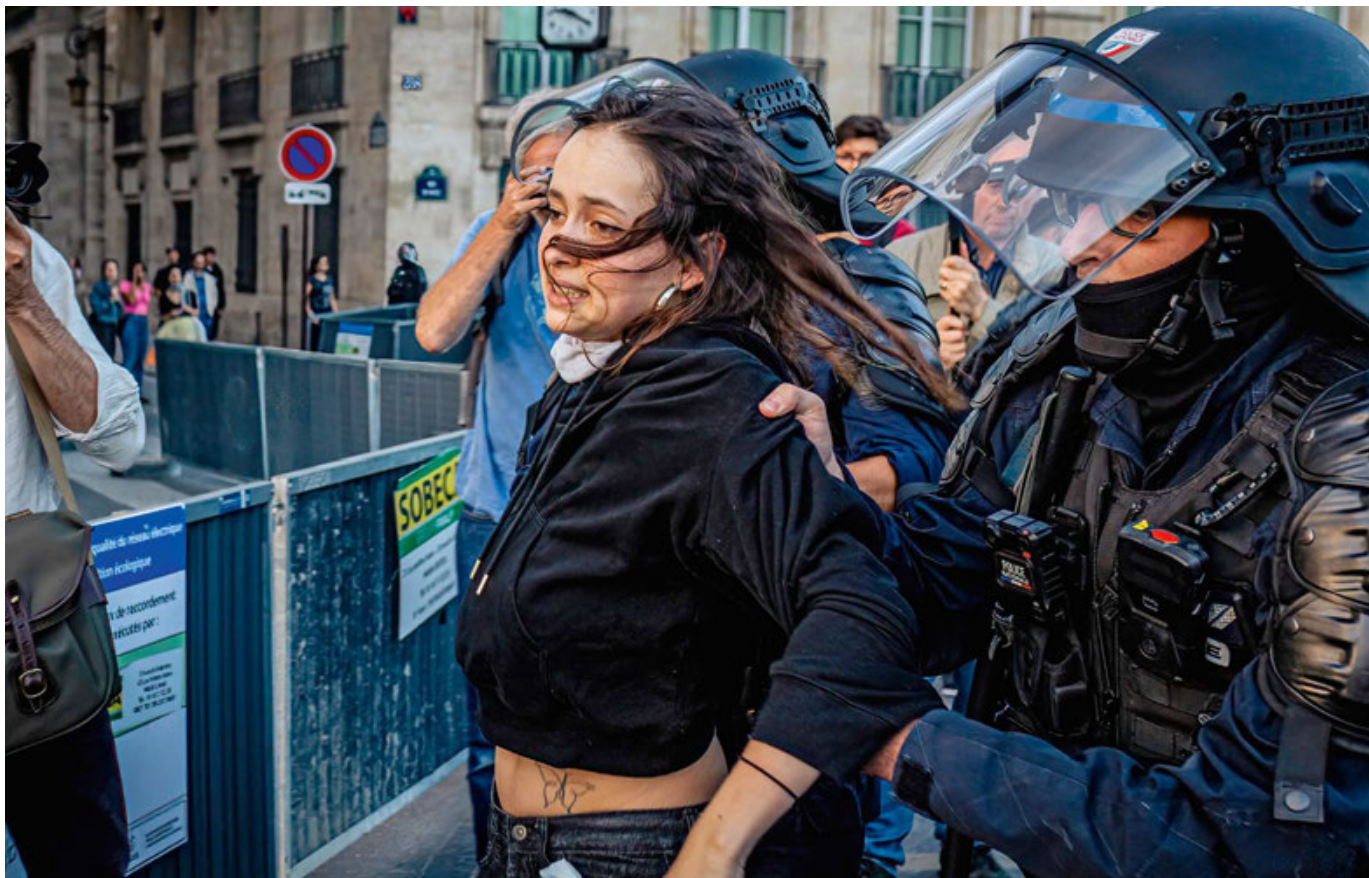
Na razie Morawieckiemu spodobały się za to dowcipy o Grupie Wagnera, którą z radością zamienił na Grupę Webera. To od nazwiska niemieckiego polityka i przywódcy Europejskiej Partii Ludowej, do której należy Koalicja Obywatelska. Niemcy, Wagner, Donald Tusk... rozumiecie Państwo ten dowcip? Grupa Wagnera, Grupa Webera, ależ śmieszne. Tak to pan premier Najjaśniejszej Rzeczypospolitej wymachuje humorem ciężkim niczym kowalski młot Jewgienija Prigożyna.

PIOTR ŁUKASIEWICZ

JAROSŁAW KUISZ

# Rewolta tiktokerów

To frapujące, że obok tradycyjnych uczestników francuskich rozruchów zadebiutowała teraz w radosnej destrukcji grupa najmłodszych nastolatków. Ewidentnie urwali się wszystkim: państwu, szkole, dziadkom, rodzicom i rodzeństwu.



**W** całym kraju zawyły syreny. Dźwiękowy gest wiele znaczył w merostwach jako wyraz solidarności przedstawicieli władzy lokalnej oraz sprzeciwu wobec nieokiełznanej przemocy. Wszyscy obliczają straty. Geoffroy Roux de Bézieux, szef organizacji pracodawców Medef, wstępnie oszacował je na miliard euro! Ocenia się uszczerbki wizerunkowe dla polityki zagranicznej oraz turystyki. Odwołano przeciw szczyt niemiecko-francuski, o tyle ważny, że od wybuchu wojny w Ukrainie stary silnik Europy dostaje zadyszki. A pod wpływem filmików i zdjęć z zamieszek wielu porzuciło wyjazd do „słodkiej Francji”. A w samej Francji uczucia są więcej niż mieszane.

Wszystko zaczęło się od wrzuconego do sieci nagrania. W Nanterre podczas

zatrzymania policjant strzela do nastolatka w samochodzie. Zabija chłopaka, o którym później dowiedziano się, że miał 17 lat i nazywał się Nahel Merzouk. Wideo z 27 czerwca jest poruszające. I tak wymowne, że początkowo oburzeniem zareagował sam prezydent Francji. Wbrew tradycji wyważonego opowiadania się przedstawicieli władzy za służbami mundurowymi, Emmanuel Macron emocjonalnie opowiedział się po stronie ofiary. Ostatecznie rozmaite kłopoty z prawem nie usprawiedliwiają zabicia chłopaka przez policję.

Dla młodych ludzi na przedmieściach nie miało to żadnego znaczenia. Zapewne nawet nie odnotowali słów najważniejszego w kraju polityka. Wystarczyła jedna iskra, by rozpoczęły się zamieszki w całej Francji i, rykoszetem, w Belgii. Zapłonęły tysiącami samochody, rozbijano

sklepowe witryny, dewastowano infrastrukturę miejską z dającym do myślenia rozmachem.

Ktoś w pierwszej chwili powie: nic nowego. Tylko za prezydentury Macrona galicyjski wandalizm widzieliśmy wielokrotnie. Przed sięganiem po przemoc nie wzbraniał się ani ruch żółtych kamizełek, ani przeciwnicy ostatniej reformy emerytalnej. W przypadku tych pierwszych iskrą do protestu była proekologicznie uzasadniana podwyżka cen benzyny. W przypadku tych drugich – wściekłość wywołała podniesienie wieku emerytalnego z 62 do 64 lat.

A jednak oba protesty nieco błędą w porównaniu z paroksyzmem przemocy, którego świadkami byliśmy ostatnio. Co więcej, pod pewnymi względami dynamika protestu była odmienna od dwóch wspomnianych. ▶

► W centrowej i lewicowej prasie francuskiej wydarzenie zaklasyfikowano jako kolejny przykład brutalności policji. Ze statystyk jasno wynikało, że niedawne poluzowanie przepisów dotyczących sięgania po broń palną przez policjantów ewidentnie przełożyło się na liczbę ofiar z tego powodu. Aż 18 osób zabitych i 39 rannych po odmowie wykonania polecenia podporządkowania się. A to tylko wierzchołek góry, czyli najbardziej spektakularne przykłady z ostatnich dwóch lat.

**W** pierwszej fazie zamieszki potraktowano jako rodzaj zbiorowego odwetu na służbach mundurowych. Uzasadniony czy nie, to wydawało się wielu osobom drugorzędne. Istotne, że opowiedzenie się po stronie ofiary niemal samoczynnie przekładało się na chęć dania ujścia negatywnym emocjom w sferze publicznej. I w tym kontekście wypada odnotować, że z kolei w prasie anglosaskiej przypomniano o zamieszkach w sierpniu 2011 r. po śmierci Marka Duggana w londyńskiej dzielnicy Tottenham czy w maju 2022 r. po uduszeniu George'a Floyd'a w amerykańskim Minneapolis. W obu przypadkach doszło do rozruchów, a zgon związany był z działaniami policjantów wobec osób czarnoskórych. Teraz do czarnej listy dopisano młodego Nahela, którego dziadkowie przeprowadzili się z Algierii do Francji w poszukiwaniu lepszego życia.

W drugiej fazie jednak zamieszki zaczęły żyć własnym życiem. I właśnie dlatego wydarzenia tego lata natychmiast zaczęto oglądać przez okulary sprzed blisko dwóch dekad. To była końcówka prezydentury sędziwego bon vivanta Jacques'a Chiraca (1995–2007). Wówczas w Clichy-sous-Bois pod Paryżem dwóch nastolatków, Zyed Benna i Bouna Traoré, uciekało przed policją. Chłopcy wpadli na fatalny pomysł schowania się do stacji transformatorowej, co skończyło się ich śmiercią. Władze lokalne próbowały uspokoić nastroje. Złożono kwiaty w miejscu zgonu nastolatków. Wówczas także publiczne gesty władz nic nie dały. Nagromadzone na przedmieściach napięcie społeczne znalazło ujście w ataku na symbole zamożności innych ludzi lub agresji wobec personifikacji autorytetu państwa. W 2023 r. gros aktów wandalizmu stanowiło po prostu powtórzenie gestów z 2005 r. Zniszczono niemal dziesięć tysięcy samochodów, mnóstwo sklepów i lokali gastronomicznych. Z dymem poszło wiele placówek publicznych, w tym szkoły.

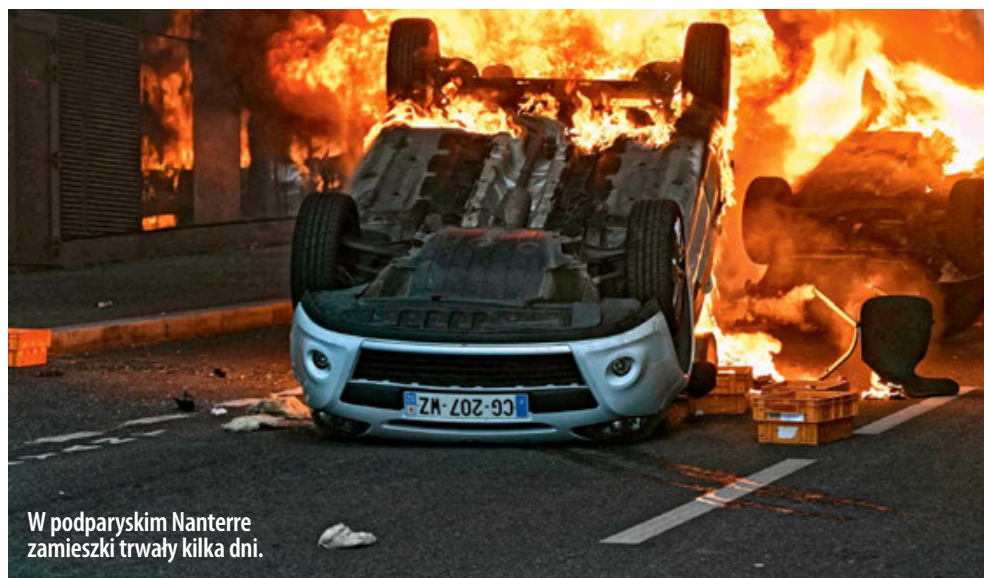
Wówczas w związku z dramatycznymi wydarzeniami okazję dla siebie zwierzili czołowi politycy. W telewizji i radiu

rezonował niejaki Nicolas Sarkozy, minister spraw wewnętrznych. Prosty językiem zapowiadał proste rozwiązania. Ten dynamiczny polityk obrzucał obelgami sprawców przemocy, zapowiadał przywrócenie prawa i porządku na przedmieściach. Jednoznacznie brał stronę służb porządkowych i zapowiadał politykę „zero tolerancji”. W tym samym czasie z ław opozycji socjalista, niejaki François Hollande, grzmiał na prawicowe władze. Przed kamerami żądał przejścia od słów do czynów.

Obu panów dzieliły przekonania polityczne, obu jednak tak zdecydowana postawa zawiodła do Pałacu Elizejskiego. Ster państwa otrzymał najpierw Sarkozy

prof. Alain Bauer próbował uporządkować grupy protestujących.

Pierwsza z nich to tiktokerzy przemocy, najmłodszy nastolatekowie z przedmieść, których uwagę przykuła brutalność policji. Owszem, ruszyli na ulice, lecz niebawem zaprzętną ich inne tematy. Druga grupa to w zasadzie młodzi przestępcy z przedmieść. Osoby, które na co dzień żyją w świecie równoległym do oficjalnego, niezadko związani z handlem narkotykami i bronią, są niemal zawsze gotowi do konfrontacji z policją. Wreszcie trzecia grupa to ludzie po prostu oburzeni zamordowaniem Nahela, którzy wyruszyli na ulice i bieg wypadków porwał ich ze sobą.



W podparyskim Nanterre zamieszki trwały kilka dni.

w 2007 r., a pięć lat później Hollande. Następnie rozwiązanie problemu przedmieść w ramach swojej „demokratycznej rewolucji” obiecywał młody, antyestabliśmentowy polityk Macron. Swoje pierwsze przemówienie wygłosił na północnych przedmieściach Paryża w Bobigny. Wówczas to był czytelny sygnał, czym zamierza się zajmować i jak pozycjonuje się w stoku do politycznego centrum.

Patrząc dziś, jak zamaskowani ludzie plądrują supermarkety, można było melancholijnie stwierdzić, że przez 20 lat nic się nie zmieniło. A jeśli już, to na gorsze. Dopiero po kilku dniach zaczęły przebijać się głosy, że to jednak nieprawda. A przynajmniej nie cała prawda o obecnych protestach.

**J**eszcze nie może być mowy o precyzyjnych danych, z których wszechstronnie opracowywania słynie francuska socjologia. Niemniej wielu dziennikarzy ruszyło w teren. Opublikowano wiele opinii mieszkańców przedmieść, na podstawie których

Dla wszystkich frapujące jest to, że latem 2023 r. rzeczywiście chodzi – przynajmniej częściowo – o najmłodszych nastolatków, którzy ewidentnie urwali się wszystkim. Państwu, szkole publicznej, dziadkom, rodzicom i starszemu rodzeństwu. Zanurzeni w wirtualu nagle wynurzyli się w realu, aby – jak zauważyła jedna z dziennikarek – odtworzyć sceny przemocy z popularnych gier komputerowych. Granice pomiędzy zabawą a przemocą zamazują się na inne sposoby: choćby poprzez używanie potężnych sztucznych ogni jako broni przeciwko policjantom. Nic dziwnego, że nad zamieszkami wywołanymi przez młodych lamentowali przed kamerami ich bliscy. Nawet babcia zabitego Nahela publicznie zaapelowała o opamiętanie.

Tym samym do miana najlepszego socjologa kraju urasta reżyser Ladj Ly. W ostatnich scenach fantastycznego filmu „Nędznicy” sprzed czterech lat w konfrontacji z policją to właśnie najmłodszy nastolatekowie okazują się ostatecznie najbardziej brutalni. Jakże profetyczny

to film; niestety – zauważał jeden z najlepszych politologów i badaczy społecznych Jérôme Fourquet. Owych młodych na ulicach niepodobna zaklasyfikować politycznie. Stare podziały na lewicę i prawicę, przykładane do nich, wydają się wręcz groteskowym nieporozumieniem. Od oburzenia na śmierć nastolatka i brutalność policji nastolatkiwie płynnie przeszli do rabowania sklepów z modnym obuwiem. Atakowano centra handlowe nie dla walki z kapitalizmem, ale przeciwnie, dla zdobycia modnych ubrań czy lajków w mediach społecznościowych.

Jeśli już, to zza obecnych zamieszek wyglądają stare prawidła ludzkich zachowań.



Z jednej z opublikowanych relacji młody człowiek podsumował swój udział krótko: wszyscy coś brali, to i ja wzięłem. Ponad wiek temu popędowe zachowania tłumu krytycznie opisywał już Gustaw Le Bon. Czego francuski klasyk socjologii nie mógł opisać, rzecz jasna, to narcyzm medialny protestujących. Odnosiło się wrażenie, że pewnych zniszczeń dokonywano po to, by otrzymać więcej reakcji w mediach społecznościowych. Łatwo to sprawdzić: niektórzy młodzi ludzie na żywo relacjonowali, jak uczestniczą w grabieży. Ich odklejenie od rzeczywistości szło tak daleko, że nie przychodziło im do głowy, że lajkowana relacja będzie zapewne materiałem dowodowym w sprawie przeciwko nim.

Głównym widać, że do opisu sprawców wątpliwy wydaje się także klucz wyznaniowy. Do wjeżdżania w drzwi sklepów autami oraz rabowania ich wyposażenia raczej nie motywowała nikogo żadna religia. Co najwyżej pierwsze skrzypce grały tutaj wzory konsumpcji, do których należy

aspirować. Pragnienia – podbijane przez media społecznościowe, wszechobecne w sieci kryotransklamy oraz gust rówieśników – choćby nie wiadomo, jak absurdalne, w zasadzie nie są filtrowane przez nic i nikogo. Na łamach intelektualnego czasopisma „Le Grand Continent” były polityk Jacques Toubon wskazuje, że należy jednocześnie analizować spłot dawnych problemów ekonomicznych na przedmieściach i kiepskiej jakości edukacją wraz z nowymi: stylami życia związanymi z cyfrowymi technologiami i fundamentalnym kłopotem z autorytetem rodziny, który grubo wykracza poza przedmieścia.

Wreszcie do starych problemów strukturalnych dochodzą jeszcze inne. Wspominany Fourquet i Jean-Laurent Cassely w książce „France sous nos yeux” (2021) na podstawie danych zwracali uwagę na metamorfozy, którym podlegają obrzeża miast. Otóż opisywanej od lat gettoizacji towarzyszy fala gentryfikacji. Ceny nieruchomości w wielkich miastach są kosmiczne. W przypadku przedmieść Paryża dobry transport publiczny wystarczy, by deweloperzy podejmowali się prób kolonizowania dzielnic nawet uchodzących za niegrzeczne. Styl życia nowo przybyłych mocno odstaje od multikulturowych obyczajów tubylców. Owa przyśpieszona gentryfikacja teoretycznie może być źródłem pozytywnych wzmocnień, jednak w praktyce raczej przyczynia się do konfrontacji i nowych napięć społecznych.

Dzisiaj żyjemy obok siebie. Obawiam się, że jutro skonfrontujemy się twarzą w twarz – te słowa o dwóch Francjach byłego ministra spraw wewnętrznych, nestora życia politycznego, Gérarda Collomba, przypominają nam o starym wyjaśnieniu obecnych zamieszek. Stare, nie znaczy nieaktualne. Problemy strukturalne opisywano od dwóch dekad w pracach naukowych i reportażach prasowych. To tona literatury o tym, jak działa wzajemna pogarda i wrogość „dwóch Francji”. W życiu codziennym przekłada się na nietolerancję, szklane sufity czy gorszy start dla dzieci z przedmieść.

W ostatnich dniach politycy zaczęli bronić się przed zarzutem „nicnierobienia”. Wyciągnięto dane, z których wynika, że po pamiętnym 2005 r. miliardy euro popłynęły do przedmieść. Chyba nie uchyla to jednak spojrzeń Gérarda Collomba o życiu obok siebie. Owszem, w niejednym suficie pojawiły się szczeliny, przez które przeszli najzdolniejsi i najwytrwalsi, jak piłkarz Kylian Mbappé czy aktor Omar Sy. Tym boleśniej jednak ich międzynarodowe kariery uzmysławiają, że to rozwiązanie nie jest dla wszystkich.

Obecny prezydent sądził, że poprawa bytu ekonomicznego rozwiąże problemy młodzieży z przedmieść. I tak jeden z ambitnych dokumentów reform strukturalnych (tzw. plan Borloo, od nazwiska polityka) trafił do kosza. Na tle losów tego dokumentu można pokusić się o spostrzeżenie, że mało komu z polityków szczebla centralnego chce się zajmować tym problemem bezpośrednio i z pasją. Na tym częściowo polega francuskie „życie obok siebie”.

Wszystko, co trudne w terenie, ostatecznie spada na władze lokalne. W trakcie zamieszek poza obrazami radosnej destrukcji do sieci trafiły również filmy, na których merowie własną pierśią bronią merostw. Próbują dialogu z tłumem, który obrzuca ich wyzwiskami i kamieniami. W ramach podsumowania zamieszek przypominano sobie o innych bohaterach ostatnich dni. Jak skromne liczbowo, ale symbolicznie ważne dla podniesienia morale, wysiłki matek z przedmieść, by przemówić nastolatkom do rozsądku (np. założyły różowe kamizelki odblaskowe). Niepostrzeżenie debata z dość już rytualnych rozmów o drugim czy trzecim pokoleniu imigrantów, które ma trudności z asymilacją, przesunęła się w stronę debaty o problemach rodzin po covidowej pandemii. Czy to przypadek, że ledwo skończył się rok szkolny, zaczęły się zamieszki? – pytanie.

Prezydent Macron również podjął międzypokoleniowy temat. W swoim niezrównanym stylu najpierw wpadł na pomysł, aby publicznie postraszyć rodziców karami za czyny dzieci. Później wypłynęła idea odcinania mediów społecznościowych podczas zamieszek. Wreszcie prezydent udał się na spotkanie z policjantami, co opisał „Le Parisien”. Tam w rozmowie o sprawcach zadał pytanie: „Ale te dzieciaki, kogo one słuchają?”. „Dilerów narkotyków, panie prezydencie” – padła odpowiedź.

Czy można się zatem dziwić, że wobec tak złożonego problemu wielu Francuzów chce prostych rozwiązań? Że notowania partii Marine Le Pen rosną? A zapewnienia szefa MS Geralda Darmanina, że nie ma związku pomiędzy imigracją a zamieszkami, budzą wściekłość lub śmiech. Tu hasła są oczywiste: deportować nielegalnych imigrantów, wyjść z Schengen i zamknąć granice na siedem spustów. Ostro karać sprawców i przywrócić dyscyplinę w szkołach.

Generalnie: zając się sobą.

JAROSŁAW KUISZ



Robert Sesselmann (w środku) z AfD  
– zwycięzca ostatnich wyborów  
na stanowisko starosty  
w Sonneberg w Turynгии.

# Dziurawy kordon

Ostatnie sukcesy skrajnie prawicowej Alternatywy dla Niemiec nie są już „wypadkiem przy pracy” niemieckiego systemu politycznego.  
To ostrzeżenie przed przerwaniem tamy.

MAREK ORZECHOWSKI Z BERLINA

**S**tephan Kramer już podjął decyzję. W dniu, w którym Alternatywa dla Niemiec (AfD) wejdzie do federalnego rządu, z całą rodziną wyemigruje z Niemiec. A ten dzień być może się zbliża. Rosnące od dłuższego czasu notowania tej skrajnie prawicowej partii (dziś to już blisko 20 proc. poparcia i drugie miejsce w kraju, po CDU) potwierdzają jedynie zdaniem Kramera, że AfD jest parlamentarnym ramieniem spisku zmierzającego do obalenia demokratycznego porządku Niemiec.

Jeśli miałby się spełnić czarny scenariusz z AfD w rządzie federalnym, 55-letni Stephan Kramer z pewnością dotrzyma słowa. Jak mało kto wie, co mówi: jest szefem Urzędu Ochrony Konstytucji w Turynгии, landowego kontrwywiadu,

od lat obserwującego i analizującego płynące ze strony AfD zagrożenia dla demokratycznego porządku Niemiec.

Niedawny sukces tej partii w powiecie Sonneberg w południowej Turynгии, w byłej NRD, gdzie pokonała koalicję wszystkich partii demokratycznych, nie jest bowiem ani tzw. wypadkiem przy pracy, ani tym bardziej efektem typowego lokalnego protestu wyborców. W kampanii wyborczej AfD nie zajmowała się bowiem ani kłopotami ze ścieżkami rowerowymi, remontami wodociągów czy brakiem miejsc w żłobkach.

Na celownik wzięła obecną trójkolorową koalicję rządową w Berlinie (socjaldemokraci, Zieloni, liberałowie) i najbardziej palące problemy niemieckiej polityki – kryzys energetyczny, politykę ochrony klimatu, skutki strategii

antycovidowej, nielegalną migrację i uchodźców, politykę rodzinną i socjalną, konsekwencje wojny w Ukrainie, nie zabrakło też jednego z tradycyjnie wiodących tematów AfD – wyjścia ze strefy euro. I strategia ta odniosła sukces. W dalekim Berlinie zdrząły szyby.

## Wyborcza awaria?

Sonneberg to najmniejszy powiat w Niemczech. Liczy niewiele ponad 55 tys. mieszkańców, samo miasto tylko 23 tys. Mówi się tu niezrozumiałym już kilka kilometrów dalej frankońskim dialektem, prawie wszyscy mają pracę, region uchodzi za zasobny. W polityce federalnej nie odgrywał jednak dotychczas większej roli. Najprościej byłoby więc odwrócić głowę, „wyborczą awarię” zlekceważyć i sukces AfD uznać za mało znaczący. I cóż z tego, że ta partia będzie miała pierwszeństwo w kraju starostę, skoro jego kompetencje w sprawach wielkiej polityki są znikome.

Tyle że – jak uważa Mathias Quent, magdeburcki badacz ekstremistów politycznych – ostatnie zwycięstwo daje AfD silną wyjściową pozycję do bezpośrednich ataków na politykę rządu federalnego. A przy tym potwierdza coraz silniejszą i skuteczniejszą wewnętrzną

radykalizację partii, dodaje jej silnego wiatru w żagle.

Tymczasem właściwie wszystko miało się odbyć w Sonnebergu rutynowo, według już tyle razy praktykowanego wcześniej scenariusza. Sondaże zapowiadały wprawdzie sukces AfD i jej kandydata, 50-letniego Roberta Sesselmanna, ale wokół skrajnej prawicy zbudowano od lewej do prawej strony politycznej sceny tradycyjny *cordone sanitaire*. Matematyka tym razem jednak zawiodła, bo na Sesselmanna oddano prawie 53 proc. głosów.

Sonneberg to wprawdzie nie całe Niemcy, nawet i nie Turynia. A sukces AfD nie oznacza, że już jutro do władzy w Niemczech dojdą jakieś ciemne siły. Ale w tym małym powiecie, znanym dotychczas głównie z produkcji zabawek i lalek, złamane zostało po raz pierwszy polityczne tabu: demokratyczna, solidarna blokada nie powstrzymała w lokalnych wyborach skrajnej prawicy, z całą jej populistyczną, antydemokratyczną agitacją i nacjonalistyczną ideologią.

Szok jest więc duży. O wiele większy niż w 2014 r., gdy AfD zdobyła siedem miejsc w wyborach do Parlamentu Europejskiego. I kiedy trzy lata później pierwszy raz weszła do Bundestagu, uzyskując 13 proc. głosów i aż 94 mandatów. Teraz więc, po tym „mało znaczącym” prowincjonalnym sukcesie – jak próbują Sonneberg tłumaczyć niektórzy eksperci – może być tylko gorzej.

„Jeśli w najbliższym czasie nie dojdzie do dramatycznej zmiany nastrojów, jeśli coś się nie wydarzy, przyszłoroczne wybory komunalne i do landtagów w Turynii, Saksonii i Brandenburgii staną się jednym wielkim triumfem AfD” – alarmuje drezdeński politolog Hans Vorlaender. I dodaje, że „coraz trudniej będzie politycznie argumentować przeciw AfD i coraz trudniej pokonywać ją w wyborach”.

Dlaczego? Zmienił się bowiem zasadniczo profil wyborcy AfD. I zaniknęły różnice między jej sympatykami w Niemczech wschodnich i zachodnich. Dla jednych i drugich jest tą samą Alternatywą.

### **Stracona szansa**

Wprawdzie lewicowy premier Turynii Bodo Ramelow od lat alarmuje, że doświadczenia życiowe Niemców wschodnich były i są ignorowane, a oni sami – od lat – pomijani. I to ma coraz większy wpływ na ich polityczne wybory. Ale kolejnych sukcesów AfD nie da

się już wytłumaczyć wyłącznie odmiennością i politycznym zagubieniem *ossi*, sierot po NRD.

Według licznych badań wcale nie pochodzenie wyborców AfD jest dziś decydujące dla ich wyborczej motywacji. Jest nim atrakcyjność politycznej alternatywy oferowanej przez AfD – w kontraście do leniwego establishmentu, który kiedy nie czuje zagrożenia, lekceważy obawy, nastroje, pytania i potrzeby wyborczego ludu. I nie zadaje sobie trudu, aby na nie reagować. Badacze wskazują na czytelny trend zaniku zasadniczych różnic między wyborcami z Kolonii i Lipska, między Niemcami zachodnimi a wschodnimi – stąd m.in. tak wysokie poparcie dla AfD w skali całych Niemiec.

Berliński analityk Hermann Binkert, badając przyczyny sukcesów AfD, przypomina kluczowy moment z niedawnej historii Niemiec, czyli reakcję chadeków z CDU na migracyjną politykę ich własnej kanclerz Angeli Merkel, która w latach 2015–16 otworzyła szeroko drzwi dla 2 mln muźłańskich uchodźców. CDU, która w kwestii migracyjnej zawsze raczej naciskała na hamulce, wobec polityki Merkel nie wykazała żadnego oporu, uległa jej i utraciła kontakt z „bazą”.

Binkert nazywa tę postawę „straconą szansą”. AfD leżała wówczas na ziemi, traciła na zainteresowaniu i poparciu. Gdyby wówczas CDU sprzeciwiła się Merkel, AfD nie podniosłaby się z upadku.

Dzisiaj wyborcy AfD są już inni. Nie ograniczają się do jednego obszaru polityki. Kogo więc obawia się Stephan Kramer? Według socjologów obraz starszych ludzi, wschodnich nostalgików, przesiąkniętych prawicową ideologią, kochających porządek i dyscyplinę, nie jest do końca prawdziwy. Dzisiejsi wyborcy AfD, głównie mężczyźni w średnim wieku, są dobrze sytuowani i wykształceni – jednym słowem: to klasa średnia. A wśród nich jest coraz więcej związkowców, wielkoprzemysłowych robotników, co stanowi sygnał alarmowy również dla socjaldemokratów z SPD.

Podobnie jest z ich politycznymi motywacjami: to nie są już Niemcy niezadowoleni z szybkich postępów modernizacji, odczuwający wykluczenie, odrzucenie, nienadążający za technologią, przesiąknięci zabobonną obawą o przyszłość. Sympatycy AfD wiedzą dokładnie, dlaczego i przeciw czemu protestują.

Według badań niemieckiej telewizji ARD ich pierwszym motywem jest

niezgoda z polityką migracyjną – sprzeciw wobec niej wyraża 65 proc. zwolenników AfD, 47 proc. jej wyborców odrzuca politykę klimatyczną, środowiskową, energetyczną, 43 proc. – krytykuje politykę gospodarczą i jej skutki. Poza tym, tak na wschodzie, jak i zachodzie, żyje znacznie więcej sympatyków prawicy i ludzi niezadowolonych z tego, co się dzieje w ich kraju, niż ujawnionych wyborców AfD. Aż 75 proc. Niemców jest przekonanych, że AfD zdobywa poparcie dlatego, że pojawiła się wreszcie partia, która jest w stanie wystawić rządzącym solidny rachunek.

I niekoniecznie od razu tym w Berlinie. Dla AfD ważna jest baza, jak ta w miejscowości Raguhn w Saksonii-Anhalcie. Partia zrobiła tam właśnie kolejny milowy krok: 42-letni rolnik Hannes Loth został pierwszym burmistrzem AfD w Niemczech, zdobywając 51 proc. głosów. W przeciwieństwie do Roberta Sesselmanna, który został starostą, punktując politykę rządu w Berlinie, Loth zajął się sprawami najbliższymi wyborcom. I również wygrał.

### **Naziści w garniturach**

AFD powstała 10 lat temu jako partia sceptyczna wobec Unii Europejskiej, a w szczególności wobec euro. Od tego czasu przeżyła wiele podziałów i zawirowań. W partii istnieją różne odłamy antyeuropejskie i narodowe. Jako jedyne w Niemczech ugrupowanie AfD oficjalnie wątpi w zmiany klimatyczne wywołane przez człowieka. Jej poparcie dla Izraela oceniane jest jako mydlenie oczu, mimo że w 2018 r. powstała w jej szeregach Żydowska Grupa.

Partia od lat jest obserwowana przez różne landowe kontrwywiady, a od 2022 r. także przez Federalny Urząd Ochrony Konstytucji. Jednym z tych, którzy o AfD wiedzą wszystko, jest właśnie Stephan Kramer, Niemiec z urodzenia, Żyd z wyboru, przeszedł bowiem w dojrzałym wieku na judaizm. Od grudnia 2015 r. szef wspomnianego landowego Urzędu Ochrony Konstytucji Turynii i od tego czasu aktywnie polemizuje z prominentami AfD, nierzadko broniąc swoich racji w sądach. O niejednym z działaczy AfD mówi, że są „naziści w garniturach”.

„Ojcowie naszej konstytucji wyrażnie zakreślili czerwoną linię – mówił niedawno w wywiadzie dla izraelskiego radia Kan. – Demokracja nie może tolerować wrogów demokracji”. Według niego AfD czerwoną linię już przekroczyła. ■

# Romeo i Natura

Szekspir zatroskany o los zagrożonej przez machinę kapitalizmu przyrody? Platon snujący utopie wegańskie? Badacze odczytują dawną literaturę na nowo, szukając w niej załączków myśli ekologicznej.

# W

AGNIESZKA KRZEMIŃSKA

wszystko jest nawzajem powiązane, a węzeł to święty. A zgoła nie ma, co by nawzajem było sobie obce. Ułożone to bowiem zostało we wspólny ład i współtworzy porządek w porządku tego samego świata. Jeden bowiem jest świat, a składa się

nań wszystko, i bóg jeden we wszystkim, i jedna istota, i jedno prawo, jeden rozum wspólny wszystkich stworzeń rozumnych i prawda jedna. I jeden wreszcie ideał doskonałości stworzeń o wspólnym pochodzeniu i wspólnym rozumie”. Tak w drugiej połowie II w. Marek Aureliusz widział świat i człowieka – jako system splątany na wszelkich możliwych poziomach. Nic dziwnego, że passus cesarza-filozofa z jego „Rozmyślań” (tu w tłumaczeniu Mariana Reitera) został wykorzystany jako motto badaczy świadomości ekologicznej naszych przodków.

Ten zwrot, polegający na odkrywaniu zależności między człowiekiem a otaczającą go naturą, należy do popularnych dziś w humanistyce nurtów badawczych. W literaturoznawstwie oznacza analizę relacji pomiędzy przedstawianymi w niej istotami ludzkimi a ich środowiskiem naturalnym – i samych sposobów ich przedstawienia.

Ekokrytyka pojawiła się w latach 60. XX w. i pierwotnie skupiała na badaniu momentu w dziejach literatury, gdy natura stała się podmiotem, a nie tylko tłem. Pierwsi badacze wzięli się zatem do tekstów, w których przyroda grała pierwsze skrzypce – czyli do poezji epoki romantyzmu. Później zainteresowali się literaturą współczesną, a stosunkowo niedawno zaczęli cofać się w czasie.

Todd Borlik, literaturoznawca z University of Huddersfield, we właśnie wydanej przez Oxford książce „Shakespeare Beyond the Green World. Drama and Ecopolitics in Jacobean Britain” („Szekspir poza zielonym światem. Dramat i ekopolityka w jacobinińskiej Brytanii”) sugeruje, że ten wielki angielski dramaturg i jemu współcześni wygłaszali śmiało tezy o naturze już u świtu nowożytności. Krytykowali związane z wczesnym kapitalizmem nadmierne wydobywanie surowców, wyrąb lasów pod przemysł, przełowienie rzek, gromadzenie gruntów rolnych i wynikające z tego wszystkiego zanieczyszczenie środowiska.

## Suche sutki karmicielki

Według Borlika proekologiczne wątki pojawiają się w literaturze renesansowej w różnej formie. W poemacie pasterskim „Shepherd’s Calendar” z 1579 r. Edmund Spenser wychwala życie w zgodzie z naturą. W monumentalnym poemacie topograficznym „Poly-Olbion” Michaela Draytona z 1612 r. wyspa jest jednym wielkim

organizmem, w obrębie którego poeta ukazuje spersonifikowane miejsca – rzeki, drzewa, jaskinie.

– *To musiał być popularny zabieg literacki* – zauważa prof. Małgorzata Grzegorzewska, anglistka i szekspirolożka z Artes Liberales na Uniwersytecie Warszawskim. – *Gdy poeta Georg Herbert (1593–1633) napisał w 1619 r. list do sekretarza króla Jakuba I w podzięce za powstrzymanie osuszania mokradel wokół przepływającej przez Cambridge rzeki Cam, porównał ją do matki karmicielki. Zauważał, że „nikt nie może bez niepokoju i przygnębienia patrzeć, jak wysychają sutki i wędzną piersi tego szlachetnego rodzica”.* Takie silnie antropocentryczne uosabianie, nawiązujące do pogańskich religii pełnych nadprzyrodzonych



ILUSTRACJA MIROŚLAW GRYŃ

opiekunów rzek czy drzew, miało działać na wyobraźnię i wzbudzać szacunek dla przyrody.

Krytyka nadużyć wobec natury pojawia się w późnych sztukach Williama Szekspira – twierdzi Borlik. Sugeruje, że na spojrzenie ekologiczne (termin oczywiście w ówczesnej epoce nieznanym) mogła mieć u dramaturga wpływ koronacja wspomnianego Jakuba I w 1603 r. Podczas tej uroczystości hold monarsze składały personifikacje różnych miejsc w Anglii. Na przykład Tamizę uosabiał ubrany na niebiesko aktor siedzący na wielkiej misie z rybami.

– *Podoba mi się, jak Borlik zwraca uwagę na estetykę sztuk Shakespeare'a i zauważa, że podczas gdy początkowo jego twórczość pełna była opisów soczystej zieleni brytyjskich lasów, łąk i pól, później uwaga poety wykracza poza Wyspę, sięgając po najdalsze krańce świata, aż do nowo poznanych kontynentów. Zieleni późniejszych sztuk jest opalizująca; migocą one wszystkimi kolorami tęczy. Niezwykle plastyczne opisy natury, w tym szczegółowe katalogi nazw*

**Pelasgowie (...) piękny tam święty gaj założyli,  
z drzew gęstwiną tak wielką,  
że z trudem się strzała przebiję.  
Rosły tam sosny i wiązy ogromne,  
były też grusze,  
były o słodkich owocach jabłonie  
a woda jak bursztyn biegła kanałem.  
Bogini szalenie kochała to miejsce.**

„Hymn do Demeter” Kallimacha (fragment)  
przekład Janina Ławińska-Tyszkowska  
i Agnieszka Kotlińska-Toma

zwierząt, ptaków czy kwiatów, miały pomóc widzowi zobaczyć złożoność i piękno krajobrazu „oczyma umysłu” – zwraca uwagę anglistka.

Borlik podkreśla, że dramaturga poruszało wszechobecne cierpienie zwierząt „prawdziwych puszczy obywateli” – jak mówi bohater komedii „Jak wam się podoba”. Nie zgadza się na to, że dzikie zwierzęta służą pustej rozrywce zarówno podczas polowań, gdy bogacze zabijają je dla sportu, jak i podczas seansów dla gawiedzi, gdy przywiązanego do pala niedźwiedzia szczuto psami. Często cierpienie osaczonej zwierzyny służy dramaturgowi do wzbudzenia empatii wobec ludzi. Na przykład w „Tytusie Andronikusie” niegodziwi synowie Tamory biorą za cel Lawinię – łanię, i jej męża Bassianusa – lamparta.

Imię Hermiony z „Opowieści zimowej” odnosi się do grostostaja (ang. *ermine*), a sama ta bohaterka, podobnie jak ten mały ssak zabijany dla pięknego futra, pada ofiarą zazdrości i chciwości. Całość można zresztą przeczytać jako bajkę zwierzęcą – mężem Hermiony jest król lew Leontes.

– *Szekspir i Herbert byli mieszczanami, a to była najbardziej „ekologiczna” warstwa społeczna. Chociażby dlatego, że zaczynała się dusić w zadymionych i brudnych miastach – przekonuje prof. Grzegorzewska. – Jednak stosunek dramaturga do przyrody był nadal bardzo średniowieczny: stanowiła ona dla niego klucz do zrozumienia Boga i człowieka. Co więcej, interesowała go odwzorowanie natury w języku, jakby był Adamem, który nadaje imię każdemu gatunkowi – co jest podejściem antropocentrycznym i logocentrycznym, przez co bardzo dalekim od ducha współczesnego ekologizmu.*

### Senat w roli żołądka

Przełom XVI i XVII w. to w Anglii początki kapitalizmu, szalejący kolonializm, rozwój nauki, co miało przemożny wpływ na środowisko. Jednocześnie w Europie był to środek „małej epoki lodowcowej”. Mocno odczuwano powodujące nieurodzaj zmiany klimatyczne, co bezpośrednio przekładało się na perturbacje polityczne, które także odnotowano w sztuce. – *Przykładem jest „Koriolan”, w którym niebagatelną rolę odgrywa motyw wywołanych głodem zamieszek. Znajdziemy w tej tragedii bardzo ciekawe porównanie państwa do żywego organizmu, w którym senat pełni rolę żołądka rozprowadzającego pokarm po wszystkich członkach. Fascynujące jest to, że tekst ten można czytać jako gloryfikację autorytaryzmu albo odnaleźć w nim rys demokratyzujący – podkreśla prof. Grzegorzewska.*

Uprawiana przez Szekspira i innych intelektualistów na przełomie XVI i XVII w. krytyka nadużywania natury nie wpłynęła jednak na zmianę stosunku do przyrody większości Brytyjczyków na tyle, by przestali ją eksploatować – dla zysku lub przyjemności. Dowodów dostarczają badania przedstawicieli nauk ścisłych i biologicznych potwierdzające niszczący wpływ człowieka na środowisko we wczesnej nowożytności.

Zapis paleobotaniczny z terenów Anglii sugeruje, że w wyniku samej tylko działalności metalurgicznej już w połowie I tysiąclecia na Wyspie znikło ok. 50 proc. pierwotnego lasu. Zalesione tereny w zasadzie ►



► przestały istnieć, gdy w czasach Tudorów wydobycie i produkcja żelaza wzrosły na skutek innowacji przemysłowych (np. wprowadzenie wielkich pieców) oraz presji, jaką była wojna z Hiszpanią.

### Porady o życiu z naturą

Podczas gdy Borlik szuka wątków świadomości ekologicznej we wczesnej nowożytności w Anglii, MD Uscher, emerytowany filolog klasyczny z University of Vermont, dostrzega je już w tekstach antycznych myślicieli. Na motto swej wydanej w 2020 r. książki „Plato’s Pigs and Other Ruminations: Ancient Guides to Living with Nature” („Świnie Platona i inne przemyślenia: Antyczne porady o życiu z naturą”) wybrał wspomniane we wstępie tego tekstu słowa Marka Aureliusza o splataniu wszechświata.

Stanowią one zgrabne podsumowanie wniosków, do jakich doszli żyjący wcześniej greccy myśliciele – filozofowie przyrody. Jak chociażby Anaksymander z jego koncepcją porządku wyłaniającego się z chaosu bez interwencji ze strony bóstw czy Heraklit z pomysłem wszechświata, w którym wszystko płynie.

Usher przypomina, że w literaturze antycznej wrażliwość na piękno natury najlepiej widoczna jest w poezji pasterskiej. Grecy i Rzymianie darzyli prawdziwym szacunkiem i podziwem zarówno groźne zwierzęta, jak i te znacznie mniej imponujące, jak pszczoła, świerszcz, kuropatwa czy wróbel. O uczuciach świadczą przepełnione bólem i tęsknotą po stracie inskrypcje na nagrobkach psów nazwanych Muchą czy Perełką. Jednak najbardziej oryginalna u Ushera jest próba pokazania, że antyczni byli orędownikami zrównoważonego życia. Odwołuje się do stoików i ich nawoływania do funkcjonowania zgodnego z naturą. A także do mitu o Erysichtonie. Ten arogancki książę tesalski, chcąc wzniesić dom biesiadny, ściął drzewa

w świętym gaju Demeter, za co bogini ukarała go niemożnością zaspokojenia głodu i pragnienia. Według Ushera porbrzmiewa tu przekonanie, że człowiek zaciąga dług wobec natury za każdym razem, gdy zabija żywą istotę. Musi więc szanować i dobrze traktować każde stworzenie, bo tylko wtedy nie obrazi bogów.

Najlepszą fikcyjną ilustracją takiej postawy jest „Państwo” Platona, będące fantastyczną wizją ekorozważonej społeczności wegetariańskiej. Co prawda uczestnik dialogu – Glaukon – wyśmiewa ją jako utopijne „miasto świni”, ale Sokrates chwali, mówiąc, że „jest jakby ktoś zdrowy”. Realnymi zaś przykładami wcielania w życie pewnych form zrównoważonego rolnictwa był podział ziemi według reformy Klejstenesa z końca VI w. p.n.e. czy ekologiczne posiadłości ziemskie z czasów republiki w Rzymie. A w końcu wczesnochrześcijański

**Tam właśnie jeleni samotny, przez strzelca  
Ciężko raniony przywłókł biedne ciało  
I śmierci czekał; a prawdziwie, książę,  
Z bólu tak ciężkie wydawał westchnienia,  
Że wzdęta skóra na jego się bokach  
Pękać zdawała; tzy wielkie, okrągłe,  
Kropla za kroplą, po niewinnym pysku  
Smutnie ściekały; kosmate głupiątko.**

„Jak wam się podoba” Szekspir (akt II, scena I)

przekład Leon Ulrich

monastycyzm reguły św. Benedykta, którego sensem była wspólna praca mnichów na roli.

Według Ushera sięgnięcie po dawne wzorce może być remedium na dzisiejsze kryzysy. Jest to jednak stwierdzenie dość naiwne. W starożytności namysł nad przyrodą był bowiem głównie teoretyczny i rzadko wychodził poza aspekt religijno-mityczny. A poszukiwania miejsca człowieka w przyrodzie i pojedyncze próby życia w zgodzie z nią nie zmieniają faktu, że antyczni bez pardonu ją eksploatowali. Wydobywali metale i rudy, zatruli środowisko, wycinali lasy, zabijali i wykorzystywali zwierzęta i ludzi. Poza tym ówczesny kontekst był tak odmienny, że nie może dziś służyć jako punkt odniesienia.

### Ziemia czyniona poddana

– *Prawda jest taka, że o wiele większe zrozumienie dla natury mieli pierwotni mieszkańcy Nowego Świata, których biali koloniści wywłaszczali z ich ziem z biblijnym hasłem na ustach „czynienia sobie ziemi poddanej”* – mówi prof. Adam Izdebski, historyk i badacz powiązań człowieka ze środowiskiem z Instytutu Maxa Plancka w Jenie. – *Argument ten służył im jako podstawa prawno-moralna do „cywilizowania” i zabierania tubylcom ziemi, która rzekomo leżała odłogiem. Dopiero teraz badania bioarcheologów dowodzą, że wiele ludów, np. Indianie kanadyjscy w Kolumbii Brytyjskiej, uprawiając swoje poletki, też modyfikowali ekosystem, ale go nie niszczyli, dzięki czemu ich rolnictwo można nazwać zrównoważonym.*

David Graeber i David Wengrow w rewolucyjnej książce „Narodziny wszystkiego. Nowa historia ludzkości” zwracają uwagę, że biali koloniści, zupełnie głusi na potrzeby przyrody, nie korzystali z doświadczeń wrażliwych na naturę ludów tubylczych, tylko wprowadzali rolnictwo znacznie bardziej ekspansywne. – *Refleksja nad wpływem białego człowieka na przyrodę pieruszy raz pojawiła się w epoce kolonialnej, bo w przeciągu kilku pokoleń doszło do zniszczenia przez niego wielu rajszych wysp* – podsumowuje prof. Izdebski.

W tym kontekście teza Todda Borlika o załęczkach świadomości ekologicznej w epoce Szekspira mogłaby się bronić. W końcu dramaturg tworzył w epoce rozbuchanego kolonializmu brytyjskiego nastawionego właśnie na rolnictwo. Dziś mieszkańcy Wysp, na których nie ostał się żaden dziki las, potrzebę kontaktu z przyrodą lokują głównie w przydomowych ogrodach. Te jednak, choć udają naturę, są pod ścisłą kontrolą człowieka.

AGNIESZKA KRZEMIŃSKA

**Prawda to, moi współwcieleni bracia,  
Że ja karm wspólną nam  
pierwszy odbieram.  
I słusznie, bom ja spichrz, bom ja magazyn  
Całego ciała. Pomnijcie atoli,  
Że ja strumieniami krwi waszej posyłam  
Do dworu, w serce; do stolicy, mózgu;  
I że rozliczną drogą różnych funkcji  
Najtęższe nerwy i najmniejsze żyłki  
Biorą ode mnie swój dział pożywienia.  
(...) Skoro zaś wszyscy razem nie możecie  
Widzieć naocznie, czego wam dostarczam,  
Mogę wam moje rachunki pokazać,  
Z których poznacie, że wszyscy ode mnie  
Otrzymujecie sam ekstrakt wszystkiego,  
Mnie zaś zostają grzyby.**

„Koriolan” (akt I, scena I)

przekład Józef Paszkowski

Artykułowi towarzyszy podcast z prof. Małgorzatą Grzegorzewską. Znajdziecie go na kanałach **pulsar nadaje** (Spotify, iTunes, Google, YouTube) i pod adresem [projektpulsar.pl/podcast/](http://projektpulsar.pl/podcast/)

# Prawo do ciemności

Sztuczne oświetlenie zaburza życie roślin i zwierząt. U ludzi może powodować kłopoty ze snem, rozwój nowotworów i depresji – mówi dr Karolina Zielińska-Dąbkowska, architektka i badaczka spraw związanych ze światłem.



ILUSTRACJA MIROSLAW GRYN

WOJCIECH MIKOŁUSZKO: – **Problemy zdrowotne, które może spowodować sztuczne światło, opisuje pani w niedawnym „Science”. Trudno było przypuszczać, że jest ich tak dużo.**

KAROLINA ZIELIŃSKA-DĄBKOWSKA: – To naprawdę całkiem nowa wiedza. Dopiero

w 2002 r. odkryto tzw. trzeci fotoreceptor w oku, a przebadanie jego znaczenia zajęło wiele kolejnych lat.

**Dawniej uczono, że są tylko czopki, które odpowiadają za postrzeganie barw w świetle dziennym, oraz pręciki – do postrzegania kształtów nocą.**

Mnie również tak uczono, proszę się nie niepokoić. Trzeci typ komórek światłoczułych w oku to komórki zwojowe siatkówki – *intrinsically photosensitive retinal ganglion cells* (IpRGCs). Informacje od nich trafiają do części mózgu w podwzgórzu, które odpowiada za regulację rytmu ▶

► dobowego. IpRGCs są bardziej niż czopki i pręciki czułe na białe światło z dużą zawartością niebieskiej fali.

#### Jakie to ma znaczenie?

Pamięta pan stare szklane żarówki z drucikiem wolframowym, które dość szybko po włączeniu robiły się gorące?

#### Oczywiście.

Ich spektrum barwne było ciepłe, ciągle, niemal identyczne jak przy zachodzącym słońcu, z niewielką ilością fali niebieskiej. Tyle że w światło przekształcały zaledwie 10 proc. pobranej energii, a pozostałe 90 proc. – w ciepło. Z czasem wyparły je więc diody LED. Są energooszczędne i zmieniły cały przemysł. Dają jednak światło białe z dużą zawartością fali niebieskiej. Niebieskie LED-y pokrywa się co prawda warstwą luminoforu np. fosforu, który w zależności od grubości powoduje, że postrzegamy światło, które produkują jako bardziej zimne lub ciepłe. Ale receptory ipRGCs w naszym oku nadal odbierają zawarte w świetle fale odpowiadające barwie niebieskiej.

A teraz przyjrzyjmy się słońcu. Gdy wschodzi, w jego świetle dużo jest barwy czerwonej, później wzrasta ilość niebieskiej (najwięcej koło południa). Ona pobudza trzeci fotoreceptor i przez nerw optyczny ta informacja trafia do naszego mózgu i rozpoczyna się wtedy wiele procesów fizjologicznych, wydzielany jest np. kortyzol. Organizm się budzi. Wieczorem słońce znów jest bardziej czerwone i mało jest niebieskiej fali świetlnej – to znak dla organizmu, że potrzebna jest melatonina, żeby przygotować się do snu.

Gdybyśmy żyli zgodnie z cyklem dnia i nocy, tak jak robili to ludzie przed wynalezieniem elektryczności, to nasz zegar biologiczny i organizm funkcjonowałyby poprawnie. Niestety, funkcjonujemy niemal całą dobę. Bo w nocy, kiedy powinniśmy się regenerować podczas snu w kompletnej ciemności, nasz organizm otrzymuje od światła sztucznego LED informacje, że jest dzień, że trzeba być aktywnym.

#### Jaki to może mieć wpływ na rozwój nowotworów czy otyłości?

Podczas głębokiej fazy snu w ciemności i wysokiego poziomu melatoniny we krwi nasz organizm aktywuje komórki antyrakowe oraz zwalcza wirusy i bakterie. Jeśli tego zabraknie, układ odpornościowy radzi sobie słabiej. U osób takich jak pielęgniarki i pielęgniarze, stewardesy i stewardzi czy w przypadku innych osób pracujących nocami, przy sztucznym świetle, częściej rozwijają się nowotwory.

Nawet leczenie onkologiczne lepiej przebiega w ciemności, ponieważ według amerykańskich badaczy wysoki poziom melatoniny w nocy usypia komórki raka piersi, wyłączając kluczowe mechanizmy wzrostu. To odkrycie opisano w 2014 r. w czasopiśmie „Cancer Research”. A nowe publikacje, z 2021 i 2022 r., dowiodły, że ci, co mało spali w nocy i byli wystawieni na działanie światła sztucznego, stawiali się bardziej podatni na zachorowanie na Covid-19. Nawet chudnie się lepiej w czasie snu.

#### Z wykształcenia jest pani architektką. Skąd to zainteresowanie wpływem sztucznego oświetlenia na zdrowie?

Zacząłam od praktyki. Pracowałam w biurach projektowych zajmujących się iluminacją architektury m.in. przy takich realizacjach jak główna siedziba NATO w Brukseli, najwyższy budynek na świecie – Burdż Chalifa w Dubaju, instalacja świetlna Tribute in Light Memorial

światła gwiazd, planet czy księżyca. Kiedy są chmury, kierują się głównie magnetycznym kompasem w mózgu. Jeśli jednak na ich drodze pojawi się słup światła o temperaturze podobnej do światła księżycowego czy planet, zmierzają ku niemu. A później krążą w tym świetle, nie mogąc się z niego wydostać jak z jakiegoś wiru, i w końcu padają z wycieńczenia.

Rozmawiałam potem z biologami, którzy zwracali uwagę na zanieczyszczenie światłem sztucznym. Dla nich to było oczywiste, ale ta informacja nie trafiała do architektów czy projektantów iluminacji zewnętrznych. Mówiliśmy innymi językami. Praktyk dla naukowców się wtedy nie liczył. Dlatego w 2013 r. obroniłam doktorat – po to właśnie, żeby nawiązać dialog z badaczami z różnych dziedzin, ale również dostać się do międzynarodowych komisji oświetleniowych i zacząć zmieniać przepisy, które są tworzone przez przemysł oświetleniowy.

#### Udało się porozumieć?

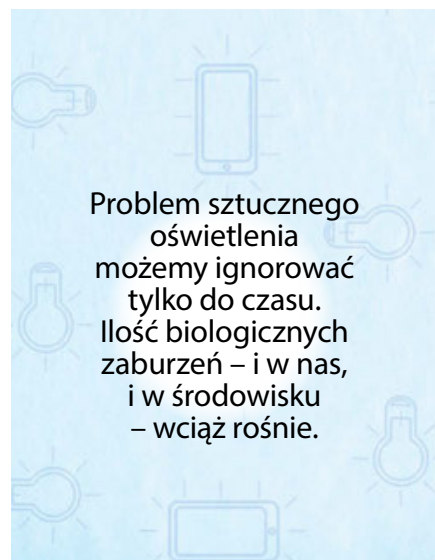
To było niełatwe zadanie. W 2013 r. zostałam zaproszona jako prelegentka na Międzynarodową Konferencję ALAN (Artificial Light At Night – Sztuczne Światło Nocą) w Berlinie. Przedstawiłam tam projekt biura, za który byłam odpowiedzialna: generalny plan świetlny dla luksusowej maryny Porto Montenegro w Zatoce Kotorskiej w Czarnogórze. Byłam z niego bardzo dumna, ponieważ moje podejście było unikatowe jak na tamte czasy. I prawie mnie ukrzyżowano!

#### Dlaczego?

Zarzucono mi, że nie zaprojektowaliśmy wyłączania oświetlenia zewnętrznego na noc w całym kompleksie. A my obmyśliłiśmy coś mniej radykalnego – zmianę natężenia światła, w tym jego stopniowe wygaszanie. Biolodzy i astronomowie widzą niestety sprawę tylko zero-jedynkowo. A istnieje wiele potrzeb i trzeba znaleźć równowagę na podstawie dostępnej wiedzy.

#### Nie zraziła się pani?

Wręcz przeciwnie. To mnie zaintrygowało. Teraz reprezentuję dwa światy – praktyków i naukowców. Potrafię przetłumaczyć to, co odkrywają badacze, na język zrozumiały dla architektów światła i projektantów iluminacji miejskich. Widzę problemy, których nie dostrzegają naukowcy. A ci ostatni zaczęli rozumieć, że muszą popularyzować wyniki swoich badań oraz rozmawiać z projektantami i z producentami sztucznego oświetlenia. Tłumaczyć im, jakie spektrum, jakie natężenie światła, o jakich porach jest bezpieczne dla zwierząt i roślin, a jakie i kiedy dla ludzi.



w Nowym Jorku, czy nowe planetarium astronomiczne w Royal Observatory Greenwich.

Gdy w 2001 r. zniszczone zostały dwie wieże World Trade Center w Nowym Jorku, powstał pomysł monumentu świetlnego ku pamięci ofiar. Prace nad nim prowadziło amerykańskie biuro, w którym byłam wtedy zatrudniona. Stworzyliśmy dwa ogromne słupy świetlne, składające się z wielu mniejszych. Po ich włączeniu natychmiast zobaczyłam, że coś „wpada” w słupy światła, krąży, a po pewnym czasie spada na rozgrzane reflektory. To były owady i ptaki.

#### Ptaki?!

W bezchmurne noce migrujące ptaki korzystają z wizualnych wskazówek:



Dr inż. arch. **Karolina Zielińska-Dąbkowska** jest adiunktem na Wydziale Architektury Politechniki Gdańskiej. Naukowo zajmuje się m.in. problematyką interdyscyplinarnych uwarunkowań współczesnych projektów iluminacji,

w tym ograniczeń wynikających z ekologii, ochrony środowiska, zrównoważonego rozwoju, zdrowia i nowych możliwości technologicznych. Jej artykuły poświęcone tym zagadnieniom publikowane były m.in. w „Nature” i „Science”. Jest członkiem licznych organizacji skupiających architektów i projektantów oświetleniowych na całym świecie. Stworzyła ruch ROLAN (Responsible Outdoor Lighting at Night, Odpowiedzialne oświetlenie zewnętrzne w nocy).

### A to nie to samo?

Ludzie i zwierzęta źle znoszą nocą światło białe z zawartością niebieskiej fali, więc zaczęto postulować stosowanie światła zewnętrznego o cieplej temperaturze barwowej. Tyle że rośliny są wrażliwe na światło czerwone, pomarańczowe i żółte o ciągłym spektrum. Dla nich ono oznacza, że nadeszła wiosna, czas rozwoju. Przy latarniach o ciepłym świetle LED mamy późną jesienią i zimą kwitnące kwiaty oraz drzewa wypuszczające nowe liście. Bardzo je to osłabia. A gdy włączy się światło bursztynowe, to na przykład świetliki nie widzą siebie nawzajem i przestają się rozmnażać, bo zaburzamy ich okres godowy. I tak źle, i tak niedobrze.

### To co robić?

Najlepiej oczywiście wyłączać światła na noc.

### To w dzisiejszych czasach niemożliwe.

Tak, wiem, że nie da się zmienić cywilizacji. Mamy jednak nowe technologie, które mogą nam w tym pomóc.

### Na przykład?

W czasie pandemii w wielu miejscach na świecie zaczęto wyłączać oświetlenie uliczne między godz. 1 a 5 w nocy, ponieważ nikt z niego nie korzystał. To się sprawdziło na tyle, że do dziś robi się tak w niektórych krajach, np. w Niemczech i Szwajcarii. Co ciekawe, istnieją już badania naukowe potwierdzające, że nie prowadzi to do wzrostu kolidacji czy kradzieży, a może zaoszczędzić zużycie energii elektrycznej.

Rozwinęła się też technologia czujników ruchu. Światło w lampach ulicznych może być tak zaprogramowane, że jeśli nikt nie jedzie ulicą ani nie idzie chodnikiem, jego natężenie automatycznie jest zredukowane do np. 20 proc. Istnieją już

też uliczne oprawy oświetleniowe, które mają dwie różne temperatury barwowe. Wieczorem i rano światło jest jaśniejsze i zimniejsze. W środku nocy zaś, kiedy prawie nikt nie pojawia się na ulicy, światło jest słabsze i cieplejsze.

Taka technologia kosztuje, musimy mieć jednak świadomość, że problem sztucznego oświetlenia możemy ignorować tylko do czasu. Ilość biologicznych zaburzeń – i w nas, i w środowisku – wciąż rośnie.

### Widzi pani jednak pozytywne zmiany.

Tak. Coraz częściej rekomenduje się na świecie stosowanie światła sztucznego o temperaturze barwowej poniżej 3000 kelwinów. Kiedy dziesięć lat temu mówiłam kolegom o iluminacji, że trzeba robić badania instalowanych przez nich opraw, odpowiadali: „Co ty opowiadasz! Nasz zawód przestanie istnieć przez ciebie!”. A teraz każde szanujące się biuro projektowe na świecie posiada spektrometr. Praktycy robią badania, a przy trudnych projektach zatrudniają ekspertów. Ostatnio kontaktowali się ze mną koledzy projektujący rezydencję na Florydzie, gdzie żyją żółwie. Znaleźliśmy lokalnego specjalistę, który pomógł tak dobrać oświetlenie, żeby nie zaszkodzić zwierzętom.

To jest tak jak z paleniem papierosów. Kiedyś w restauracji palił, kto chciał. Potem oddziało się palących od niepalących szybą czy parawanem – a dym i tak krążył po całym pomieszczeniu. Teraz wszyscy wiedzą, że to szkodliwe, i pojawił się całkowity zakaz palenia papierosów we wnętrzach.

### Co każdy może zmienić z swoim życiem, żeby chronić się przed szkodliwym wpływem sztucznego oświetlenia?

Rano do godziny 10. wskazany jest kilkunastominutowy spacer np. do pracy w pełnym świetle dziennym, bez okularów, czapki. Około dwóch do trzech godzin przed snem nie powinno się oglądać żadnych ekranów LED – czy to w laptopie, czy w telefonie, czy telewizorze. W sypialni zrezygnujmy z jarzących się zegarków i lampek włączanych na noc. Jeśli przez okno wpada światło latarni ulicznej, to najlepiej je zasłonić lub chociaż założyć opaskę na oczy. Bo niebieskie światło przenika przecież nawet przez zamknięte powieki.

Nie chodzi o to, by żyć przy świeczce i chodzić spać z kurami. Nie możemy jednak działać wbrew naturze. Ona naprawdę jest mądra. A my o wielu rzeczach jeszcze się uczymy i je odkrywamy.

ROZMAWIAŁ WOJCIECH MIKOŁUSZKO

## PODKASTY POPULARNONAUKOWE

JUŻ PONAD 60 ROZMÓW

PROJEKTPULSAR.PL/PODKAST



Czy Europa się zmieni, czy upadnie? Czy istnieją uniwersalne prawa migracji? Rozmowa z prof. **Fabianem Welcem**, dyrektorem Instytutu Archeologii UKSW, badającym wpływ klimatu na dawne cywilizacje.

Akcent w dyskusjach na temat AI powinien zostać przeniesiony na styk człowiek–maszyna. A może nawet bardziej na naturę samego człowieka. Rozmowa z **Katarzyną Szymielewicz**, prawniczką, prezeską Fundacji Panoptykon, oraz prof. **Piotrem Sankowskim**, fizykiem i informatykiem z UW.

pulsar  
NADAJE



● Impreza zorganizowana przez Polską Partię Przyjaciół Piwa w Warszawie, 15 marca 1993 r. ● Poniżej: Krzysztof Ibisz, kandydat do Sejmu.

# Piwo nie na żarty

Złocisty trunek, dowcipy i gospodarka – tego pakietu jako recepty na sukces wyborczy nie wymyślił Sławomir Mentzen. Nim dorósł do przedszkola, zastosowała go grupa telewizyjnych skautów.

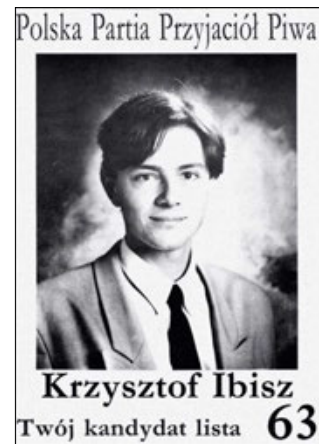
ANDRZEJ KRAJEWSKI

**C**

złonkowie naszej partii kandydujący do Sejmu mają swoją pracę. Stwarzają pracę dla innych. I my jesteśmy szansą dla was. Pamiętajcie, jedyną szansą dla was są ludzie, którzy potrafią prowadzić swoje firmy, którzy są wiarygodni, na których powinniście głosować, bo to jest w waszym interesie” – tłumaczył widzom w klipie wyborczym

emitowanym przez TVP latem 1991 r. Janusz Rewiński. „Waszą szansą Polska Partia Przyjaciół Piwa” – podkreślał na koniec wystąpienia. Zapewne wielu miłośników kabaretów, a w szczególności Skautów Piwnych, musiało wówczas przecierać ze zdumienia oczy, bo popularny druh Borygo zdawał się mówić zupełnie na serio. Acz do końca nie odczuwano pewności w tym temacie.

Przecież zaledwie trzy lata wcześniej w głośnym skeczu o wyższości mleka nad piwem podobnym tonem wygłaszał wykład o wartości obu napojów dla ludzkiego organizmu. Z grobową miną podkreślał zalety tego uzyskiwanego od krowy. Choć gdy mówił: „mleko zawiera bardzo dużo wartościowych składników, jak witaminy, sole mineralne i wapń”, wyraz jego twarzy sugerował, że wkrótce może zwymiotować, zaś widz dobrze widział, o co chodzi. Zwłaszcza gdy Rewiński następnie przechodził do opisu szkodliwości piwa, jednocześnie sprawiając wrażenie odpychania w stronę błęgiego szczęścia. Dlatego kiedy stał się twarzą stronnictwa politycznego, preferowanego przez drobnych przedsiębiorców, czujących się ofiarami planu Leszka Balcerowicza, cała rzecz sprawiała wrażenie kolejnego z dowcipów druha Borygo. Tymczasem Polska Partia Przyjaciół Piwa okazała się całkiem poważnym przedsięwzięciem.





- Od góry: lider PPPP Janusz Rewiński (z lewej) podczas spotkania we Wrocławiu z prezydentem miasta Bogdanem Zdrojewskim (z prawej).  
● Leszek Bubel, który usunął Rewińskiego z partii.

„W 1985 r. w sezonowym magazynie Telewizji Polskiej »Studio lato« satyrycy Krzysztof Piasecki i Stanisław Zygmunta wystąpili jako skauci piwni, słowem i piosenką komentując bieżące wydarzenia. Artyści pojawiali się na ekranie w mundurkach i scenografii przypominającej biwak. Formuła tych występów cieszyła się tak dużą popularnością, że rok później już pięciokrotnie w tygodniu emitowano cykliczny program satyryczny »Skauci piwni«” – opisują w naukowej monografii „Harcerska kultura śmiechu w Polsce” Przemysław Paweł Grzybowski i Katarzyna Marszałek. Do grona skautów dołączyły ówczesne gwiazdy polskiego kabaretu, m.in.: Bohdan Smoleń i Paweł Dłużewski. Jednak na ich lidera wyrósł Janusz Rewiński, fizjonomią najlepiej pasujący do stereotypowego wyglądu miłośnika piwa. Choć pseudonim, jaki przyjął – druh Borygo – nieco ten stereotyp burzył. Stanowił bowiem aluzję do samochodowego płynu chłodniczego zawierającego alkohol, po który w PRL sięgano w momentach, gdy brakowało już nie tylko wódki i bimbrowa, ale nawet denaturatu. Ryzykując, że nie dożyje się końca libacji.

Pomysł na budowanie skeczy wokół aluzji do picia uwielbiali widzowie „Studia lato”. Korzystając z tego, kabareciarze: „opracowali program estradowy skautów piwnych, z którym objechali całą Polskę, a ich utwory ukazały się na kasecie [magnetofonowej – przyp. aut.]” – piszą Grzybowski i Marszałek. Tak zdobywając ogromną popularność, która nie słabła po polityczno-gospodarczych przemianach 1989 r., Polska przeszła od rzeczywistości PRL do demokracji i gospodarki wolnorynkowej. Ten przełom otwierał przed popularnymi osobami nowe możliwości. Wedle wspomnień Janusza Rewińskiego spisanych w książce „Z kabaretu do Sejmu... i z powrotem?”, jako pierwszy dostrzegł je Zbigniew Chomicz. Redaktor naczelny miesięcznika dla mężczyzn „Pan”,

który miał stać się polskim „Playboyem”, publikując zarówno zdjęcia skąpo odzianych kobiet, jak i poważne artykuły, zaproponował druhowi Borygo założenie partii politycznej. W tym czasie nie stanowiło to niczego nadzwyczajnego. Jak wylicza Antoni Dudek w monografii „Od Mazowieckiego do Suchockiej. Pierwsze rządy wolnej Polski”, w zaledwie rok do października 1990 r. zostały zarejestrowane w Polsce 154 partie polityczne. Po upadku komunizmu okazało się to nietrudne. Wystarczyło złożenie do sądu zgłoszenia podpisanego przez 15 pełnoletnich osób posiadających zdolność do czynności prawnych.

Polską Partię Przyjaciół Piwa wpisano do rejestru 28 grudnia 1990 r. Jej twarzą i pierwszym oficjalnym liderem został Janusz Rewiński. Potraktowano to powszechnie jako jeden z jego lepszych żartów oraz znakomity chwyt reklamowy, promujący Skautów Piwnych oraz złocisty trunek. Zdawał się to potwierdzać nawet program stronnictwa. „Nie mamy złudzeń, że Polak stanie się abstynentem. Tylko niech nie pije wódki. Smaczne, chłodne, aromatyczne piwo tak samo może służyć do wznoszenia toastów” – mówił.

### Koniec z dowcipami

„Dlatego, że chciałem działać” – tłumaczył, dlaczego wstąpił do Polskiej Partii Przyjaciół Piwa, Krzysztof Ibisz w wywiadzie udzielonym 11 lat temu Robertowi Patolecie dla wp.tv. „Po prostu w pewnym momencie chcemy zmieniać świat na lepszy, chcemy zrobić coś dla innych i to jest taki powód” – mówił. Przytłaczającą większość ówczesnych partii charakteryzowało to, iż – jak pisze Dudek – miały: „nie tylko znikomą liczbę członków, ale i jeszcze mniejszy majątek”. Brak funduszy wykluczał możliwość przyciągnięcia uwagi wyborców, przytłoczonych mnogością stronnictw politycznych. Na ich tle PPPP wyróżniał wielki atut w postaci powszechnie rozpoznawalnych osób, które stały się nagle partyjnymi działaczami. Stworzyły one coś na kształt pospolitego ruszenia gwiazd, powstałego jeszcze w PRL show-biznesu.

Krzysztof Ibisz popularność zdobył jako młody, przystojny prowadzący program „5-10-15” oraz „Klubu Yuppies”. Adama Halbera bez problemu rozpoznawali słuchacze Polskiego Radia i Rozgłośni Harcerskiej, a naczelnego antyterrorystę PRL Jerzego Dziewulskiego fani serialu „07 zgłoś się”. O powszechnej sympatii dla druha Borygo i Skautów Piwnych nie wspominając. Szybko też udało się PPPP rozwiązać problem funduszy niezbędnych na prowadzenie kampanii wyborczej. Stało się tak „dzięki wsparciu finansowemu kilku przedsiębiorców, zainteresowanych mandatami poselskimi” – podkreśla Antoni Dudek. „Dlaczego państwo powinniście na mnie głosować? Bo obiecuję wam, że całe moje doświadczenie, człowieka któremu się udało, wykorzystam na forum parlamentu, bo nie interesują mnie diety sejmowe, tanie obiady w stołówkach. Ja mam pieniądze, dom i dobry samochód. Chcę być w Sejmie, bo mam dzieci i chcę, żeby nie musiały wyjechać z Polski, aby godnie żyć” – mówił w klipie wyborczym latem 1991 r. Andrzej Czernecki. Stojąc przed swoją fabryką urządzeń do pobierania próbek krwi i lancetów HTL, wzniesionej przez niego od fundamentów na Górnym Śląsku.

### Gotowi na elekcję

Przed wyborami parlamentarnymi zaplanowanymi na koniec października 1991 r. PPPP udało się nie tylko pozyskać fundusze, ale też zbudować struktury organizacyjne. Wedle statusu partii zarządzała nią Ława Najwyższa. W jej skład wchodził prezydent i od 10 do 15 członków. Na pierwszego prezydenta wybrano oczywiście Rewińskiego. Terenowe oddziały nazwano Okręgowymi Ławami Piwnymi, a ich siedzibami stały się popularne puby. ►

► Dzięki temu stronnictwo mogło się chwalić, że zrzesza ponad 10 tys. ludzi i nikt właściwie nie potrafił tego twierdzenia zwerfikować. Ta niezwykłość przyciągała uwagę mediów równie mocno, co sami działacze PPPP.

Tymczasem partia, stroniąca coraz bardziej od żartów, ogłosiła latem 1991 r. swój program wyborczy zatytułowany „Jak wypić to piwo?”. Składał się on z 10 krótkich haseł nazwanych: „Dekalogiem Polskiej Partii Przyjaciół Piwa”. Obiecywały m.in. opracowanie strategii gospodarczej dla Polski na kolejne 30 lat, wsparcie dla budownictwa mieszkaniowego, dbałość o środowisko naturalne, uporządkowanie prawa gospodarczego i podatkowego, a nawet zadbanie, by: „dziesięciokrotnie zwiększyć średni areal polskiego gospodarstwa rolnego”. Nic nie wskazywało na to, by pisał je jakiś satyryk. Nie widać też w nich myśli politycznej Leszka Bubla. Do PPPP przyłączył się on jako jeden z wielu drobnych przedsiębiorców, który dorobił się w latach 80., wytwarzając biżuterię patriotyczną, cieszącą się wówczas wielkim zainteresowaniem. Dopiero pobyt w Sejmie wywołał w nim prawdziwe zwierzę polityczne. Z czasem zastąpił jako wydawca takich pism, jak „Tylko Polska” oraz cyklu lektur „Poznaj Żyda”, stając się najczęściej obecnym w mediach antysemitą pierwszej dekady III RP.

„Niecodzienna nazwa i rozczarowanie transformacją ustrojową w Polsce sprawiły, że partia uzyskała 3,27 proc. głosów, 10. wynik na 111 komitetów wyborczych, co pozwoliło jej wprowadzić do Sejmu 16 posłów” – wylicza Andrzej Stelmach w „Leksykonie polskich partii politycznych” pod redakcją Rafała Glajcary, Agnieszki Turskiej-Kawy i Waldemara Wojtasika. W przeprowadzonych w Polsce 27 października 1991 r. wyborach parlamentarnych starły się ze sobą dwa główne oboje polityczne: postsolidarnościowy i postkomunistyczny. Najlepszy wynik uzyskała Unia Demokratyczna, mogąc pochwalić się zdobyciem 62 miejsc w Sejmie. Zaledwie o dwa mniej zyskał spadkobierca PZPR, Sojusz Lewicy Demokratycznej. Tuż za plecami tych dwóch stronnictw kłębiły się te nieco mniejsze, co nie znaczy, że mniej ambitne. „Przyprawiającą o ból głowy listę 24 formacji, które znalazły się w Sejmie I kadencji, uzupełniła 14 innych ugrupowań, posiadających mniej niż 10 posłów, z czego 7 było reprezentowanych przez zaledwie jednego parlamentarzystę” – opisuje Dudek. Utworzenie stabilnego rządu w tak rozdrobnionym parlamencie graniczyło z cudem. To, że PPPP nie poczuwała się do przynależności ani do obozu postsolidarnościowego, ani postkomunistycznego, okazało się jej atutem. Stronnictwo przyciągnęło bowiem głosy ludzi, chcących okazać swoją niechęć wobec obu głównych nurtów politycznych. Ugrupowanie kojarzące się z kabaretem, piwem i celebrytami dało im możliwość zdemonstrowania przy urnie, że żadna poważna siła polityczna nie reprezentuje ich interesów. Te atuty PPPP przestały cokolwiek znaczyć, gdy stronnictwo wprowadziło swych przedstawicieli do Sejmu. Wówczas zderzyli się oni z realiami prawdziwej polityki, nigdy wcześniej nie mając z nimi do czynienia.

Tymczasem utworzony przez koalicję partii pod egidą Porozumienia Centrum rząd Jana Olszewskiego przetrwał jedynie siedem miesięcy. Jego upadkowi towarzyszyła afera lustracyjna oraz zaostrzający się konflikt między Jarosławem Kaczyńskim a Lechem Wałęsą i zbliżoną do Unii Wolności częścią obozu postsolidarnościowego. Po tym krótkim zetknięciu się z codzienną walką polityczną pospolite ruszenie, jakim była Polska Partia Przyjaciół Piwa, po prostu się rozsypało. Z podziału wyłoniło się

początkowo Małe Piwo oraz Duże Piwo. To pierwsze tworzyli: Adam Halber, Krzysztof Ibisz oraz przedsiębiorca, który zagustował w polityce, Adam Piechowicz. Z czasem założyli oni Koło Poselskie Spolegliwość, a następnie współtworzyli Partię Emerytów i Rencistów Nadzieja. Fakt, że jedną z jej twarzy został 28-letni wówczas Ibisz, nie dodawał nowej inicjatywie wiarygodności.

Z kolei w Dużym Piwie pozostał Janusz Rewiński, otoczony przez przedsiębiorców takich, jak Andrzej Czernecki, Tomasz Bańkowski, Zbigniew Eysmont, wspieranych przez ekonomistę Cezarego Urbaniaka, lekarza Sławomira Chabińskiego czy menedżera Ewy Demarczyk oraz fortepianowego duetu Marek i Wacek Jana Zylbera. Pechowo dla druha Borygo wśród trzynastki posłów Dużego Piwa znalazł się też Leszek Bubel.

## I po piwie

Jeszcze pod koniec listopada 1992 r. prasa donosiła, że 110 delegatów Ław Okręgowych PPPP wybrało Janusza Rewińskiego po raz drugi na prezydenta partii. Swoją kadencję miał sprawować przez następne cztery lata. Potrała ona zaledwie trzy miesiące, bo już w lutym 1993 r. udało się Bublowi zorganizować w zarządzie partii przewrót pałacowy. W efekcie nadzwyczajny zjazd członków stronnictwa pod wodzą Bubla zdecydował o wyrzuceniu Rewińskiego z partii. Wcześniej oskarżywszy go o nadużycia finansowe oraz doprowadzenie do „zniknięcia koła parlamentarnego PPPP”. Pozbycie się człowieka będącego symbolem całego ugrupowania

oraz medialną lokomotywą i zajęcie jego miejsca przez Bubla okazało się pomysłem samobójczym. W przedterminowych wyborach parlamentarnych we wrześniu 1993 r. PPPP otrzymała w całym kraju dokładnie 14 382 głosy. To oznaczało poparcie 0,1 proc. wyborców. Tym sposobem partia zakończyła swoją obecność w parlamencie oraz polityczny żywot.

Jednak nieco wcześniej jej parlamentarnej odłami wykształcony z Dużego Piwa pod nazwą Polski Program Gospodarczy stał się częścią koalicji rządzącej. Tworzącym PPG

przedsiębiorcom i menedżerom najbliższy okazał się Kongres Liberalno-Demokratyczny, a zaraz po nim Unia Demokratyczna. Od czasu wotum nieufności dla rządu Olszewskiego PPG razem z UD i KLD tworzył tzw. małą koalicję. Zapoczątkowało to podczas formowania rządu Hanny Suchockiej. Małemu koalicjantowi przyznano wówczas prawo do posiadania jednego ministra. Został nim Zbigniew Eysmont jako minister bez teki, zajmujący się w rządzie „promowaniem przedsiębiorczości”. Z tego obowiązku były działacz PPPP starał się wywiązywać najlepiej, jak potrafił. Kłopot polegał na tym, że krucha koalicja postsolidarnościowych partii miała wówczas ważniejsze problemy na głowie. „Rząd Hanny Suchockiej rozpoczął urzędowanie w chwili, gdy przez Polskę przetaczała się kolejna wielka fala strajków. Największe miały miejsce w Mielcu, Tychach, Zagłębiu Miedziowym oraz na Górnym Śląsku” – relacjonuje Dudek. „Ogółem od lipca 1992 do lipca 1993 r., gdy rząd znajdował się już w stanie dymisji, doszło do 485 różnego rodzaju akcji protestacyjnych, w tym 151 strajków” – wylicza. Rosnące niezadowolenie społeczne, wynikające z kosztów gospodarczej transformacji ekonomicznej, oraz zażarte konflikty w obozie postsolidarnościowym przyniosły w końcu polityczne przesilenie. Po przedterminowych wyborach władzę przejęli w III RP postkomuniści. Zaś Polska Partia Przyjaciół Piwa pozostała już tylko w zbiorowej pamięci jako żart zdecydowanie mniej śmieszny niż te autorstwa oryginalnych Skautów Piwnych.

ANDRZEJ KRAJEWSKI



● Jedna z „siedzib” partii w Dąbrowie Górniczej.

TOMASZ TARGAŃSKI

# Diabelska intryga

Co mogło czekać w XVII w. ambitną kobietę skonfliktowaną z mężczyznami?  
Uznanie za czarownicę i ścięcie, jak pokazuje przykład Sydonii von Borck,  
pomorskiej szlachcianki.



Portret damy ze służącą, opisywany często jako podwójny wizerunek Sydonii von Borck – w młodości i na starość, artysta nieznan, XVIII w.

**W** 1620 r. w Szczecinie po długim procesie kat ściał 72-letnią szlachciankę Sydonię von Borck. Wyrok wykonano na wzgórzu nazywanym „niebiańskim stokiem”, skąd dusze skazanych ulatywać miały wprost do nieba, na „kruzym” kamieniu – gdy tylko tłumy gapiów

opuszczały miejsce kaźni, do ciał zlatywały się kruki. Zgodnie z decyzją sądu zwłoki Sydonii spalono na stosie, a majątek, jaki zostawiła, przepadł na rzecz książęcego skarbu jako pokrycie kosztów sądowych. Taki był finał jednego z najgłośniejszych procesów o czary w dziejach rządzonego przez dynastię Gryfitów Księstwa Pomorskiego.

Niedawno po ponad 400 latach sprawa Sydonii von Borck wróciła na historyczną wokandę za sprawą polsko-niemieckiego projektu „Akta Sydonii”. Dzięki niemu powstał blog oraz detektywistyczne słuchowisko, które na podstawie oryginalnych dokumentów z procesu opowiada historię Sydonii na nowo, tym razem z jej perspektywy (odrestaurowane akta z własnoręcznymi zapiskami Sydonii można obejrzeć pod adresem [www.s1620.eu](http://www.s1620.eu)).

## „Wilczy” rodowód

Początki rodu von Borck – nazywanych wcześniej Borkami – sięgają XII w. Ich rodową siedzibę, Strzmielę, położoną niedaleko Szczecina na lewym brzegu Odry, nazwano Wilczym Gniazdem, ponieważ ich nazwisko, pomorskie słowo *bork*, oznaczało wilka. Borkowie słusznie uchodzili za jeden z najstarszych zachodniopomorskich rodów szlacheckich i od dawien dawna służyli książęcyemu rodowi Gryfitów. W wiekach XIV i XV, kiedy wraz z niemieckimi osadnikami i rycerstwem na Pomorze zaczęła napływać niemiecka kultura dworska oraz język, Borkowie stopniowo stali się von Borckami. Nie przeszkadzało to jednak żyjącemu w latach 1360–1426 Maćkowi Borkowi (występujący w dokumentach jako Matzko von Borck) wojować z krzyżakami i posłować z ramienia króla Władysława Jagiełły do Danii.

Urodzona ok. 1548 r. Sydonia była w prostej linii prawnuczką Maćka. Jeśli wierzyć legendzie, los obdarował ją wielką urodą i bystrym umysłem. Za młodu ojciec wysłał ją na dwór książęcy do Wołogoszczy. Sydonii najwyraźniej nie brakowało pewności siebie, skoro późniejszy kronikarz i wnuk książęcego radcy na dworze Gryfitów Gustaw Heinrich Schwallenberg napisał o niej: „nabrała takiej odwagi, że uznała się godną ▶



Herb rodu von Borck.

► tylko jednego księcia lub hrabiego; przebywała dlatego niemało na dworach książąt pomorskich w nadziei, że uda jej się przekonać jednego z wielu młodych książąt do kochania. W końcu odniosła sukces z księciem wołogoskim Ernestem Ludwikiem”.

Podobno Ernest Ludwik, nazywany Pięknym, młodzieniec gruntownie wykształcony i obyty w świecie, obiecał dumnej szlachciance małżeństwo. W rzeczywistości książe tylko zwodził Borkównę. Mimo że wywodziła się ona ze znamienitego rodu, nie uchodziło, aby książe krwi poślubił swoją poddaną. Sydonii podano więc czarną polewkę, po czym musiała ona opuścić dwór, a Ernest Ludwik poślubił księżniczkę brunswicką. Najprawdopodobniej nie była to jednak wielka, niespełniona miłość, jak chcieli romantycy, odkurzając opowieść o Sydonii.

### Wycieczki za mury

Tymczasem Borkówna wróciła do domu, osiadła w Strzmielach, gdzie wraz z siostrą znalazła się pod opieką niechętnego im brata Ulricha. Następne lata wypełniła jej sądowa walka z Ulrichem o zagarnięcie spadku po rodzicach. Miała wielu narzeczonych, lecz będąc bez szans na posąg, nie wyszła za mąż. Zmęczona nieustannymi kłopotami finansowymi, nagabywana przez poleczników brata, opuściła rodzinny dom i nie mogąc nigdzie zagrzać miejsca, osiedliła się w dawnym klasztorze w Marianowie, zamienionym po reformacji w fundację dla niezamężnych kobiet ze szlacheckich rodzin.

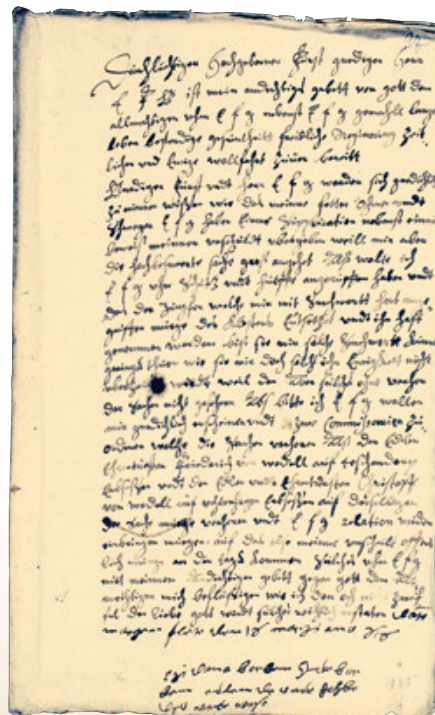
Wydaje się, że w chwili wstąpienia do klasztoru ok. 1604 r. smutny los Sydonii był na Pomorzu dobrze znany i mógł służyć jako przestroga. Niedzisiejsza piękność, dobrze urodzona szlachcianka, skończyła jako samotna kobieta bez majątku i przyszłości. W dodatku niedługo po przybyciu Borkówny do Marianowa pojawiły się skargi na jej zachowanie. Wiemy o nich m.in. z zeznań Johanna von Hechthausena, odźwiernego klasztoru. Opisował on Borkównę jako „niespokojną, dziwną istotę”, która od początku pobytu w tym miejscu nie przestrzegała zasad i do wszystkich odnosiła się z niechęcią. We znaki dawały się również nocne eskapady – szlachcianka miała wyruszać na podejrzaną wycieczki za mury, zmuszając von Hechthausena do otwierania bramy w środku nocy.

Wkrótce wszystko, co robiła w Marianowie – choć były to rzeczy z pozoru niewinne, jak choćby fakt, że otaczała się zwierzętami, uczyła się zielarstwa

i kontaktowała z zielarkami – brano jej za złą monetę. Pewnego razu Sydonia została pobita na dziedzińcu klasztoru przez członka innego pomorskiego rodu szlacheckiego Lupolda von Wedla. Być może tamto zajście miało wpływ na pierwsze oskarżenie o czary (datowane na rok 1612), ponieważ Borkówna miała się wówczas odgrażać von Wedlowi, a jej słowa zostały zinterpretowane jako groźba rzucenia uroku.



Portret księcia Ernesta Ludwika pomorskiego, artysta niezany, 1750 r. Poniżej: list Sydonii do księcia szczecińskiego Filipa II, w którym prosi o rozpatrzenie jej skarg na zarządzanie klasztorom w Marianowie.



Nie wiadomo, dlaczego Sydonii nie postawiono przed sądem w 1612 r. Może chroniła ją jeszcze sława rodowego nazwiska? Mimo swojego położenia wciąż była przecież kobietą ustosunkowaną – dowodem są listy, jakie pisała bezpośrednio do księcia szczecińskiego Filipa II. Miały one związek z kolejnym procesem o należny jej majątek, który przed sądem książęcym wytoczyła kuzynowi Jobstowi von Borck (ostatecznie Filip rozstrzygnął sprawę na korzyść Jobsta). Poza tym Borkówna wdała się w konflikt z zarządcami fundacji w Marianowie, zarzucając im defraudację (fundacja była finansowana z funduszy księcia), w tym m.in. sprzedaż „na boku” cegieł oraz mięsa z hodowanych tam krów.

Sydonia miała zatem wielu wysoko postawionych wrogów. A w chwili, gdy oskarżono ją o czary po raz drugi w 1619 r., było ich być może o kilku za dużo. W akcie oskarżenia, który zachował się do dziś, widnieją 73 zarzuty. Najpoważniejsze dotyczyły zabicia „przy pomocy czarów” księcia Filipa II szczecińskiego, który zmarł w 1618 r. po nagłej chorobie, oraz kilku innych osób. Pozostałe punkty mówiły o używaniu gróźb z użyciem czarów oraz o utrzymywaniu kontaktu z innymi czarownicami. Co znaczące, wśród wymienionych w dokumencie osób, którym Sydonia miała grozić, są nazwiska skonfliktowanych z nią zarządców z Marianowa oraz kuzyna Jobsta.

Inne zarzuty spisane przez oskarżyciela brzmiały następująco: „zawsze miała pod stołem ułożone na krzyż zielone miotły”, „zawsze kąpała się w tej samej wodzie przez trzy czwartki z rzedu”, „ilekroć kogoś pozbawiła życia czy unieszczęśliwiła, radowała się wypowiadając takie słowa: to skrobia i drapią moje psy i koty”, „w jej szafce słycać było dwa tęgie pierdnięcia”.

### Tortury bez przesady

Zgodnie z ówczesnym prawem sprawy dotyczące osób szlacheckiego pochodzenia rozpatrywał sąd nadworny powoływany przez księcia. W listopadzie 1619 r. wkrótce po ogłoszeniu zarzutów dwóch urzędników pojechało do Marianowa, by aresztować Sydonię. W aktach procesowych zachował się spis rzeczy, które znajdowały się w skromnym domku, jaki zajmowała, co pozwala „rozejrzeć się” po jej ostatnim lokum. Były wśród nich: okulary w drewnianym etui, świecznik z mosiądzu, klepsydra, kałamarz, Biblia, kilka modlitewników, psalterz, zbiory kazań oraz zielnik. Niemiecki historyk Dirk Alvermann w swojej książce o Sydonii „Eine unruhige, wunderseltsame Creatur” (z niem. Niespokojne, dziwne stworzenie)

napisał, że tak żyła „najbogatsza szlachcianka na całym Pomorzu”.

Dzięki dokumentacji zgromadzonej w Archiwum Krajowym w Greifswaldzie można szczegółowo odtworzyć przebieg procesu. Składa się ona z ponad tysiąca stron listów, protokołów i zapisków. Ponieważ czary uważano za akt prawny, procedurę sądową w tych sprawach na terenie Rzeszy regulował ogłoszony w 1532 r. kodeks karny (*Constitutio Criminalis Carolina*). Nakładał on na oskarżenie obowiązek wykazania, że wskutek działań oskarżonej wystąpiły rzeczywiste szkody, np. śmierć, choroby, poronienia, nieurodzaj lub pożar. Ponadto wyrok skazujący nie mógł opierać się tylko na plotkach i donosach – sędziowie bezwzględnie wymagali przyznania się do winy.

Po postawieniu w stan oskarżenia i zatrzymaniu domniemanej czarownicy, następnym krokiem było przesłuchanie. Składało się ono z trzech faz: przesłuchania polubownego, przesłuchania z przedstawieniem narzędzi tortur i wreszcie przesłuchania z użyciem tortur. Sydonia musiała długo i konsekwentnie odrzucać oskarżenia, ponieważ w czerwcu 1620 r. wyższy sąd ławniczy w Magdeburgu (w Szczecinie obowiązywało magdeburskie prawo miejskie) wyraził zgodę na zastosowanie wobec niej tortur. Sąd nie tylko sprecyzował, jakie pytania należy zadać – pouczył też kata, aby tortury przeprowadzić „bez zbytej przesady”.

W lipcu 1620 r. nastąpiło pierwsze przesłuchanie z użyciem tortur. Zachowany protokół potwierdza, że gdy kat rozciągnął kończyny Sydonii liniami, a nogi uwięził w tzw. butach hiszpańskich, wyznała ona, że potrafi czarować, a magii nauczyła się 14 lat wcześniej od „kobiety zwanej Lehne”. Kat dopytywał, czego używała, aby zaklinać ludzi? Padła odpowiedź, że „nazywa się to Mercurium, i jeśli ktoś tylko przytknie to do ust, umiera”. Następnie odczytano jej zarzut, który od początku odpierała, czyli zabicia przy pomocy czarów księcia Filipa II. W końcu kiedy „buty hiszpańskie dokręcono”, Sydonia przyznała, że zesłała na niego „swojego diabła Chima [tak wabił się kot Sydonii – przyp. aut.], który tak bardzo zaszkodził Jego Książęcej Mości, że zachorował i wkrótce potem zmarł”. Wzmianka o kocie zaskazuje na uwagę, ponieważ w nowożytnej Europie uważano, że demony przybierają postać zwierząt i odgrywają ważną rolę w czynieniu zła. W tym sensie kot nie był kotem, lecz służącym czarownicy demonom w skórze zwierzęcia.

Przyznanie się do winy nie było równoznaczne z końcem procesu. Zgodnie



Spalenie czarownicy w Wiedniu w XVI w., grafika Vincenza Katzlera, XIX w.

z prawem zeznania złożone podczas tortur musiały zostać jeszcze „dobrowolnie” potwierdzone przez oskarżoną. Biorąc pod uwagę cierpienia, jakich doznała, w połączeniu z tym, że miała ponad 70 lat i przez 20 miesięcy siedziała w więzieniu (najpewniej w trudnych warunkach), musiała w końcu ulec. Sąd wydał wyrok śmierci, który wykonano w sierpniu lub wrześniu 1620 r. Ponieważ była szlachcianką, nie spalono jej na stosie, lecz ścięto mieczem.

### Korowód śmierci

Szaleństwo polowań na czarownice stanowiło fenomen, który dotknął niemal wszystkie kraje wczesnonowożytnej Europy oraz kolonie w Ameryce Północnej. Apogeum tego procesu przypada na XVI i XVII w., a miejscem, gdzie oskarżenia zebrały najkrwawsze żniwo, były niemieckojęzyczne kraje wchodzące w skład Świętego Cesarstwa Rzymskiego. Historycy wskazują, że oskarżenie o czary było najprostszym sposobem na pozbycie się ze społeczności kobiet, które nie wpisywały się w narzucone im role. Procesy służyły również jako rozwiązywanie lokalnych problemów i konfliktów. Mężowie pozbywali się w ten sposób niechcianych żon, bracia siostr, sąsiedzi przejmowali gospodarstwa sąsiadów, a handlarze – interesy konkurencji. Niespokojne życie Sydonii wypełnione przecież sporami z mężczyznami, m.in. na tle majątkowym, wpisywało się w ten schemat.

Elementem układanki, osadzającym proces Sydonii w szerszym kontekście, był kryzys dynastyczny w księstwie

pomorskim. Pod koniec XVI w. ród Gryfitów liczył kilkunastu mężczyzn w różnym wieku. Czarna seria rozpoczęła się w 1592 r. od śmierci Ernesta Ludwika (byłego narzeczonego Sydonii), kilka lat później umarł bezpotomnie Jan Fryderyk, zaraz po nim Barnim X (również bezpotomnie), Kazimierz VII i Bogusław XIII. W chwili nagłej, niespodziewanej śmierci Filipa II w lutym 1618 r. drzewo genealogiczne Gryfitów było już poważnie osłabione. Ani on, ani żaden z jego braci nie mieli dzieci. Wszystko to rodziło pytania, wzmagając niepewność w księstwie, domagając się jednocześnie „racjonalnego” wyjaśnienia oraz znalezienia winnych. Korowód nieszczęśliwych wypadków i niewyjaśnionych zgonów wśród Gryfitów tworzył oddzielną trajektorię wydarzeń, która skrzyżowała się z losami Sydonii, prowadząc ją przed oblicze sądu.

### Narodziny legendy

Opowieść o kłątwie rzuconej na Gryfitów narodziła się dopiero jakiś czas po egzekucji Sydonii (nie ma o niej mowy w dokumentach procesowych). Nie sposób z całą pewnością stwierdzić, kto dał jej początek – istotną rolę odegrał tu najprawdopodobniej wspomniany już Gustaw Heinrich Schwallenberg. Był on o wiele więcej niż kronikarzem i miał osobiste związki ze sprawą Borkówny: na akcie oskarżenia wśród osób, o których śmierć obwiniano Sydonię, widnieje bowiem nazwisko dziadka Schwallenberga, radcy prawnego szczecińskiego księcia. Pisząc o Sydonii, jego wnuk znał dokładnie akta sprawy i przekazywane z ust do ust opowieści rodzinne. Dysponując tymi informacjami i mając w pamięci nagłe zejście Gryfitów ze sceny dziejów, być może chcąc nadać im jakiś sens, Schwallenberg skonstruował opowieść o kłątwie, wiążąc ją z zawiedzioną młodzieńczą miłością Sydonii do Ernesta Ludwika. Schwallenberg napisał, że wywołała ona u Borkówny taką gorycz, że „dała się diabłu uwieść, i od starej kobiety przez lata ucząc się magii (...), cały książęcy ród tak przeklęła, że wszyscy bez spadkobierców zostali”.

Legenda o kłątwie zadomowiła się w pamięci potomnych. Na jej korzyść przemówił zwykły wyrok losu: nieco ponad dwa miesiące po straceniu Sydonii zmarł książę Franciszek szczeciński. Jego brat Bogusław XIV – ostatni pomorski Gryfita – wyzionął ducha w 1637 r. Księstwo pomorskie przestało istnieć na mocy pokoju westfalskiego (1648), a jego ziemie podzielili między siebie Szwecja i Brandenburgia.

TOMASZ TARGAŃSKI



na ekranie

## Moc staroświeckiej magii 4/6

**Mission: Impossible – Dead Reckoning Part One**, reż. Christopher McQuarrie, prod. USA, 163 min

Młodszy o 20 lat od Harrisona Forda **Tom Cruise** nie musi się jeszcze martwić widmem odejścia na emeryturę, więc epicka przygoda Ethana Hunta trwa i bawić będzie także za rok, kiedy to na ekrany wejdzie druga część obecnego (siódmego) odcinka „Mission: Impossible”. Szczególnie powinno to cieszyć nas, gdyż pierwszy raz w niemal trzydziestoletniej historii tej popularnej serii oglądamy Polaka Marcina Dorocińskiego, w niewielkiej co prawda, lecz wyrazistej roli kapitana rosyjskiego – oczywiście – okrętu podwodnego o wdzięcznej nazwie „Sewastopol”, od którego zatopienia wszystko się teraz zaczyna. W „Dead Reckoning” znajdziemy dokładnie to, co czyni kino akcji atrakcyjną rozrywką w starym stylu, czyli: wyczyny kaskaderskie, pocztówkowe krajobrazy, nie za szybko w porównaniu z ekranizacjami komiksów tempo, powściągliwość w epatowaniu krwią, humor na dobrym poziomie oraz przewagę scen

odgrywanych bez nadużywania obrazów generowanych komputerowo, czyli CGI. Wprawdzie pościgi samochodowe po wąskich i krętych uliczkach europejskich metropolii, pojedynki na dachu rozpędzonego pociągu, strzelaniny na pustyni czy skoki w przepaść z rozpędzonego motocykla już gdzieś widzieliśmy, ale napięcie udaje się utrzymać i nie jest to zasługa tylko fantastycznej sprawności fizycznej Cruise’a, wciąż poruszającego się ze zwinnością kota, mimo nieuchronnych oznak starzenia. Choć łatwo jest się pogubić w niektórych zawiłościach fabuły, pozytywnym zaskoczeniem wydaje się zręczne nawiązanie do poprzednich części „Mission: Impossible” (wraca sporo znanych postaci, głównie kobiecych). Oraz wyznaczenie na głównego przeciwnika Hunta wszechpotężnej, samoświadomej i zbuntowanej sztucznej inteligencji, siejącej zamęt w ludzkim świecie. AI (zwana w filmie Bytem) przejmuje kontrolę nad systemami obronnymi, manipuluje globalnymi rynkami finansowymi, czyni strategiczne obiekty niewidzialnymi, zamienia ludzi w awatary – słowem, stała się groźniejsza od HALA 9000. Mniej szczęśliwym pomysłem jest wizualizacja „umysłu” algorytmu jako czarno-białej wirującej masy przypominającej czarną dziurę i wydającej charakterystyczny pomruk rodem z „Obcego”. Zresztą świadomych nawiązań do klasycznego, sensacyjnego kina jest tu więcej. Fani wyłapią smaczki m.in. z „Tragedii Posejdon”, nie mówiąc o Bondzie czy filmach o Bournie. Ale i bez tych odniesień ogląda się to lepiej niż nowego „Indianę Jonesa”.

JANUSZ WRÓBLEWSKI

na ekranie

## Nie do pary 4/6

**Między nami żywiołami** (Elemental), reż. Peter Sohn, prod. USA, 109 min

Większość komedii romantycznych jest oparta na zderzeniu sprzecznych ze sobą charakterów, więc aż dziw, że dopiero teraz studio Pixar wpadło na pomysł realizacji filmu o niemożliwej miłości ognia i wody. W nowej animacji żywioły mają emocje i osobowości, lecz rzadko wchodzą ze sobą w interakcje: zwłaszcza ognistych istot wszyscy unikają, no cóż, jak ognia. Jednak wbrew tradycji między Iskrą, płomienną córką sklepikarza, a Wodkiem, inspektorem miejskiej kanalizacji, rodzi się uczucie. Z początku pełne obaw, z czasem coraz odważniej przełamujące obyczajowe tabu. A w tle jest jeszcze delikatnie zarysowany konflikt klasowy: imigranci nieustannie muszą walczyć o przetrwanie, podczas gdy uprzywilejowana rodzina Wodka to artyści i skłonne do afektu pięknoduchy (brawa dla osoby, która ich nazwisko spolszczyła na Potockich).

Długo można wylizcać tytuły, którymi inspirowali się twórcy, od „Romea i Julii” po „Zgadnij, kto przyjdzie na obiad”. Scenariusz „Między nami żywiołami” jest w zasadzie powtórką z rozrywki:



zarówno wątek romantyczny, jak i portret społeczności imigrantów próbującej znaleźć swoje miejsce w niezbyt przychylnym środowisku czy kwestia skomplikowanych relacji międzypokoleniowych to tematy, które studiu Pixar nie są przecież obce, a często trafiały na ekrany w lepszym wydaniu (jak we „W głowie się nie mieści” czy „To nie wypanda”). Jednak „Żywioły” – fantastycznie zanimowane i pięknie zaprojektowane, co w przypadku Pixara jest standardem – mają wystarczająco dużo wdzięku i humoru, by w pełni wybrzmiało antyrasistowskie przesłanie, a widzowie zaangażowali się emocjonalnie w związek Iskry i Wodka.

JAKUB DEMIAŃCZUK

na scenie

## Luksus dystansu 3/6

**Faustus**, na podst. powieści Thomasa Manna,  
reż. Katarzyna Minkowska,  
Teatr Polski w Poznaniu

**D**oktor Faustus” Thomasa Manna, traktat teologiczno-estetyczny, pisany w czasie drugiej wojny światowej w luksusowej willi w Kalifornii, nie jest dziełem łatwym, także w adaptowaniu na scenę. Twórcy scenariusza poznańskiego spektaklu, reżyserka Katarzyna Minkowska i dramaturg Tomasz Walesiak, mają na koncie udane adaptacje powieści, jak „Cudzoziemka” i „Mój rok relaksu i odpoczynku”. Oba spektakle świetnie operowały psychologią i wnikliwie portretowały rodzinę, co czyniło je bliskimi widzom. W dwugodzinnym „Faustusie”

po krótko streszczają akcję powieści, od siebie dodając dość jałowe wątki, jak zgrana już krytyka braku interesujących kobiecych postaci w tworzonych przez mężczyzn narracjach (i narzekanie na smutny los aktorów) czy wprowadzenie Andersenowskiej Małej Syrenki (Alona Szostak), której wybitnie naiwna wiara w wyższość człowieka nad innymi stworzeniami zostaje brutalnie skonfrontowana z rzeczywistością. To jest, zdaje się, temat tej inscenizacji: przestroga przed brakiem dystansu do wybitności, do autorytetów, ale też do własnych emocji i do ambicji. Główny bohater, genialny/chory kompozytor awangardowy Adrian Leverkühn (**Michał Kaleta**), jest oderwanym od rzeczywistości egotykiem (oraz syfilitykiem). A otaczające go postacie odgrywają melodramaty niespełnionych miłości i ambicji. Atmosfera jest żnąca i wszyscy wydają się mocno zagubieni. Nie wyłączając aktorów i widzów.

ANETA KYZIOŁ



w telewizji

## Gdzie ta przygoda? 2/6

**Pan Samochodzik i Templariusze**,  
reż. Antoni Nykowski, 110 min, Netflix

**S**pośród dotychczasowych ekranizacji książek Zbigniewa Nienackiego udało się w zasadzie tylko jedna – serial „Samochodzik i templariusze” ze Stanisławem Mikulskim w roli głównej. Nowa, filmowa adaptacja powieści nie próbuje się z nim mierzyć, choć kilka razy składa mu dyskretny hołd (więcej na s. 80). Zresztą z literackiego oryginału zostało tu niewiele: bardzo ogólny zarys akcji, kilkoro bohaterów, parę wymyślonych nazw geograficznych i ponura historia zakonu templariuszy w tle. Reszta jest próbą zaadaptowania treści do wymagań współczesnej publiczności. Tyle że chybiona. Wiadomo, dydaktyczna i pozbawiona fajerwerków proza Nienackiego wymagała podkreślenia emocji i przyspieszenia akcji, nawet jeśli wciąż toczy się ona w bardzo umownych realiach lat 70. Pan Samochodzik (**Mateusz Janicki**)

jest tutaj, zresztą dość ciekawie, zinterpretowany jako rodzaj muzealnego agenta do zadań specjalnych, wprawionego w walce wręcz, zdecydowanego w działaniu, a przy tym będącego aroganckim egoistą, który musi dopiero nauczyć się pracy zespołowej. Scenariusz rozbudowuje kobiece postaci – Sandra Drzymalska i Maria Dębska radzą sobie świetnie – lecz fabuła potwornie trzeszczy w szwach, kompletnie gubi logikę i przypomina podróbkę „Skarbu narodów” wymieszaną z teletur-niejem „Fort Boyard”, inkrustowaną bon motami w stylu: „Czasem zło musi wziąć górę, żeby dobro odkryło, jak być dobrem”. Przede wszystkim zaś traci posmak przygody w powieściach Nienackiego zawsze obecnej. JD



POLITYKA nr 29 (3422), 12.07–18.07.2023



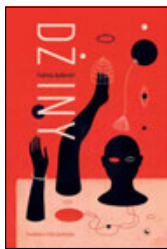
w galerii

## Dr Baranowski i Mr Tadeusz 4/6

**Tadeusz Baranowski. Malarstwo**,  
Galeria DAP 1 i DAP 2, Warszawa, do 8 sierpnia

**T**wórców niekiedy dopada artystyczne rozdwojenie jaźni. Kompozytorzy symfonii pisują wpadające w ucho piosenki, autorzy wyrafinowanych esejów wydają książeczki dla dzieci, zaś ambitni reżyserzy „zaliczą” od czasu do czasu komercyjny serialik. W przypadku Tadeusza Baranowskiego trudno powiedzieć, która twórczość ma twarz łagodnego dra Jekylla, a która – demonicznego pana Hyde’a. Z jednej strony mamy bowiem do czynienia z niemal kultowym twórcą komiksów dla dzieci, tworzącym je od półwiecza, twórcą takich postaci, jak Smok Diplodok czy profesor Nerwosolek. Kreował niezwykle, bajkowe i nieco surrealistyczne światy, wypełnione absurdalnym humorem i słownymi gramami. Tymczasem na wystawie poznajemy zupełnie innego artystę. Powracającego do korzeni, czyli studiów u tak wyśmienitych mistrzów, jak Artur Nacht-Samborski czy Aleksander Kobzdej. Nie ma tu miejsca na realizm, chyba że wykreuje go wyobraźnia odbiorcy, dostrzegając w abstrakcyjnych pracach artysty a to pejzaże, a to martwe natury, a to niepokojącą mieszankę rozkwitu i rozpadu materii (alegoria współczesnej cywilizacji?). To prace o dużej dyscyplinie formalnej, a jednocześnie przesiąknięte emocjami, a nawet swoistą ekspresją. Równocześnie ciekawe formalnie, tworzone w technice asamblażu, gdzie różne materiały (pleksi, tkaniny, farby) łączą się we wspólną nową jakość. Dla miłośników współczesnej sztuki to ciekawa propozycja artystyczna, ale fanów Bąbelka i Kudłaczka przestrzegam, że stając twarzą w twarz z tym mniej znanym Baranowskim, mogą poczuć się nieswojo.

PIOTR SARZYŃSKI

książki Fragmenty książek na stronie: [www.polityka.pl/czytelnia](http://www.polityka.pl/czytelnia)

## Ci obcy 5/6

Fatma Aydemir, **Dżiny**, przeł. Zofia Sucharska, Wydawnictwo Cyranka, Warszawa 2023, s. 320

**F**atma Aydemir urodziła się w Karlsruhe, publikuje w lewicującym dzienniku „Tagesszeitung” i jest wschodzącą gwiazdą niemieckiej literatury. „Dżiny” to jej druga powieść. Udziela tu głosu – wielu głosów – tureckiej rodzinie migrantów, która mimo dekad nad Renem żyje w rozdarciu i na uboczu. Niemiecki sen spełnia się najwyżej połowicznie. Hüseyin, głowa rodziny, zaoszczędził dość, żeby kupić mieszkanie w Stambule, chociaż nic o tym mieście nie wie. Dzieci odebrały wykształcenie, ale ich los cudownie się nie odmięnia. Każdy bohater snuje tę opowieść z własnej perspektywy. Hüseyin, pracujący przy wytopie metalu, tak mocno marzy o lepszym losie, że przymyka oko na upokorzenia. Peri, jedna z córek, wyrzeka się korzeni, ucieka do Frankfurtu, zachłystuje się Nietzschem. 15-letni Ümit przypadkiem odkrywa, że są Kurdami.



Najbardziej wymowny jest los Emine, żony Hüseyina, która ma w Niemczech zakaz postępowania się własnym językiem, a nowego nie przyswaja. Nawet u terapeuty towarzyszy jej córka w roli tłumaczki. Aydemir buduje w sumie sześć historii, stosując różne narracyjne sztuczki. Dba o to, by każdy bohater miał własny rodzaj doświadczenia. Co ich łączy, to tytułowe dżiny, milczące demony, uosabiające lęk, tęsknotę, rozczarowanie. Trudno nie czytać tej powieści w kontekście niemieckich czy choćby polskich zawirowań związanych z migracją. Ale przesłanie jest uniwersalne: rozbitkowie, niezależnie od pochodzenia, nigdzie nie czują się u siebie, emigracja skazuje na strach i samotność, której nie da się zagłuszyć. Są i promyczki światła, tak jak dżiny, ledwo uchwytnie, ale trzymające przy życiu.

ALEKSANDRA ŻELAZIŃSKA



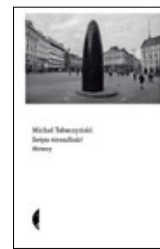
## Trypofil w wielkim mieście 5/6

Michał Książek, **Atlas dziur i szczelin**, Znak Litera Nova, Kraków 2023, s. 304

**M**ichał Książek jest doskonałym przewodnikiem nie tylko po lesie, ale i po ulicy Marszałkowskiej. Jego spostrzegawczość warta jest pochwały, a spryt godzien pozazdrosczenia. Nauczył się go zapewne od swych nie-ludzkich przyjaciół, od miejskich roślin i zwierząt. Choć od pary pliszek siwych, które uwiły gniazdo

pod maską Wartburga. Nie przeszkodziło im nawet to, że właściciele jeździli nim co tydzień na działkę – gniazdo się uchowało, a ptaki doczekały potomstwa. To wzruszający, ale też wstrząsający przykład przystosowania się zwierząt do nieprzyjaznych warunków życia w mieście. Książek nie ma litości dla ratuszowych decydentów upatrujących w drzewach wrogów, a w kostce Bauma widzących remedium na wszystkie bóle, oraz dla sporej części Polaków, którzy cierpią na trypofobię, czyli lęk przed dziurą, więc każdą dziuplę chcą zalać betonem lub zarzucić śmieciami. Sam jest trypofilem – w dziuplach widzi kłębiące się dzikie życie. Być może projektowana przez niego wizja Pałacu Kultury w pnącach, z sarnami pijącymi wodę ze stawu, który zajął miejsce fontanny, będzie dla wielu trudna do wyobrażenia, ale przecież nie niemożliwa. „Atlas dziur i szczelin” to pean na честь przyrody, która potrafi sobie poradzić w każdych warunkach. Książek uczy nas, jak rozumieć miejskie rośliny i zwierzęta. A jego pasja zachęca do podejmowania własnych „biodroży”.

MACIEJ ROBERT



## Życie na peryferiach 4/6

Michał Tabaczyński, **Święto nieważkości. Morawy**, Czarne, Wołowiec 2023, s. 296

**T**ytuł tej książki jest nadzwyczaj przewrotny, bo to raczej o przyćmawiającą masę historii. Michał Tabaczyński opowiada o Morawach i ich mieszkańcach ostatniego stulecia, a w każdej ze swoich historii porusza się po osi między życiem codziennym i sztuką. Kolejni twórcy, urodzeni lub spędzający życie na Morawach, są tu jego przewodnikami, m.in. Jiří Ohrenstein – żydowsko-czeski poeta, Helena Bochořáková-Dittrichová – autorka powieści graficznych, Jakub Deml – pisarz i ksiądz, Jef Kratochvíl, fotograf. Rzeka płynąca przez Brno, Ponávka, daje się opowiedzieć dzięki librettu opery Pavla Drábka, bo została zepchnięta pod ziemię i zabetonowana, należy zatem do krainy umarłych. Nagłe cięcia historyczne, zmiany władzy pokazuje Tabaczyński wiele razy – poczynając od biografii Ohrensteina, posługującego się pseudonimem Orten, zadenuncjowanego przez czeską gadzinówkę, aż po losy willi Tugendhatów, w której mieszkała najpierw rodzina zamożnego kupca, a potem siedzibę miało SS i NKWD. Tabaczyński odbija się od sztuki, by sięgnąć po życie, zrozumieć historię, nadać kształt melancholii, przyspilić apokalipsę, która na Morawach trwa przynajmniej od stulecia. We wstępie zastrzega, że trudno opowiadać o prowincji, na której nic się nie dzieje, i o Brnie niewiele większym niż jego rodzinna Bydgoszcz. Następnie udowadnia jednak, że życie na peryferiach może być dużo bogatsze i pełniejsze niż niejedna biografia z centrum.

PAULINA MAŁOCHLEB

## na płycie

### Smutek wieku 5/6

Anohni and the Johnsons, **My Back Was a Bridge for You to Cross**, Rough Trade

**N**ie będzie przesady w stwierdzeniu, że nowy album Anohni odtworza klimat historycznej płyty „What’s Going On” Marvin’a Gaye’a – tyle że przenosząc go w świat dzisiejszych problemów: alienacji, publicznego piętnowania, katastrofy ekologicznej. Brytyjska transpłciowa wokalistka przyznaje się do tej fascynacji wprost, ale zadanie realizuje wybitnie, na poziomie najlepszych albumów firmowanych jeszcze nazwą Antony and the Johnsons. Płyta „My Back Was a Bridge for You to Cross” – z wymownie dobraną okładkową figurą Marshy P. Johnson, dawnej bojowniczką środowiska LGBT – przynosi połączenie najlepszych cech starych, niezwykle lirycznych płyt Anohni z jej mocniejszym, zaangażowanym społecznie obliczem. Praca z Jimmym Hogarthem, producentem i gitarzystą znanym z nagrań Amy Winehouse, Duffy czy Tiny Turner, prowadzi oboje na ścieżkę mocnych, niezwykle emocjonalnych songów wykorzystujących zręcznie elementy soulu i bluesa. Na czele ze „Scapegoat” oraz „Why Am I Alive Now”, odnoszącym się wprost do Gaye’a utworze, będącym ekspresją głębokiego smutku wobec świata zmierzającego ku katastrofie. To nie jest płyta o doświadczeniach osoby trans, to rzecz o doświadczeniach wszystkich.

BARTEK CHACIŃSKI



### Legendarna Armia 5/6

Armia, **Antologia**, Metal Mind Production

**T**en dwupłytowy album ma walor kolekcjonerski. 34 utwory, przeważnie stanowiące wersje demo albo koncertowe znanych wcześniej dokonań, to rodzaj fonograficznej dokumentacji historii jednego z najważniejszych zjawisk rodzimej sceny alternatywnej. I owe „wersje demo” brzmią niekiedy ciekawiej niż te oficjalne, znane z wydanych już płyt, zaś pierwsza płyta „Antologii” odkrywa rzadko doceniany talent Roberta Brylewskiego w mikсовaniu nagrań. Album obejmuje utwory z lat 1987–2010 i świetnie pokazuje ewolucję Armii. Aby ją usłyszeć można przeprowadzić mały eksperyment. Posłuchajmy najpierw umieszczonej na pierwszej płycie wersji demo największego przeboju zespołu – piosenki „Legenda”, a potem wróćmy do utworów ją poprzedzających i posłuchajmy tych późniejszych. Przy takim podejściu „Legenda” stanie się punktem centralnym opowieści o poszukiwaniach duchowych i sposobach ich wyrażania. Zmieści się tam gnostycyzm, fascynacja mistycyzmem chrześcijańskim, a wreszcie relacja między niepokojem metafizycznym a pewnością odnajdywaną w religii. Wszystkie te stany duchowe niesie muzyka, czasem „klasycznie punkowa”, częściej operująca potężnym brzmieniem wzmacnianym waltornią czy instrumentami klawiszowymi.

MIROSLAW PĘCZAK



### Numer dwa 3/6

Niall Horan, **The Show**, Capitol

**C**złonkowie popularnego One Direction próbują kariery solo. To naturalne zjawisko, które staje się udziałem wszystkich boy bandów. Współ ma już jedną wykreowaną w ten sposób wielką gwiazdę – Harry’ego Stylesa, który niedawno wypełnił fankami warszawski Stadion Narodowy. Irlandczyk Niall Horan wydaje się realnym konkurentem. Współtworzy swoje utwory, popową produkcję wzbogacając w naturalny sposób o elementy folku i rocka. „The Show” to jego trzeci album i pierwszy na czele polskiej listy bestsellerów, choć tak duży sukces wydaje się wypadkową skromniejszej konkurencji na rynku przed wakacjami. Melodyjne utwory z niezaprzeczalnym potencjałem (poza głośnymi „Meltdown” i „Heaven” dałoby się z niego wyciąć jeszcze kilka singli) psuje bardzo zachowawcza, pozbawiona polotu produkcja – najlepszy pomysł, jaki mieli tu Joel Little i sprawdzony w pracy przy One Direction John Ryan, to naśladownictwo stylu Harry’ego Stylesa. Płyta jednak brzmi płasko i nudno w porównaniu ze swobodniejszymi i świeższymi nagraniami autora „Watermelon Sugar”. Tego sukcesu rynkowego starczy więc co najwyżej na numer dwa w starym składzie.

BCH



## festiwale

### Nowi wirtuozi

Jazz Around Festival, 21–22 lipca, Katowice, MCK i NOSPR

**C**o zmienił okres pandemiczny w muzycznych hierarchiach? Większą niż dotąd publiczność miały autorskie kanały muzyków na YouTube, więc ci, którzy już tam byli popularni, dziś zbierają efekty pracy także w występach na żywo. Tak jest z co najmniej dwiema gwiazdami Jazz Around Festivalu. Gitarzysta Cory Wong i basista MonoNeon (prywatnie Dywane Thomas Jr.) potrafili zainteresować setki tysięcy widzów nie tylko nienaganą techniką i swobodnym stylem z pogranicza fonki i jazzu, ale też osobowością. Obaj należą do pokolenia 30-latków i mają na koncie sukcesy (MonoNeon m.in. współpracę z Prince’em, Wong – długą listę płyt solo i z zespołem Vulfpeck), a ich podejście do muzyki z jazzowego pogranicza wydaje się w tym roku promieniować na program katowickiego festiwalu Jazz Around, skupiony na otwartości i witalności. Od brytyjskiego The Comet Is Coming po rodzimych USA



9001, od Moniki Borzym i Marka Napiórkowskiego po Kasię Pietrzko z Maciejem Kądziałą i Andrzejem Chyrą w specjalnym projekcie poświęconym poezjom Norwida. To prawdziwy festiwal ciekawych osobowości łączących nie tylko nurty muzyczne, ale i dziedziny kultury. Brytyjczyk Benjamin Clémentine to wokalista (nagrodzony Mercury Prize), kompozytor i poeta, a przy tym także aktor – zagrał epizod jako herald Imperatora w „Diunie” Denisa Villeneuve’a. BCH

Szczegóły: [jazzaround.pl](http://jazzaround.pl)



# Wakacje w lokacjach

Na tegoroczny urlop część z nas wyruszy śladami bohaterów ulubionych seriali. Set-jetting staje się coraz modniejszy.

ANETA KYZIOŁ

# Z

charakterystycznym dla siebie sarkazmem sprawę skomentował współtwórca „Czarnego lustra” Charlie Brooker. Akcja odcinka zatytułowanego „Loch Henry”, z mającego premierę w czerwcu szóstego sezonu serialu Netflix, toczy się w malowniczym szkockim miasteczku nad brzegiem jeziora, sielanka, widoki pieszcżą oczy.

A jednak – jak zauważa z za baru syn właściciela miejscowego pubu – „wakacyjna atmosfera jak w hospicjum”. Powodem braku turystów jest makabryczna zbrodnia sprzed lat, która okryła miasteczko złą sławą. Co może ich sprowadzić z powrotem? Oczywiście serial typu *true crime*, badający dawną zbrodnię. A przy

okazji dokumentujący naturalne piękno i walory turystyczne okolicy. „Ludziska obejrzą nas na swoich płaskich ekranach i zlecą się jak muchy do gówna. Ale z kasą. Mogę wam nawet wypożyczyć drona” – ekscytuje się pomysłem barman. I przypomina dokument o seryjnym mordercy kobiet („zjadł przy jednej z ofiar jej własne oko”): „Połowa tego filmu to były zapierające dech w piersiach ujęcia lasów, gór, pieprzonych wodospadów. Jak z katalogu. Mój kuzyn zarezerwował tam wakacje, tak mu się spodobało. Mówił, że były tam tłumy”.

Brooker ironizuje, ale turystyka do miejsc, które poznaliśmy dzięki filmowcom, *set-jetting*, to ponoć najgorętszy trend tego roku. Przynajmniej jeśli wierzyć badaniom przeprowadzonym przez korporację Expedia, właścicielkę licznych wyszukiwarek pomagających kompleksowo zorganizować podróż



Zamek Cantacuzine w Bușteni jako Akademia Nevermore w serialu „Wednesday”. Poniżej: The Prince’s Head w Richmond, pierwszy ulubionego pubu trenerów Teda i trenera Bearda w serialu „Ted Lasso”.



i wypoczynek. A także raportowi American Express, wedle którego 70 proc. przepytanych z pokolenia Z i milenialsów przyznało, że cel wyjazdu zaplanowało po zobaczeniu go w serialu. „Podróżnicy coraz częściej inspirowani popkulturą” – mówiła Bloombergowi Audrey Hendley, prezeska American Express Travel. A jej słowa potwierdziła Patricia Yates, dyrektor generalna VisitBritain, jako przykład podając wpływ kostiumowego hitu Netflix – serii „Bridgertonowie” – na turystykę w brytyjskim Bath, mieście wpisanym na listę światowego dziedzictwa UNESCO, które dostarczyło plenerów i wnętrza do osadzonego w dworskich kręgach serialu: „Widzimy, że młodsza publiczność przyjeżdża do Bath, podążając śladami tej produkcji”.

## W dekoracjach

Set-jetting nie jest zjawiskiem nowym, pewnie pojawił się zaraz po tym, jak filmowcy opuścili hollywoodzkie studia i wyszli z kamerami w plener. Z jednej strony napędza je miłość widza do pokazywanych na ekranach historii, pragnienie dodania szczypty magii do codziennego życia i kult gwiazd, z drugiej – sukcesy turystyczne, będące wynikiem współpracy z filmowcami, skutkują kolejnymi tego typu działaniami podejmowanymi przez władze miast i regionów. Wabią one ekipy filmowe, oferując wkład do budżetu produkcji albo zwolnienie z podatków w zamian za osadzenie akcji dzieła w konkretnych realiach, zwykle atrakcyjnych, co się oplaca obu stronom.

Wyreżyszerowana przez Petera Jacksona trylogia „Władca pierścieni” rozkręciła modę na zwiedzanie Nowej Zelandii. Kolejne części musicalu „Mamma Mia!” turystycznie odkryły grecką, rajską wysepkę Skopelos, z urokliwym kościółkiem na skale, która po premierze każdego z filmów przeżywała obłęd. Serialowy hit „Breaking Bad” i jego spin-off „Zadzwonił do Saula” wciągnęły na mapę turystyczną prowincjonalne Albuquerque w Nowym Meksyku, z pustynnymi krajobrazami wokół. Fani od niedawna mogą podziwiać w mieście także rzeźbione sylwetki głównych bohaterów, producentów i dilerów najczystszej metamfetaminy w okolicy Waltera White’a i Jessego Pinkmana.

Najwięcej dla rozślawienia serialowego set-jettingu zrobiła jednak „Gra o tron”, megaprodukcja HBO z miejscami akcji rozrzuconymi po Europie (i Maroku), dzięki czemu na popularności serii zyskały Chorwacja, Hiszpania czy Irlandia Północna, grające siedziby rodów walczących o tytułowy tron. Przykładem promocyjnej siły serialu HBO jest Dubrownik, w którym usytuowano m.in. Czerwoną Twierdzę, Dom Nieśmiertelnych, dom publiczny Littlefingera i największą atrakcją turystyczną – schody, po których swój marsz pokutny odbywała w piątym sezonie upokorzona Cersei Lannister. Na początku ubiegłej dekady to chorwackie zabytkowe miasto w zamian za szansę pokazania się globalnej publiczności zgodziło się nawet zamykać na życzenie filmowców fragmenty starówki w szczytynie turystycznym. Dziś, czerpiąc 17,4 proc. PKB z turystyki, próbuje znaleźć balans między dochodami z miliona turystów rocznie a życiem 42 tys. mieszkańców. Najnowszym pomysłem jest zakaz ciągnięcia po starówce walizek na kółkach, których dźwięk, rozbrzmiewający o każdej porze, jest bardzo uciążliwy dla stałych mieszkańców. Turyści mieliby zostawiać bagaże przed wejściem do zabytkowego centrum, skąd odpłatnie byłyby dostarczane do miejsca zakwaterowania.

Na naszym podwórku turystycznym fenomenem okazały się hity TVP, mające największą oglądalność. „Ranczo”, którego śladem do mazowieckich Mrozów i Jeruzala, gdzie kręcono sceny plenerowe serialowych Wilkowyj, ścigały pielgrzymki fanów („złoty ranczersów”) i gdzie w lokalnym sklepie można nabyć ulubiony trunek serialowych filozofów z przysklepowej ławeczki, tanie wino Mamrot. I „Ojciec Mateusz”, z tytułowym księdzem ▶



Kadr z serialu „Virgin River”, kręconego głównie w Kolumbii Brytyjskiej, na Bowen Island, z pięknymi górskimi pejzażami w tle.

► detektywem w wykonaniu Artura Żmijewskiego, przemierzającym na rowerze Sandomierz od 2008 r. Zabytkowe miasto można zwiedzać „śladami Ojca Mateusza”, otrzymać od policji nagrodę w akcji promującej odwagę cywilną „Bądź jak Ojciec Mateusz”, z myślą o turystach powstały pensjonat Dworek Ojca Mateusza i sklep Świat Ojca Mateusza. Pewnym rozczarowaniem jest fakt, że żeby obejrzeć kościół księdza Mateusza, trzeba się udać do Glińki koło Otwocka, a plebania księdza Mateusza jest filmowana w podwarszawskim Aninie.

### Przez okno na świat

Jednak w powszechnym przekonaniu nowy napęd modzie na podążanie za serialowymi lokacjami dała pandemia. Zamknięci lockdownowo i globalnie w czterech ścianach ludzie oglądali więcej telewizji niż kiedykolwiek, a filmy i seriale z przepastnych bibliotek serwisów streamingowych stały się dosłownie ich oknem na świat. Wypuszczeni ruszyli oglądać te cuda na własne oczy.

Jak bezkresne pastwiska Montany, z krowami pasącymi się na tle ośnieżonych gór i błękitnego nieba, stanowiące lejtmotyw neowesternowej serii „Yellowstone” (SkyShowtime). Badanie przeprowadzone przez University of Montana wykazało, że serial Taylora Sheridana przyciągnął do stanu w 2021 r. szacunkowo 2,1 mln odwiedzających oraz pozostawione wydatki rządu 730 mln dol. Zaś lokalne agencje reklamują swoje usługi: „Jeśli uważasz, że sceneria w serialu »Yellowstone« jest oszałamiająca – poczekaj, aż zobaczysz ją naprawdę”. Jak brytyjskie pałace i ogrody we wspomnianych już „Bridgertonach” Netflixa. Paryż z innego hitu tej platformy, nowej wersji „Seksu w wielkim mieście”, czyli serialu „Emily w Paryżu”. I – emblematyczna dla dzisiejszego set-jettingu – powalająca widokami, zabytkami i kuchnią sycylijska Taormina wraz z okolicą, fotografowana niczym do folderu reklamowego w drugim sezonie satyry na bogaczy HBO „Biały Lotos”. W efekcie luksusowy, wybudowany na miejscu średniowiecznego klasztoru na górującym nad morzem

wzgórzu, hotel Four Seasons San Domenico Palace, w którym toczy się akcja, przeżywa oblężenie, mimo że ceny zaczynają się tam od ponad 1 tys. euro za noc.

Ale duży ruch zapanował także w Rumunii, do której ciągną młodzi fani i fanki serialu Tima Burtona „Wednesday”. Główne miejsce akcji, Akademia Nevermore, do której uczęszcza tytułowa bohaterka, młoda Addamsówna, mieści się w zamku Cantacuzino w Bușteni, ale zdjęcia powstawały także m.in. na Politechnice Bukareszteńskiej, w ogrodzie botanicznym w Bukareszcie, na publicznym basenie w parku sportowym, stacji kolejowej w Sinaii, czy w historycznej posiadłości Conacul Olga Greceanu. Jest co zwiedzać.

Ranking najbardziej turystycznogennych seriali opublikowała firma Carl Friedrik produkująca luksusowe torby i walizki (pokazane m.in. w „Białym Lotosie”). Jest oparty na pytaniach o serialowe lokacje, zadawanych globalnie wyszukiwarce Google od czerwca 2022 przez rok. Na pierwszym miejscu, ze 103 tys. wyszukiwań, znalazł się „Virgin River”, serial w typie telenoweli o perypetiach miłosnych i życiowych pary sympatycznych Amerykanów na urokliwej prowincji, kręcony głównie w Kolumbii Brytyjskiej, na Bowen Island, z pięknymi górskimi pejzażami w tle. Drugie było „Stranger Things” (fikcyjne Hawkins w Indianie jest filmowane głównie w południowowschodniej części stanu Georgia), a trzeci – brytyjski kultowy serial kryminalny „Happy Valley”, kręcony w Zachodnim Yorkshire. Na kolejnych miejscach znajdują się najnowsze hity, z „Białym Lotosem” i postapokaliptycznym „The Last of Us” włącznie.

### Odrzutowcem z papieżem, pieszo z Tedem Lasso

Na fanów set-jettingu czeka szeroka paleta usług, lokalne agencje turystyczne i biura podróży też zauważyły ten wzrastający trend. Black Tomato, firma nastawiona na organizowanie



Sycylijskie miasteczko Noto w drugim sezonie „Białego Lotosu”.

wypoczynku dla zasobnej i wymagającej klienteli, zanotowała ostatnio 30-proc. wzrost zapytań o tego typu ofertę. Swoim klientom proponuje więc *storification* – doświadczenia łączące rzeczywistość i fikcję. Np. epickie doznania inspirowane przygodami Jamesa Bonda, obejmujące m.in. naukę markowania walki z dublerem 007, kaskaderem Lee Morrisonem, grę w prywatnym kasynie, jazdę Astonem Martinem czy żeglowanie po Lazurowym Wybrzeżu na pokładzie zabytkowego jachtu z aktorką Carole Ashby. Długość wycieczki – od pięciu nocy do dowolnie długiego pobytu w miejscach znanych z filmów o Bondzie, a ceny zaczynają się od 17 tys. euro od osoby. W ofercie biura jest także m.in. zwiedzanie pustynnego Utah z pobytem na ranchach – śladami serialu „Westworld”, czy Włoch – śladami „Młodego papieża” (z reklamą: „Zapomnij o La Dolce Vita, w Black Tomato stawiamy na La Vita Alta – włoski high life, w którym można zwiedzać kraj prywatnym odrzutowcem”), m.in. z prywatnym zwiedzaniem Muzeum Watykańskiego, zanim zostanie otwarte dla zwykłych śmiertelników. Za osiem dni trzeba wysupłać 23 tys. funtów.

Luksusowo zapowiada się także wypad do Norwegii, gdzie w ostatnim sezonie „Sukcesji” krótko rezydowała rodzina Royów. Firma turystyczna 62°Nord przygotowała sześciodniowy plan podróży, obejmuje on m.in. epicką jazdę wzdłuż Atlantic Ocean Road z jej niezapomnianymi widokami oraz Ścianę Trolli. Cena 6385 funtów za osobę obejmuje zakwaterowanie, wyżywienie, transfery i lot helikopterem.

Taniej można objechać Szkocję śladami lokacji z serialu „Outlander”, kostiumowego romansu, którego akcja zaczyna się w momencie, gdy brytyjska frontowa pielęgniarka z lat 40. XX w. niespodzianie przenosi się do Szkocji 1743 r., zamieniając drugą wojnę światową na konflikt szkocko-angielski oraz męża

na charyzmatycznego wojownika o wolność Szkocji. Wycieczek śladami bohaterów nie brakuje, w programach m.in. „odkrywanie piękna” szkockich zamków, pałaców, miasteczek oraz „bajkowe góry Highlands” i destylatornia szkockiej whisky. A można też skorzystać z oferty aktorki Emmy McMorrow, która oprowadzi nas po swoim rodzinnym Richmond śladami trenera Teda Lasso, koszt 17 funtów, czas – ok. 2 godz., chyba że klient zechce zjeść i wypić w ulubionym pubie Teda i trenera Bearda, The Crown and Anchor (w rzeczywistości The Prince’s Head pub).

Serialowe produkcje chcą się wyróżniać, równie ważne co fabuła i obsada jest miejsce akcji. Do tego poszukujące dziś oszczędności serwisy streamingowe jeszcze chętniej będą korzystać ze współpracy z samorządami i regionami.

Te zaś będą potrzebować turystów, choćby po to, by móc na nich narzekać. Seriali z malowniczo osadzoną akcją pewnie więc nie zabraknie. HBO na ten rok zapowiada m.in. premierę czwartego sezonu „Detektywa”, z Jodie Foster w tytułowej roli, który będzie się rozgrywał na Alasce. „W Ennis zapada długa noc, a ośmiu mężczyzn pracujących w Arktycznej Stacji Badawczej Tsalal znika bez śladu” – reklamuje się serial.

Wiele wskazuje więc na to, że turystyczny trend *set-jetting* także zostanie z nami na dłużej, przynajmniej dopóki seriale nie zostaną wyparte z masowej wyobraźni przez inne medium opowiadania angażujących historii. Netflix, wciąż najpopularniejsza z globalnych platform streamingowych, dba, by stało się to jak najpóźniej. Gigant w 2021 r. nawiązał współpracę ze Światową Organizacją Turystyki ONZ, aby „pomóc destynacjom w uświadomieniu sobie potencjalnych korzyści płynących z turystyki ekranowej”. Organizacje wspólnie zaprezentowały raport będący analizą roli filmów i seriali jako czynników napędzających turystykę.

ANETA KYZIOŁ





# Długie granie

**Lidia Grychtołówna**, laureatka konkursu chopinowskiego z 1955 r., a dziś najstarsza koncertująca pianistka w Europie, obchodzi 18 lipca 95. urodziny.

DOROTA SZWARCMAN

**W**łaśnie ukazała się jej solowa płyta, nagrana rok temu i wydana przez Fundację Art&Progress, „Lidia Grychtołówna Plays in 2022: Polish Composers” z utworami Chopina, Paderewskiego, Lutosławskiego i Szymanowskiego. Pianistka za nagrywaniem płyt nie przepada, bo prawdziwą inspiracją jest dla niej publiczność. 23 kwietnia dała ponadgodzinny (bez przerwy!) recital w Studiu Koncertowym Polskiego Radia im. Witolda Lutosławskiego, zorganizowany przez Polskie Radio Chopin. Grała na nim utwory Schuberta, Schumanna (przepiękne wykonanie „Scen dziecięcych”), Brahmsa, Liszta, Lutosławskiego („Melodie ludowe”), utwory z założenia pedagogiczne, ale mające wiele wdzięku) i oczywiście ukochanego Chopina – wszystko z pamięci. Najbliższa jest jej muzyka romantyczna, którą gra z klasyczną prostotą, uwydatniającą jednak emocje.

Po recitalu artystka pozostała na scenie, by udzielić wywiadu dziennikarzom Radia Chopin, a później jeszcze długo podpisywała płyty. Wszystko bez chwili

odpoczynku. Na Facebooku pojawił się później filmik, w którym pianistka po powrocie do domu pije prosecco ofiarowane jej przez anonimowego wielbiciela i dziękuje wszystkim za przybycie na koncert i wspaniałą reakcję. Można pozazdrościć kondycji.

Ostatnio radiowa Dwójka udostępniła na YouTube domowy recital Lidii Grychtołówny, nagrany w czerwcu w ramach cyklu „Miejscówka z Dwójką”, a kolejny występ odbędzie się na dwa dni przed urodzinami artystki, w sali Akademii Muzycznej w Katowicach.

## W dziesiątej dekadzie

Gdy przyszła pandemia, pianistka jako jedna z pierwszych, już na początku kwietnia 2020 r., dała domowy recital w streamingu na żywo. Spotkało się to z entuzjazmem internautów, więc odbyło się potem jeszcze kilka takich koncertów. Ale kiedy tylko to było możliwe, wracała do występów estradowych. W wywiadzie dla Radia Chopin opowiadała, że kiedy dekadę temu zaczęła mieć wątpliwości, czy powinna jeszcze grać publicznie, poradziła się swojego (zmarłego w 2016 r.) męża, krytyka Janusza Ekierta, zagrawszy mu kilka utworów. On zaaprobował i odtąd nie miała już skrupułów. Wciąż ćwiczy codziennie, ale

dziś tylko dwie godziny zamiast dawniejszych czterech.

Lidia Grychtołówna pobiła rekord. Jak dotąd najstarszym pianistą, który wystąpił w Polsce, był wywodzący się ze Lwowa legendarny Mieczysław Horszowski, od drugiej wojny światowej działający w Stanach Zjednoczonych jako solista, kameralista i pedagog. Gdy w 1984 r. dał recital w Filharmonii Narodowej, miał 92 lata i było to 83-lecie jego debiutu, który odbył się również w Warszawie. Imponował wciąż pięknym dźwiękiem i klasycznym umiarem. Miał jeszcze żyć w pełni sił twórczych prawie dekadę: ostatni występ dał w Filadelfii w październiku 1991 r., a zmarł na miesiąc przed 101. urodzinami. Ostatniej lekcji udzielił na tydzień przed śmiercią.

Inna legenda pianistyki Menahem Pressler kilka lat temu w wieku 94 lat wystąpił na obchodzonego w Berlinie jubileuszu 120-lecia firmy Deutsche Grammophon. Był wówczas najstarszym artystą związanym z tą wytwórnią. Zmarł dwa miesiące temu, dobiegając setki. Jego kariera była szczególna. Urodzony w Magdeburgu, po nocy kryształowej wyemigrował z rodziną do Palestyny, a po wojnie, wygrawszy konkurs im. Debussy'ego w San Francisco, przeniósł

się do Stanów Zjednoczonych. Tam początkowo działał jako solista i pedagog, ale z czasem poświęcił się całkowicie muzyce kameralnej i założył jeden z najsłynniejszych zespołów na świecie: Beaux Arts Trio. Prowadził je do 2008 r., czyli do ukończenia 85 lat, kiedy to zdecydował o rozwiązaniu zespołu, choć był jeszcze wówczas w dobrej formie. Od tej pory wrócił do grania solo; mając 90 lat, zadebiutował z Filharmonikami Berlińskimi na koncercie sylwestrowym. Nagrał też parę płyt: z koncertami Mozarta i z utworami fortepianowymi Debussy'ego, którymi rozpoczął karierę. W Berlinie już był słabszy, na estradę musiał zostać wprowadzony, ale wciąż potrafił ukazać znaczenie każdej nuty. Później musiał już zrezygnować z gry z powodu trudności ruchowych.

Obecnie światową rekordzistką jest Amerykanka o polskich korzeniach Ruth Slenczynska. Ma 98 lat, a rok temu, po 60-letniej przerwie, wydała nową płytę w firmie Decca. Zaczynała jako cudowne dziecko, przez dziesięciolecia była cenioną pedagożką, wydała książkę o technice fortepianowej oraz wspomnienia z dzieciństwa, w których opowiada, jak bezlitośnie była traktowana jako cudowne dziecko przez własnego ojca, który zmuszał ją do ćwiczenia pod groźbą kary fizycznej. Większość zresztą długowiecznych muzyków zaczynała jako cudowne dzieci. Nie każdy jednak miał tak traumatyczne przeżycia.

Pianistom jest o wiele łatwiej grać do późnych lat niż np. smyczkowcom, którzy z czasem zaczynają mieć problemy z intonacją, choć tu też zdarzały się wyjątki, jak wielki wiolonczelista kataloński Pablo Casals, który zagrał w Białym Domu przed prezydentem Kennedym, mając 85 lat, czy legendarna skrzypaczka Ida Haendel, która w wieku 76 lat wystąpiła przed papieżem Benedyktem XVI na terenie obozu Auschwitz-Birkenau.

Obok fortepianu innym atrybutem długowiecznych artystów bywa batuta. U nas niepobity jeszcze został rekord Stanisława Skrowaczewskiego, który prowadził koncerty do 92. roku życia. Trudno uwierzyć, ale najstarszym dziś czynnym polskim dyrygentem (i kompozytorem) jest wciąż młodzieńczy Jerzy Maksymiuk, który skończył właśnie 87 lat. Jego idol z młodych lat sir Neville Marriner, założyciel znanej orkiestry The Academy of St. Martin in the Fields, żył 92 lata i do końca był czynny; podczas swojej ostatniej wizyty w Krakowie żartował z typowo brytyjskim poczuciem humoru, że publiczność przychodzi na jego koncerty, bo gdyby umarł

na scenie, byłaby to sensacja. Jako 90-latek zakończył karierę zmarły dwa lata temu wybitny kapelmistrz holenderski Bernard Haitink; inna dyrygentka sława, Herbert Blomstedt, ma 95 lat i wciąż koncertuje.

### Miłość do życia

Co łączy długowiecznych muzyków? Poza tym, że byli cudownymi dziećmi, więc muzyka była dla nich jak oczysty język, mają ważną wspólną cechę: pogodę ducha. Artur Rubinstein, który przestał grać, mając 89 lat, tylko dlatego, że stracił wzrok (bo artystycznie miał do powiedzenia nawet więcej niż w młodości), przebywając jako nastolatek na nauce w Berlinie, w momencie załamania próbował się powiesić na pasku od szlafroka. Na szczęście pasek się urwał. W tym momencie młody pianista doznał olśnienia i od tej pory myślał już tak, jak napisał w autobiografii „Moje młode lata”: „Z moich własnych doświadczeń i obserwacji wynika, że Opatrzność, Przyroda, Bóg – czy jak inaczej nazwalibyśmy Siłę Twórczą – darzy szczęściem te istoty ludzkie, które życie akceptują i kochają, nie stawiając mu żadnych warunków. A ja z pewnością jestem jednym z nich, i to całym sercem”.

On jednak był szczęściarzem, obywatelem świata, i dzięki temu przeżył bezpiecznie w USA, jednak cała jego łódzka rodzina zginęła w Zagładzie, o czym dowiedział się dopiero po wojnie. Podobnie jak dalsza, pozostała w Niemczech, rodzina Menahema Presslera, czy krewni Idy Haendel, która również z rodzicami i siostrą zdążyła przed wojną wyjechać z Polski.

W burzliwym XX w. nieuniknione były liczne przeciwności losu, a wtedy młodym wówczas artystom w utrzymaniu równowagi duchowej pomagała muzyka. Pochodząca z Rybnika Lidia Grychtołówna miała 11 lat, gdy wybuchła wojna; jej ojciec był współpracownikiem Wojciecha Korfantego, więc musiał się ukrywać przed Niemcami, podobnie jak jego rodzina. Lidia wędrowała w ostre okupacyjne zimy po wsiach, by zdobyć coś do jedzenia, i ćwiczyła na rozstrojonym instrumencie w restauracji, wiedząc, że musi zachować formę. Odkąd mając cztery lata, powtarzała melodie po grającej na fortepianie mamie (a więc gra już ponad 90 lat), czuła, że muzyka jest jej powołaniem, że jest dla niej wszystkim. A przy tym – jak powiedziałła w jednym z wywiadów – zawsze patrzyła na świat z dystansem i poczuciem humoru.

Jednak przeżycia wojenne Grychtołówny były raczej niedogodnościami; byli tacy, którzy przeżywali tragedie. Wielka czeska klawesynistka Zuzana Ružicková w 1942 r., gdy miała 15 lat i była początkującą

pianistką, trafiła do obozu Theresienstadt. Było to niby getto pokazowe, gdzie można było nawet uprawiać działalność artystyczną, ale potem jeszcze wywieziono ją z matką kolejno do Auschwitz, Hamburga i Bergen-Belsen, gdzie były bliskie śmierci. Podczas ostrej zimy 1944/45 r. Zuzana odmroziła palce, a stawy jej zeszywniały od pracy fizycznej. Jednak jej wola muzykowania była tak silna, że choć po wojnie mówiono jej, iż nie będzie w stanie grać, to – zmieniwszy instrument na klawesyn, w którego brzmieniu się zakochała – ćwiczyła, uczyła się intensywnie i w rezultacie stała się jedną z najwybitniejszych postaci w swojej dziedzinie. Przestała koncertować, gdy śmiertelnie zachorował jej ukochany mąż, ale nadal działała jako ceniony pedagog, dawała też odczyty i udzielała wywiadów na temat Holokaustu (dożyła 90 lat). Opowiadała, że idąc do transportu do Auschwitz, wzięła ze sobą jako talizman kartkę papieru z zapisanym fragmentem sarabandy z V Suitu angielskiej Bacha. „Duch Bacha był ze mną zawsze i utrzymywał mnie przy życiu. (...) W Bachu zawsze można odnaleźć pociechę. Daje nam coś ponadczasowego, przewyższającego człowieczeństwo” – pisała w książce wspomnieniowej „Moje życie pełne cudów”.

### Pani spod szóstki

Terezin był też losem absolutnej rekordzistki, jeśli chodzi o wiek przeżycia: Alice Herz-Sommer żyła 110 lat. Do obozu trafiła z mężem i synkiem; mąż również z czasem trafił do Auschwitz, a potem do Dachau, skąd już nie wrócił. Alice przed wojną była w Pradze uznaną pianistką, więc trafiła do obozowej orkiestry, grała też recitale dla więźniów, zdając sobie sprawę, ile ma szczęścia. Po wojnie pojechała do Izraela, do ocalałej siostry, wraz z synem Raphaelem, który został wybitnym wiolonczelistą. Ona sama poświęciła się pracy pedagogicznej w konserwatorium w Jerozolimie; po 37 latach wyjechała za synem do Londynu, jednak spotkała ją z czasem kolejna tragedia: Raphael zmarł nagle podczas tournée. Mimo to zachowała pogodę ducha. Nie koncertowała, lecz codziennie grała w domu około trzech godzin, a sąsiedzi słuchali jej z upodobaniem. Stała się bohaterką licznych dokumentów, opowiadając o swoim życiu. Film „The Lady in Number 6” (Pani spod szóstki), nakręcony, gdy miała 109 lat, otrzymał w 2014 r. Oscara (artystka nie doczekała już tego sukcesu). „Muzyka zabiera nas na wyspę pokoju, piękna i miłości” – mówi tam z ujmującym uśmiechem. I jeszcze: „Każdy dzień w życiu jest piękny”. ■



# Własnych wspomnień czar

Polscy geekowie z PRL-u żyli w zupełnie innym świecie niż ich zachodni koledzy. Przypomina o tym nie tylko książka Tomka Kreczmara, ale i nowa ekranizacja „Pana Samochodzika i Templariuszy”.

MICHAŁ R. WIŚNIEWSKI

**Z**jemy w czasach, w których kultura fanowska trafiła do głównego nurtu. W kinach triumfy święcą fantastyczne blockbustery, sklepy są pełne wielkogłowych kolekcjonerskich figurek z filmów, komiksów i seriali, a firmy zabawkarskie kierują swoją ofertę do dorosłych miłośników „Gwiezdných wojen” czy superherosów. Dzięki doskonale naoliwionej

maszynie nostalgii można nie opuszczać fantomowej krainy dzieciństwa. I wręcz zapomnieć, że wychowaliśmy się w PRL-u, bo masowa wyobraźnia została skolonizowana przez obrazki ze Stanów Zjednoczonych. A przecież nasza przeszłość nie wyglądała jak z serialu „Stranger Things”. Przypomina o tym książka „Byłem geekiem w PRL-u” Tomka Kreczmara, zaś narzędziem pomocnym w odzyskaniu naszej swojskiej nostalgii, dalekiej od amerykańskich pejzaży, może stać się najnowsza ekranizacja przygód Pana Samochodzika.

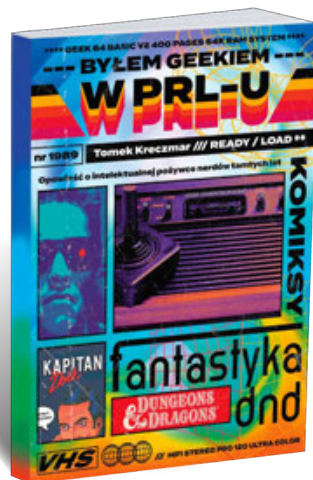
We wstępie do książki (noszącej podtytuł „Opowieść o intelektualnej pożywce nerdów tamtych lat”) Kreczmar przypomina, że w latach 80. nikt oczywiście nie używał takich słów jak „geek” czy „nerd”. Jeśli ktoś się dobrze uczył, mógł liczyć na łatkę „kujona”, jeśli zaś miał jakieś konkretne zainteresowanie, zwało się go „fanem”, „hobbystą” lub „maniakiem”. Środowiska rówieśnicze, które bardziej niż naukę ceniły sobie sport lub motoryzację, raczej krzywo patrzyły na czytających kolegów, nazywając ich „profesorami” czy nawet „kosmitami”.



Polskie podróbki figurek z „Gwiezdných wojen” – na miarę naszych możliwości. I czasów, o których traktuje książka „Byłem geekiem w PRL-u”.

Ta toksycznie męska niechęć do książek widoczna jest do dziś, zmieniło się jednak nastawienie do tych wszystkich „kosmicznych” zainteresowań. W czasach internetu przynależność do fandomów czy preferencje dotyczące elektroniki konsumenckiej stały się elementem sieciowej osoby, a może i osobowości. W latach 80. nie zastanawiałem się dużo nad tym, że czytam „Młodego Technika”, „Fantastykę” i rubrykę poświęconą UFO w „Świecie Młodych”. Po prostu lubiłem i miałem szczęście mieć kolegów, z którymi dzieliłem pasję.

Urodzony w 1973 r. Tomek Kreczmar jest nerdem zawodowym – był m.in. redaktorem naczelnym magazynu „Magia i Miecz”, poświęconego grom *role-playing*. Żartobliwie mówi się, że „złoty wiek fantastyki” to 11 lat; osiągnął go więc w czasach zarówno ciekawych, jak



i nieciekawych. Na świecie odbywała się techniczna i rozrywkowa rewolucja: do domów naszych zachodnich kolegów trafiały komputery osobiste i konsole do gier, a do kin – fantastyczne widowiska, za którymi szły zabawki i gadżety. Polscy fani musieli zadowalać się

strzępkami wiedzy pochodzącej z artykułów ze „Świata Młodych”, „Fantastyki” czy „Bajtka”. Jeśli zaś chodzi o gadżety, mogli sobie kupić polskie kulfoniaste podróbki figurek z „Gwiezdných wojen” (szerzej pisała o tym Olga Drenda w „Wyrobach”). W wymianie materiałów i doświadczeń pomagało zrzeszanie się w klubach fantastycznych czy prowadzenie korespondencji (oczywiście papierowej) dzięki anonsom publikowanym w magazynach. Ważnym ośrodkiem wymiany kulturowo-technicznej były giełdy komputerowe, gdzie kwitły import prywatny („Czterdziestoletnia komoda”, POLITYKA 38/22) i piractwo (wówczas legalne) komputerowe.

### Popkulturowa pustynia

Nie znaczy to, że polscy maniacy żyli na popkulturowej pustyni. To ważna lektura dla młodych fanów patrzących na popkulturę z zachodniej perspektywy, np. świętując daty oryginalnych premier. Tymczasem w PRL filmy krążyły po kraju, jak chciały. Kreczmar ►

► wspomina 1986 r., w którym na srebrnym ekranie obejrzał jednocześnie „Powrót do przyszłości” (1985 r.) i „Mechagodzilla” (1974 r.). Jego książka nie ma posmaku nerdowego kombatanctwa, to raczej almanach, którego zadaniem jest ocalenie polskiej geekowej historii, narażonej na utopienie w globalnym kotle nostalgii.

Dla starszych czytelników będzie to okazja do otwarcia szkatułek ze wspomnieniami. Dawno nie myślałem np. o tym, jaki w „Świecie Młodych” panował kult Juliusza Verne’a, ani o kinie radzieckim („Przygody Elektronika” o małym androidzie *made in USSR*), poczułem chęć powrotu do czeskosłowackiej „Arabelli” i porównania wspomnień z rzeczywistością. Książka jest niestety czarno-biała, ale i oglądałem to wszystko na czarno-białym telewizorze, więc się wszystko zgadza.

Nie zabrakło też rozdziału poświęconego elektronice użytkowej, bez której nie byłoby możliwe konsumowanie tych wszystkich treści. Zdjęcie magnetofonu MK 235 produkowanego przez Unitrę na licencji Grundiga przypomniało mi, jak nagrywałem na taśmie magnetofonowej odcinki „Fraglesów”, a potem na podstawie samych dialogów i dźwięków odtwarzałem scenki w wyobraźni. Lata 80. były bardzo oniryczne, podróżowało się palcem po mapie świata, ale i po mapach z gier publikowanych w „Bajtku”. Gospodarka niedoboru uczyła dzieci, że najważniejsza jest fantazja – może nie mieliśmy takich zabawek, jak na kolorowych fotosach z zagranicznych katalogów, ale przecież można (przekonywało o tym opowiadanie w „Świerszczyku”) użyć patyka i sobie wyobrazić, że to koparka.

## Ludzie z UFO

Chociaż w książce Kreczmara znajdziemy katalog literatury, twórców, przedmiotów, zabawek, komiksów i gier, to siłą rzeczy trafiają się w niej białe plamy. W oczy rzuca się np. brak „Pana Samochodzika”. Cóż, każdy geek miał własną mapę rzeczy, które są dla niego ważne. Tymczasem o serii książek Zbigniewa Nienackiego właśnie przypomina nowa ekranizacja „Pana Samochodzika i Templariuszy”, debiutująca na Netflixie 12 lipca.

Tytułowy Pan Samochodzik jest muzealnikiem, historykiem sztuki, a także kimś w rodzaju agenta poszukującego skarbów i walczącego z rabusiami i przemytnikami. W latach 1964–85 powstało 12 tomów stanowiących główny kanon serii (choć niektórzy fani włączają

do niego również trzy powieści z lat 1957–61). Po śmierci Nienackiego w III RP rozpaczała się masowa produkcja kontynuacji, wydawanych pod pseudonimami (np. Tomasz Olszakowski, autor 19 tomów, to w rzeczywistości popularny pisarz fantazy Andrzej Pilipiuk).

Podobno każdy, kto obejrzał „Poszukiwaczy zaginionej arki”, chciał zostać archeologiem. Podobnie było z „Panem Samochodzikiem”. Czy może być coś bardziej fascynującego niż poszukiwanie skarbów? Otóż może – w powieściach Nienackiego co najmniej równie pociągający jest ów wehikuł, dzięki któremu Pan Samochodzik zyskał swój przydomek. Nic dziwnego, że w sieci nowa ekranizacja „Pana Samochodzika” zaprezentowała się najpierw poprzez zdjęcie słynnego auta.

Przedziwny samochód terenowy, przywodzący na myśl estetykę spawanych ze sobą pojazdów z „Mad Maxa”, z miejsca wzbudził mieszane emocje, nie przypominał bowiem pojazdu z książkowych opisów ani dotychczasowych filmowych i serialowych wcieleń. – *Przy konstrukcji wehikułu wykorzystaliśmy nadwozie Fiata oraz grill traktora Ursus. To elementy, które były dostępne w czasach, w których dzieje się akcja, i podkreślają epokę* – opowiada jeden z producentów filmu, Maciej Sojka. – *Kształt wehikułu poddyktowały w dużej mierze względy historyczne, ale również filmowe. Otwarta kabina dawała możliwość jednoczesnego filmowania wszystkich bohaterów.*

Co bystrzejsi internauci po kształcie burty pojazdu od razu domyślili się, że faktycznie będzie pływał – co szybko potwierdził zwiastun filmu. Okazało się, że wehikuł jest też wyposażony w przeróżne gadżety w stylu Jamesa Bonda.

To, co najbardziej urzeka, to poważne potraktowanie tematu. Inaczej niż w np. w filmie „Pan Samochodzik i niesamowity dwór” z 1987 r., który materiał źródłowy infantylizował. Nawet wehikuł – przerobiony z prototypowej amfibii zbudowanej na bazie Fiata 126 p – pasował bardziej do Ciotki Klotki niż bohatera chłopięcej awantury. Poważne były pojazdy z „Wyspy Złoczyńców” (1965 r.) i serialu „Samochodzik i templariusze” (z pamiętną rolą Stanisława Mikulskiego), zbudowane na bazie niemieckiego VW Schwimmwagen. W „Praskich tajemnicach” twórcy zaś kompletnie odlecieli – auto przypominało nowoczesny prototyp, jakim miały okładki „Młodego Technika”, i zamieniało się... w UFO. Nawet dla

geeka to było za dużo! Nowy wehikuł trafia w dziesiątkę, chociaż pewnie nie każdemu się spodoba.

## Pożyczona nostalgia?

Choć bohaterem jest historyk sztuki, to nie jest to film historyczny. Tak jak Amerykanie zbudowali sobie memetyczną wersję lat 80., w neonowej poświacie i syntetycznej ścieżce dźwiękowej, tak akcja „Pana Samochodzika” ma miejsce w nieokreślonej przeszłości. – *W filmie zastosowany został mechanizm „zapożyczonej nostalgii”* – wyjaśnia Sojka. – *Ubiory bohaterów i statystów oraz elementy scenografii nawiązują do najbardziej atrakcyjnych do dziś trendów lat 70. To jest film przygodowy, który nie odtwarza realiów PRL-u, ale pozwala się przenieść nawet młodszej widowni do epoki i ukazać jej fascynujące oblicze.* Idzie to wbrew trendowi, żeby sięgając po dawne książki, mówić głośno o tym, co było napisane między wierszami, jak w przypadku nowej, „realistycznej” adaptacji „Ani z Zielonego Wzgórza”. Nowy „Pan Samochodzik” udatnie oddaje klimat filmu dla młodzieży z tamtych czasów, choć pewne rzeczy zostały uwspółcześnione.

Tak się złożyło, że premiera filmu wypada w czasie, gdy w kinach można oglądać piątą część przygód Indiany Jonesa. Hollywoodzka megaprodukcja zabiera widzów w niezwykłą podróż w czasie i przestrzeni, przez egzotyczne lokalizacje i wspaniałe dekoracje. Tyle że to wszystko bardzo spowszedniało, skakanie z kontynentu na kontynent oglądamy co jakiś czas w serii o Bondzie, nie mówiąc już o „Transformersach” czy sadze „Szybcy i wściekli”.

Na tym tle „Pan Samochodzik” wypada nieco skromnie, ale swojsko, jak serial oglądany w wakacje na czarno-białym telewizorze. To nasz James Bond, nasz Indiana Jones, ale i nowa „Podróż za jeden uśmiech” i „Wakacje z duchami”. Okazał się znakomitym plasterkiem na te wszystkie nostalgiczne strupki rozdrapane lekturą „Geeka w PRL-u” i wspomnienia o czasach, kiedy twórcy z Europy Wschodniej próbowali chociaż w fantazjach stać się częścią Zachodu (francuski *Fantomas* np. pojawiał się i w „Panu Samochodziku”, i w „Arabelli”).

Teraz, gdy nie musimy już – jak śpiewała Anna Jurkiewicz – „gonić Zachodu z całych sił”, możemy zająć się bez żadnych kompleksów pielęgnowaniem naszej własnej nerdowskiej tożsamości i pamięci.

MICHAŁ R. WIŚNIEWSKI



Tony Colombo i Tina Rispoli

JOLANTA MARIA BERENT

# Miłość, mafia, muzyka

Te piosenki porwają i irytują. Śpiewane są podczas uroczystości religijnych i cenzurowane przez państwo, a cały gatunek neomelodica zawładnął Neapolem i rozlał na całe Włochy niewybredny sentymentalizm i kulturę mafijną.

**N**eapol. Miejsce, w którym kwitnie sztuka i przestępczość. Stolica włoskiego chaosu. Na jednym kilometryrze kwadratowym ociera się o siebie prawie 8 tys. osób. W dodatku są to ludzie, którzy wyrosli pod wulkanem i noszą go w sobie. Już trzeci miesiąc świętują mistrzostwo Włoch w piłce nożnej – pierwsze od 33 lat (po tym zdobytym z Maradoną). Całe miasto przystrojone jest białymi i niebieskimi wstęgami, obstawione straganami z kibicowskimi gadżetami. Rozśpiewane (a nawet rozwrzeszczane).

Przechodnie podekscytowani są koncertem Gigiego D'Alessio, który ma wystąpić na głównym placu. Faktycznie, piazza del Plebiscito zastawiony

krzesłami niemal jak plac Świętego Piotra w dzień audyencji. Neapol to kult św. Januarego i specjalistycznego sennika (z liczbami do obstawiania w lotku), Maradony i D'Alessio właśnie – tego, którego mieszkańcy uważają za swojego i któremu się udało... To cazzimma – charakterystyczny dla tej populacji spryt, sztuka cwaniactwa (by nie rzec kanciarstwa). To słynna sceneggiata (rodzaj przedstawienia łączącego śpiew z recytacją) i jeszcze bardziej słynna pieśń neapolitańska. Wreszcie neomelodica. Piosenki, które wylewają się z okien mieszkań i samochodów, wypełniają zaułki, wybuchają w telefonach. Proste w linii melodycznej i w tekstach, za to napakowane emocjami. Ktoś kocha

i tęskni. Ktoś zdradza albo jest zdradzany. Doświadcza zazdrości i innych udręk miłosnych. Albo pała nienawiścią, pragnieniem wendety.

## Czekam przed ołtarzem

Neomelodica, duma Neapolu, w wielu budzi zakłopotanie. Łączona jest z kiczem, ale też z miejscową mafią, camorrą. Nic dziwnego, że sami piosenkarze nie chcą, by nazywać ich neomelodici – to powód, by odmówić rozmowy z mediami. Zresztą ich kariery i tak rozwijają się poza oficjalnym nurtem. Wiedzą, że raczej nie pojedą do San Remo, nie wypełnią San Siro, nie zajądą okładki czasopism. Fanów znajdują wśród swoich – ludzi z dzielnic, z których ▶

► się wywodzą. Wśród tych, których porusza sentymentalny lament, którzy mają do czynienia z niemocą, z przemocą. I tych, którym bliska jest „etyka” mafijna.

Tony Colombo. Najślawniejszy przedstawiciel gatunku. Urodzony w biednej rodzinie palermitańskiej. Jego ojciec dorabiał na sprzedaży CD. Zamiast mleka dawał mu do picia wodę z cukrem. Sprzedał samochód, by syn mógł nagrać płytę (neomelodici zwykle sami je produkują, sami siebie piratując). A potem Tony ruszył na podbój Neapolu. I udało mu się. Wystąpił na paru scenach zagranicznych. Uświetnił też niejedną prywatną uroczystość.

Neomelodici mają eleganckie koszule, nażelowane głowy, wydepilowane torsy i nigdy nieschodzącą opaleniznę. W ich teledyskach, też nierzadko nagrywanych własnym sumptem, pojawia się czasem – obok sercowych rozterek i pań z ustami jak pontony – numer telefonu (do wykonawcy lub jego agenta). Kluczem jest bezpośredni kontakt z odbiorcą, czyli potencjalnym zleceniodawcą. Chrzesz? Komunia? Ślub? Każde święto może stać się bardziej uświęcone, gdy zaszczyti je idol śpiewający w miejscowym dialekcie czy – jak utrzymują niektórzy – w języku neapolitańskim. Neapol pielęgnuje swą odrębność, co nie oznacza bynajmniej hermetyczności.

Neomelodica podbiła całe południowe Włochy, słucha się jej też w innych częściach półwyspu. Jej gwiazdy, ignorowane przez mainstream, mogą mieć rekordową liczbę fanów, subskrypcji, odsłon i wciąż występować na prywatnych przyjęciach – potrafią obsłużyć dziesięć imprez dziennie, a nawet zaśpiewać serenadę pod oknem; za taką usługę inkasują nawet parę tysięcy euro. Rynek uroczystości to potężny biznes. W dużej mierze kontrolowany przez camorrę.

Podobno camorristi nie mogą żyć bez trzech rzeczy: pieniędzy, kobiet i neomelodiki. Pociąga ich show-biznes, chętnie kładą na nim ręce. Mechanizm jest prosty: chłopak z głosem i bez pieniędzy prosi bossa o wsparcie finansowe i uruchomienie odpowiednich kontaktów. Jeśli zostanie dopuszczony do interesu – do występów na przyjęciach i placach, choćby z okazji święta patrona miasta – może inwestować honoraria w płyty i promocję. Ale musi podporządkować się tym, którzy na niego postawili.

O Tonym Colombo mówi się, że bywa na przyjęciach bossów, że wprowadził



do oficjalnego obiegu ich pieniądze. Mimo to mainstream ugiął się pod jego popularnością: cztery lata temu jego ślub śledziły kamery czółowej komercyjnej stacji Canale 5. Tony poślubił Tinę Rispoli, wdowę po zamordowanym bossie camorry (też odpowiedzialnym za wiele zabójstw).

Wcześniej nagrał utwór „Ti aspetto all’altare” (Czekam na ciebie przed ołtarzem), który ma na YouTube 57 mln wyświetleń. W dniu ślubu Tony’ego i Tyny, okrzykniętego najbardziej kiczowatym wydarzeniem roku, Neapol doświadczył paraliżu. Za przejazdu karocami i inne parady para została ukarana mandatem.

### Jakież ból mam w sercu!

Niko Pandetta. Wyróżnia się na mapie neomelodiki tym, że łączy ją z trape. Oznacza to inny image: tatuaże na całym ciele, z twarzą włączając, ponure spojrzenie. Zdjęcia ze złotym pistoletem i plikami pieniędzy, w które wydmuchuje nos. Wszystko to w celi, gdzie notabene spędził jedną trzecią życia. Swoje płyty wydał za kradzione pieniądze. Był oskarżony o handel narkotykami, oszustwa podatkowe i pogroźki wobec dziennikarki, która opowiedziała o jego koneksjach i nielegalnym koncercie. Pochodzi z Katanii, jest spokrewniony z wpływowym bossem cosa nostry Salvatore Cappello,

zwanym „Turi càchiti” (od „rób pod siebie” – frazy, której używał, zwracając się do ofiar przed pociągnięciem za spust). To właśnie z myślą o wujku Turim, odsiadującym od 30 lat dożywotni wyrok, powstała piosenka „Dedicata a te”. Mowa w niej o tym, że wspomniany wuj, „pan miasta”, był dla artysty szkołą życia, nauczył go żyć z honorem.

W utworach neomelodiki pobrzmięwa często nienawiść do pentiti (skruszonych, którzy opuścili szeregi organizacji), więc i tu: „To przez nich, przez skruszonych, jesteś zamknięty za 41 bis. Jakież ból mam w sercu, gdy podczas widzenia nie mogę cię objąć!”. Właśnie, 41 bis. Każdy Włoch wie, że to artykuł kodeksu karnego stosowany wobec mafiosów. Przewiduje surowy reżim więzienny, izolację (pojedyncza cela, brak dostępu do wspólnych przestrzeni, ograniczona możliwość korzystania z tzw. godziny powietrza i widzeń, które odbywają się przez szybę). „Dedicata a te” cieszy się ogromną popularnością w sieci, a fani zapewniają piosenkarza: „jesteś wielki”, „jesteś dumą Katanii”, „chcę iść z tobą do więzienia”.

Na razie Pandetta poszedł do Rai, do programu, w którym wyraził swój afekt wobec jednego z bossów związanej ze stiddą (nowa mafia sycylijska). Odnosił się też do zamachów na słynnych antymafijnych sędziów Falcone i Borsellino, sugerując, że w tych przypadkach śmierć jest ceną, jaką płaci się za własne wybory. W innej sytuacji, spytany, czy jego muzyka wspiera zorganizowaną przestępczość, odpowiedział: „Mafia nie istnieje”.

### Tak, jestem uwięziony

Tommy Riccio. Neapolitańczyk z krwi i kości, już jako dziecko śpiewał na miejskim placu. Starszy od większości kolegów. Roberto Saviano, autor „Gomorry”, nazywa go ojcem neomelodiki opowiadającej o mafii. Powodem jest utwór i wideo z 1993 r. „Nu latitante” – historia mężczyzny, który ukrywa się przed wymiarem sprawiedliwości. Niczego nie posiada, nikomu nie może zaufać. Nie może spędzić świąt z rodziną, dać dzieciom prezentów. Nie może spać, nie może zaznać spokoju. Takie to są mniej więcej słowa i zdaniem Saviano mogą się w nich przejrzyć setki osób – ukrywających się członkowie mafii i ich rodziny. To właśnie obecność tematyki mafijnej w tekstach neomelodiki jest (obok jakości artystycznej) głównym elementem odróżniającym ten gatunek od klasycznej pieśni neapolitańskiej.

W rzeczywistości nie tylko mafia jest tu ważna. Chodzi też o pokazanie tego, czym żyją zapomniane przez Boga, a na pewno przez państwo, dzielnice. Canzone classica korzystała z wersów poetów. Prezentowała światu Neapol pocztówkowy, ten od „O sole mio”, mandoliny i pizzy. Ten rozstawiony przez Caruso. Czas jej rozkwitu to wiek XIX i lata przedwojenne. Zresztą ponoć pierwszą rzeźcą, jaka odrodziła się w zrujnowanym przez wojnę Neapolu, była piosenka... Neomelodica wykształciła się w latach 80. – jako odpowiedź na kryzys pieśni neapolitańskiej, a jeszcze bardziej na kryzys społeczny. Na pogłębiający się podział między „bella Napoli” a dzielnicami, które z pięknem niewiele mają wspólnego, za to z degradacją, przemocą – owszem.

Zdaniem historyka Marcella Ravveduto z uniwersytetu w Salerno neomelodica stała się dla Neapolu tym, czym był hip-hop dla Ameryki. Jej twórcy wzięli na warsztat to, co klasyczna pieśń pomijała: historie uzależnień, wczesnego seksu, igrania z prawem. Nic dziwnego,

Taki muzyczny gryps. Parę lat temu grupa mafiosów osadzonych w więzieniu pod Neapolem nagrała wideo do piosenki Tommy’ego Riccio „Si sto carcerato” – żeby zademonstrować, że ich klan jest silny również za kratkami. „Tak, jestem uwięziony” – oświadcza bohater piosenki. „Taki był mój życiowy wybór”.

### Jesteśmy dziećmi Boga

Daniele De Martino. Przedstawiciel najmłodszego pokolenia neomelodici, uwielbiany przez nastolatki. W teledysku do utworu „Stanotte” wygląda na poddanego reżimowi 41 bis. Sam wcieli, pisze list miłosny do dziewczyny: „Moje serduszko, jak się masz? Nie wyobrażasz sobie, jak mi ciebie brakuje. Znoszę to w milczeniu, nie pokazuję po sobie, jak mi źle”. Podobnie jak Pandetta wyraża frustrację z powodu szyby pancерnej i zapewnia: „Nie umarłem, jestem tutaj. Powiedz to tym, którzy udają, że zapomnieli”. De Martino zamieścił w mediach społecznościowych parę zdjęć z mafiosami i śpiewał na ślubie córki przemynika narkotyków powiązanego z 'ndrangheta

miała wzięć na celownik artystów, którzy propagują subkulturę mafijną, służą apologii przestępczości. Mitologizują postaci bossów, a nawet bywają ich tubą. Oczywiście neomelodici mają własną narrację. De Martino twierdzi, że fotografuje się „ze wszystkimi”, bo jest piosenkarzem, i że w swych utworach opowiada przeróżne historie („Dziś mogę mówić o miłości, jutro o adwokacie czy bossie”). Co do występów na zaproszenie mafiosów: „Telefony odbiera moja agencja – dopóki nie wsiądę do samochodu, nie wiem, dokąd jadę. Nie mnie oceniać innych, śpiewam dla wszystkich. Bo wszyscy jesteśmy dziećmi Boga”.

Są też kobiety. Maria Nazionale (prawdziwe nazwisko!) i Emiliana Cantone, która dostała pieniądze „na karierę” od ojca. Obie traktują nazwę „neomelodica” niczym stygmat: „Italia nas zna, ale nie uznaje. Myślą o nas: nieprofesjonali, nie wiadomo, kto za nimi stoi...”. Tylko nieoficjalna królowa Neapolu Giusy Attanasio, której fanki tatuują sobie na ciele jej autografy i jeżdżą za nią od miasta do miasta, szczyści się tym, że jest piosenkarką neomelodiki. Że może wejść ze swoją muzyką do domów (u nas powiedziałoby się „pod strzechy”).

Dla większości wykonawców neomelodica to plan na życie. Szansa na wybiecie się z tzw. nizin społecznych. Na odczarowanie niefartu związanego z narodzinami w niewłaściwym miejscu. Zwykle zapatrzeni są w Gigiego D’Alessio, który, śpiewając na podobną co oni nutę, odniósł usankcjonowany przez mainstream sukces (jest nawet jurorem w „The Voice”). By pozyskać jak najwięcej odbiorców, „z włoszczył się”. Piosenki jego naśladowców to zwykle hybrydy językowe: parę wersów w dialekcie, parę po włosku. Neomelodici potrafią opowiedzieć batalię neapolitańczyków w iście epicki sposób. Pokazać camorę przez pryzmat trudnych emocji i wyborów: tu boss, który idzie pod rękę z lękiem i odwagą, tu kobieta, która zajmuje miejsce uwięzionego męża, gotowa go pomścić... „Współczesna piosenka włoska niemal całkowicie zignorowała te tematy” – zauważa Roberto Saviano. „Neomelodici żyją w tym świecie i o nim opowiadają. Czasem go idealizują, innym razem przez niego cierpią”. Owszem, są tandetni, czasem karykaturalni – przyznaje pisarz. Ale nie ukrywa, że więcej nauczył się o swoim mieście z ich piosenek niż z dziesiątków artykułów, z jakiegokolwiek traktatu czy eseju, wywiadu czy powieści.

JOLANTA MARIA BERENT



Daniele De Martino

że w piosenkach pojawia się też (w mniej czy bardziej zawoalowany sposób) camorra, a czasem sycylijska cosa nostra. To z Kampanii (regionu, którego Neapol jest stolicą) wywodzi się fronna – specyficzna pieśń śpiewana głośno, a cappella. Często przez większą grupę i często improwizowana. Wykonywana na polach, przez obnośnych handlarzy przywołujących klientów... i służąca do komunikowania z więźniami. Śpiewali ją pod celami ich bliscy – by okazać wsparcie czy przekazać zaszyfrowaną wiadomość.

(mafia kalabryjska). Przekazał nawet nowożeńcom wiadomość od uwięzionego ojca: „Kto urodził się wolny, nie może umrzeć w niewoli”. Dwa lata temu komisarz Palermo ostrzegł piosenkarza, i zalecił mu działać „w zgodzie z prawem”, a we wrześniu ubiegłego roku De Martino dostał zakaz występów w mieście. Podobne zakazy wydano w paru innych miastach. Z inicjatywy parlamentarzystki Stefanii Ascari powstał też projekt ustawy nakładającej odpowiedzialność karną za gloryfikację mafii. Z założenia

# Mea pulpa



czyli kronika popkulturalna  
Kuby Wojewódzkiego

Nie milkną echa wywiadu Jakuba Rzeźniczaka na temat jego zdrad przed- i małżeńskich. Jedną z partnerek piłkarza, Ewelina Ślotała wyznała, że mu wybacza, gdyż „ma w sobie mnóstwo uroku”. Ja mam tak samo z naszą kadrą narodową.

Wokalista Ralph Kaminski wraz z firmą Kubota wypuścił na rynek gumowe klapki ze swoim wizerunkiem. Cena – 235 zł. W związku ze zbliżającymi się wyborami przypominam: klapki nosimy na nogach. Nie na oczach.

Dokładnie 2 mln zł ma zarobić skoczek narciarski Piotr Żyła za walkę ze Sławomirem Peszką na gali Clout MMA. Piotr często mówi, że jak dobrze skacze, to nie pamięta skoku. W tym przypadku może być tak samo.

Co trzeba zrobić w polskim show-biznesie, aby zostać zauważonym? Wystarczy włożyć bukiet lilii do muszli klozetowej, tak jak to uczynił Filip Chajzer. Pierwsza napisała o tym studentka dziennikarstwa Dominika Kowalska z serwisu Gazeta.pl. Coś ją łączy z tematem. Kłapa.

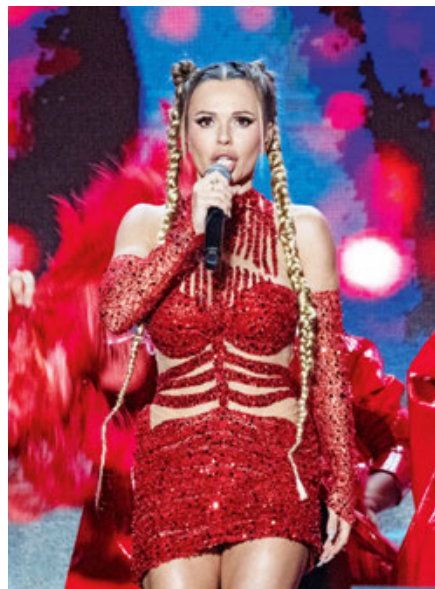
Joanna Krupa nagrała utwór z zespołem disco polo Łobuzy. „Może Ziemia jest płaska, ale nie moja laska. Taka amerykańska, chociaż z małego miasta. I don't wanna jeść, I don't wanna spać, I just wanna sia-lala all night”. Utwór ma zwrócić uwagę na problemy zwierząt. Niestety zwraca uwagę na problemy ludzi.

Netflix zapowiada kolejną adaptację prozy Jakuba Żulczyka, tym razem będzie to powieść „Wzgórze psów”. Żulczyk ma niezwykłą trafność w mrocznej narracji o Polsce. Czasami nawet jednym słowem. Na przykład „debil”.

„Nie ukrywam, że byłbym szczęśliwy, gdybym miał wnuki” – powiedział prezydent Aleksander Kwaśniewski w rozmowie z Piotrem Jaconiem w TVN24. Piotra Jaconia to oburzyło. Piotra Jaconia dużo ostatnio oburza. A mnie dużo śmieszy. Dlatego jestem szczęśliwszy niż on.

Brokowiec „Super Express” poinformował naród, że Krystyna Janda chadza w dziurawych butach. To już prawie jak prezes. Ale on, aby ukryć zniszczenia i zmylić Tuska, wkłada dwa różne.

Empik wypuścił na rynek audiobook z legendarną bajką naszej młodości pt. „Przygody Baltazara Gąbki”. I to nie w byle jakiej obsadzie – z Wiktorem Zborowskim i Robertem Makłowiczem w rolach głównych. Postaci Szpiega nie ujawnię, bo pan Antoni woli sam.



© JAN GRACZYŃSKI/EAST NEWS

Jarosław Jakimowicz wystosował apel na Instagramie: „Posłuchajta dewianty, trzecia pięć i inne patologie. Nie wchodźcie mi na profil. Nic tam dla was nie ma”. Rzykownie. Jarka obserwuje 1200 osób. I nawet Piotr Jaconi dokładnie nie wie, kto tam jest kim.

Sylvia Bomba skomentowała słynny wywiad Jakuba Rzeźniczaka i uznała, że powinien siedzieć cicho. Pełna zgoda. To jest was teraz dwoje.

Katarzyna Kozłowska przestaje kierować dziennikiem „Fakt”, co robiła przez ostatnie cztery lata. Kobieta na czele brukowca bezceremonialnie atakującego inne kobiety pisała książki dla dzieci o tym, że każdy jest wyjątkowy. Tu są potrzebne albo wakacje, albo grupa wsparcia.

Aktorka Monika Mrozowska ujawniła publicznie, jakie otrzymuje alimenty od swego byłego męża Macieja Szaciłto. W sieci burza. Na szczęście Sylvia Bomba zabrała i w tej sprawie głos. Są różne rodzaje bomb. Oświetlające, głębinowe czy, jak w tym przypadku, próżniowe.

W TVN Turbo ruszy nowa odsłona programu „Automaniak”. Do grona prowadzących, czyli Adama Kornackiego i Patryka Mikiciuka, dołączy stand-uper Rafał Pacześ. Dobry ruch. Poczucie humoru jest jak sportowe samochody. Nie każdy je ma.

Kultowy paradokument Polsatu pt. „Pamiętniki z wakacji” powróci na antenę. Rozpoczęto castingi do nowych odcinków. Serial opowiada o przygodach rodaków w ciepłych krajach. A to może być trudne. Jarosław Kaczyński raz wyjechał za granicę i do dziś się nie otrząsnął.

Jest. Obecny. Niewycięty. Do kin trafiła właśnie kolejna część filmu „Mission: Impossible” – „Dead Reckoning Part One”, a w niej Marcin Dorociński i to od samego początku. Wciela się w postać kapitana okrętu podwodnego „Sewastopol”. Wszystko wskazuje na to, że jego postać wypłynie w części drugiej.

Podczas finału Igrzysk Europejskich, będących zmurą księgowych i twórców memów, wystąpiła bezkompromisowa **Doda**, która tradycyjnie wystąpi wszędzie. Gratulacje. Śmieszność to cena, którą płacimy za szczerłość, bezkompromisowość i paskudny charakter.

# Dupka pomidora



**W**yobraźmy sobie, że Polska z Polską idą na terapię par. Na początku myśleli/ały sobie, że będą mówić sobie wszystko, żyć długo i szczęśliwie. Po czasie okazało się jednak, że rozmawianie przychodzi im z trudem. Co rusz popełniają wobec siebie kardynalny błąd atrybucji – jeśli ja zapomnę o twoich potrzebach, to dlatego, że ostatnio mam za dużo na głowie, ale jeśli ty zapomnisz, to dlatego, że masz wredny charakter. Jeśli ja dam ciała, to z powodu czynników zewnętrznych, a jeśli ty się pomylisz, to jesteś nieuważny/a. Ja jestem skomplikowana/y, twoje zachowania są czarno-białe.

Gdy „ja” oznacza Polskę liberalną czy lewicową, wówczas po drugiej stronie relacji widzi głupotę, brak dobrej woli i agresję. Jeśli natomiast „ja” uosabia Polskę konserwatywną, nacjonalistyczną, po drugiej stronie dostrzega tylko samych zdrajców i egoistów. Nie ma prawdziwych ludzi, są fantazje.

Esther Perel, terapeutka i badaczka, która w swoich wykładach na temat intymności często odwołuje się do mechanizmu błędnej atrybucji, zdiagnozowałaby związek Polski z Polską jako relację w głębokim kryzysie. Nie ma tu już zaciekawienia złożonością partnera/ki, innością, nie ma chęci szukania wspólnej płaszczyzny – jest odmowa komunikacji.

Perel dodałaby pewnie, że w takim stanie pary chętniej słuchają zdania osób, które im potakują, niż tych, które mówią, że praca nad związkiem wymaga zdania sobie sprawy, że nie ma racji po jednej stronie. Tak jak w relacjach prywatnych, tak i w systemowych wolimy bowiem komunikować się w „bańkach” – tu wiadomo, co kto powie i dlaczego. A jest to – jak ostatnio podkreślał w rozmowie z Tomaszem Stawiszynskim badacz komunikacji Bogdan Balicki, tylko pozorny dialog. Faktycznie to rozpad rzeczywistości. Skoro każdy z nas mówi osobno i nie słucha drugiego, to nie mamy żadnego wspólnego świata.

W internecie krąży rozmowa o polaryzacji, którą jakiś czas temu wspomniana Esther Perel odbyła z Yuvalim Noahem Hararim. Ona mówiła o relacjach codziennych, on o poziomie relacji systemowych, zgadzali się jednak co do meritum. Jeśli odmawiasz komunikacji, jeśli nie chcesz już rozmawiać, to pozytywne rozwiązanie konfliktu przestaje być możliwe. W parze czy w innym partnerskim związku możesz się rozstać, wziąć rozwód, żeby uniknąć agresji i eskalacji. Ale w państwie? Na płaszczyźnie społecznej? Co możesz zrobić – podzielić kraj na pół? Przygotować się na wojnę domową? No, ewentualnie wprowadzić autorytarne rządy, w których relacje będą jedynie mechanicznym obsługiwaniem ustalonej przez wszechwładnego „rodzica” codzienności.

Kiedy przestajesz słuchać, zaczynasz walczyć. Nawet jeśli druga strona nie zasłużyła sobie na wysłuchanie, to słuchanie pozostaje jedyną pokojową metodą bycia razem – podkreślają Perel i Harari. I za przykład podają bogatych starszych białych mężczyzn, którzy już się

nagadali, więc powinni zamilknąć. Uciszenie ich nie oznacza jednak, że grzecznie się wycofają. Jeśli nie będą mogli wyrażać swoich poglądów, zaczną walczyć

– poniżać, bić, coraz bardziej się radykalizować. Natomiast ci, którzy po wiekach bycia uciszczanymi słusznie domagali się oddania im głosu, będą się coraz bardziej ich bać, coraz bardziej nienawidzić. W końcu sami zaczną działać i walczyć. Wet za wet. Polaryzacja będzie stopniowo poszerzać pęknięcia między jednostkami i grupami, aż zmienia się w ziejące zapadlisko.

Tak – są osoby, których nie chcielibyśmy słuchać. Chcemy rozvodu od nich, chcemy, żeby zamilkli. Ale rozwód na poziomie społecznym oznacza też odejście od demokracji. Tymczasem to rodzaj relacji, jaki uznaliśmy za najbardziej sprawiedliwy, różnorodny, pełen dialogu i nieustannej pracy. I tak – on działa, jeśli rzeczywiście pracujemy, a najczęściej wcale to nie jest przyjemna praca. Jeśli ma być realna – to jak w naszych prywatnych relacjach, wymaga uważności i wysiłku. Ale wychodzi nam na zdrowie – jest w naszym, jak mówią Perel i Harari – najsmardziej pojętym własnym interesie. W interesie naszego przetrwania. Bardziej niż nie rozmawiać, opłaca się nam rozmawiać. Oraz uświadomić sobie, że – o dziwo – ludzie generalnie częściej się zgadzają ze sobą niż nie. To politycy, którym zależy na tworzeniu podziałów, bo na tym opierają się ich kariery, podkreślają różnice między nami, żerując na naszej skłonności do błędnej atrybucji.

**T**ymczasem to, czego dziś nam i demokracji potrzeba, to – jak mówi Perel – komplementarność. Świadomość, że tylko razem mamy rację. Potrzeba nam zgody, która nawet nie dotyczy tego, o co aktualnie toczy się spór (np. kryzys uchodźczy, klimatyczny), ale takiej domyślnej.

Pięknie o tym mówiła mi kiedyś podkasterka Joanna Okuniewska. Drobnostki, pozornie bzdurne, na przykład czy gdy kroisz pomidora, to odkrawasz twardy zielony kawałek, czy go zjadasz – stanowią dla niej o istocie bycia człowiekiem. Zdaniem Asi zanim zapyta się kogoś o poglądy polityczne, trzeba zapytać o tę dupkę pomidora. Zdaniem Okuniewskiej, jeśli nie ma poczucia powiązania na takiej zwyczajnej płaszczyźnie, trudno o wytworzenie siostrzeństwa lub braterstwa wokół bardziej dzielących tematów.

W życiu, które nie jest autorytarnym koszmarem, są same niejednoznaczności. Utrzymanie się w tej ambivalencji nie jest jednak łatwe. Od razu chce nam się czmychać do komfortu pozorów. Trzeba nam więc treningu z utrzymywania złożoności tematów. Mniej imb na Facebooku, a więcej polemik, mniej plotek, a więcej historii. Chodzi nie o temat, ale o formę – żeby język małał, gdzie jest grunt pod nogami. Zamiast lecieć ze swoimi argumentami, można zadawać pytania drugiej stronie, zmienić narzędzia. Opowiadamy sobie historie, żeby żyć, mówiła reporterka Joan Didion. Można dodać, że opowiadamy je sobie także po to, żeby żyć razem. Polska z Polską.

KAROLINA SULEJ



# Bezpańskie miesiące

**P**o zakończeniu roku robi się więcej czasu. To się czuje, nawet jeśli człowiek od dawna już nie chodzi do szkoły. Przed nami dwa bezpańskie miesiące. A może więcej, może dojdzie jeszcze początek września, jakiś nadliczbowy piątek z weekendem, ułamany czubek kolejnego sezonu.

To wielka zaleta szkolnego kalendarza – jego lata są rozsunięte. Pomiędzy zeszytym i przyszłym zostaje szczylna. Pusta działka zarośnięta nawłocią i wrotyczem. Są to dziczale tygodnie, gdy wszystko może się wydarzyć.

O tej porze ludzie robią remonty. Chwytają za świdry, wiertarki udarowe. Coś zrywają, burzą, miażdżą. Montują kotwy, wkrety i dyble Fischera. Tysiące dybli. Dom drży. Rzeczywiście, nasz dom trochę się zesterzał. Dawno temu zbudowali go gasterbeiterzy, wyrwani z własnych domów mołdawscy inteligenci. To był ich debiut w budowlance, tuż po upadku ZSRR. Ściany lepili z zaprawy, czasem wciskając kawałek cegły w cementowe ciasto. Wyszło nawet nie najgorzej, tylko głos się niesie jak echo po Dniestrze.

Latem sąsiedzi robią remonty. My z Martą nie remontujemy, jeszcze nie w tym roku. Na razie wieszamy pocztówki i plakaty. Przyczepiamy w kuchni bilety i papierki od cukierków. Portrety Ai Weiweia oraz Mamy Muminka (są nawet nieco podobni). Ani to galeria, ani ikonostas: reprodukcje Antoniego Michalaka, Marka Chagalla i Marty Ludwiszewskiej, seria zdjęć z fotobudki oraz kalendarz z obrazami Carla Larssona. Strach pomyśleć, co by o takim zestawie powiedziała profesor Poprzęcka.

Jest też koperta z niepokojącym napisem „Rachunki” i wyblakłe zalecenia od pani doktor M., wspomnienie zimowego dnia, gdy udało się zdobyć numerka do przychodni.

Jakiś rok temu Marta zdjęła plakat edukacyjny „Ptaki spotykane w mieście” i powiesiła w tym miejscu Europę fizyczną.

– Muszę to widzieć – powiedziała. Teraz oboje nie spuszczały oka z fizycznej Europy. Prądy morskie są niebieskie i czarne. Granice zaznaczono czerwonymi liniami. Już nie sprawdzamy, którędy się jedzie do Bretanii albo Włoch. Szukamy, gdzie jest Narwa. Próbuje zlokalizować Przesmyk Suwalski. Porównujemy brzegi Dniepru.

Wojna przypomina o geografii. Przypomina o prawdziwych odległościach. Bagnach, górach, rzekach. Wojna zawsze wraca na miejsca dawnych zbrodni. Szuka znajomych przełęczy i sprawdzonych przepraw. Oblega te same miasta. Naciera tymi samymi drogami, co przed laty.

- Gdzie jest Rostów?
- Gdzieś na południu – mówię.
- Gdzie jest Woroneż?

– Wroni nóż – mówię, bo tylko tyle pamiętam o Woroneżu: Mandelsztam był tam na zesłaniu.

Tymczasem najemnicy mają swój benefis. Swój Marsz na Trzeci Rzym. Znajdujemy na mapie drogę M2. Czarna nitka ciągnie się od Rostowa aż do pajęczycy Moskwy. To tylko osiem godzin jazdy.

Na pierwszych zdjęciach widać czołgi i znajomą socrealistyczną architekturę. Jakby ktoś plac Hallera przemalował na żółto. Najemnicy mają jeszcze sześć godzin do Moskwy. Płonie baza paliwowa. Jeszcze cztery godziny. Płonie helikopter. Jeszcze dwie.

Kiedy nie wiadomo, co jest grane, zostają nam cytaty. „Rosja zniknęła w ciągu dwóch dni, góra trzech. (...) To zdumiewające, że wszystko rozpadło się w jednym chwili (...) Trzy dni, może tylko dwa, i już nie było Cesarstwa, nie było Cerkwi, nie było armii ani klasy robotniczej. Co pozostało? O dziwo, zupełnie nic”. Tak pisał Wasilij Rozanow w 1917 r.

Zaczynamy odliczanie, ale tym razem Rosja jakoś nie znika. Nie chce się rozpaść. Może tam już nie ma co się rozpadać? Może została tylko rzeźba terenu i społeczna próżnia? Wojna domowa trwa wszystkiego 24 godziny. Potem dowódca wsiada do czarnego SUV-a. Wygląda jak wściekły hydraulik. Tłumy mu wiwatują. I dalej nic nie wiadomo.

Powoli kończą się truskawki, nadchodzi pora czereśni. W mieście wszystko niby działa, tylko niewiele już można załatwić. Spróbuj się z kimś umówić. Zawsze się okaże, że właśnie jest w Grecji lub Bułgarii.

Zaczynają się remonty torowisk. Robotnicy zrywają asfalt z kolejnych ulic. Wieczorami nad Wisłą widać tłumy. Zachód słońca potrafi zebrać więcej ludzi niż Donald Tusk. (Chociaż mniej niż Beyoncé).

Lipcowe noce mają swoją ścieżkę dźwiękową. Po północy muzyka milknie, gasną grille na podwórkach i w ogródkach. Z Grochowskiej dochodzi szum. Jakiś samochód oddala się i zbliża. Krąży jak mucha. Ktoś wrócił z miasta i wystukał kod. Domofon warczy, ustępuje, piskiem odlicza czas swojej przychylności. Szczękają drzwi. I cisza.

Wiosną byłem na konferencji z udziałem ukraińskich i rosyjskich emigrantów. Pisarka z Kijowa opowiadała o pierwszym nalocie. Kiedy już odwołano alarm, wyszła na balkon. Usłyszała znajomy odgłos. Z ciemności dobiegało terkotanie kółek. Ludzie pakowali najpotrzebniejsze rzeczy. Brali lotnicze walizki i torby. Miasto pustoszało.

Lipiec to negatyw grudnia. Dzień nie potrafi się na dobre skończyć. Ledwie zapada ciemność, a zaraz się budzą ogłupiałe ptaki. I znowu słychać domofon. Trzaśnięcie. Turkot kółek na chodniku. Nie, nic. Wszystko w porządku. To tylko ktoś z sąsiadów wyjeżdża na wakacje.

MARCIN WICHA

# Egzamin na rodzica



**B**o zupa była za słońca” – czy ktoś pamięta jeszcze kampanię społeczną uwrażliwiającą na zjawisko przemocy domowej? Nie wiemy, czy coś zmieniła w powszechnym podejściu do tego zjawiska, na pewno zostały po niej memy. Kiedy Polską wstrząsnęła tragedia małego Kamila, wszyscy byli zszokowani. Temat nie schodził z pierwszych stron gazet i tylko nieliczni zastanawiali się, czy z powszechnego oburzenia coś jeszcze wyniknie. A może jakimś cudem ustąpi ciche przyzwolenie na przemoc stosowaną głównie wobec kobiet i dzieci, zaś rodziny ofiar, sąsiedzi, kadra pedagogiczna w przedszkolach i szkołach oraz powołane do tego instytucje zaczną wreszcie reagować. Słowem, czekano na drugi cud nad Wisłą.

W kraju marzeń wyłożono by miliony na kolejną kampanię społeczną. Zawodowcom pracującym z ofiarami przemocy zaczęto by wypłacać adekwatne pensje, za-inwestowano by też w szkolenie nowych specjalistów. Ale w państwie, w którym zabiera się fundusze chorym na raka i ogranicza dofinansowanie instytucji, które zajmują się przeciwdziałaniem przemocy – cóż, na inwestowanie w podnoszenie świadomości obywateli nie ma co liczyć. Lepiej pogodzić się z myślą, że w kraju Janusza Korczaka rządzi i nadal będzie rządzić przemoc.

„Problem w Polsce polega na tym, że nie ci mają dzieci, co trzeba” – pada zdanie w filmie Borysa Lankosza „Ciemno, prawie noc”, na podstawie powieści Joanny Bator o tym samym tytule. Fikcja artystyczna trafnie punktuje rzeczywistość. Fabuła książki i filmu oparta jest na rozwikłaniu zagadki tajemniczych zaginięć dzieci w Wałbrzychu. Im dłużej trwa śledztwo, tym więcej wątków wychodzi na jaw. W każdym z nich ofiarą jest dziecko. Spirala przemocy wydaje się nie mieć końca, a zaczyna się od pokolenia wstecz. Klasyczna historia: pradziadek bił, dziadek bił, tak samo tata, to i syn bije swoje dzieci, przynajmniej bachory będą posłuszne.

Po każdym ujawnieniu losu nieletniej ofiary przemocy, po kolejnym nagłośnieniu afery pedofilskiej (i ten wątek porusza film), nasuwa się pytanie: dlaczego rodzice nie wierzą dziecku, gdy skarży się na molestowanie ze strony księdza? Dlaczego nie staną murem za synem czy córką, nawet gdyby sąsiedzi mieliby ich wytykać palcami? Czemu dobro dziecka nie jest dla nich najważniejsze?

Przyczyn takiego zachowania można pewnie szukać w dzieciństwie rodziców. Kryje się za tym najczęściej doświadczenie przemocy lub porzucenia. Koło się zamyka: skrzywdzony krzywdzi, a na zło nie reaguje, bo sam od zawsze tkwił w patologicznych relacjach. Innych nie zna, więc piekło, na które skazuje własne dziecko, wydaje mu się normą. Wyjście z zaklętego kręgu agresji i poniżenia jest trudne, choćby dlatego, że ofiara nie zawsze ma świadomość, że dzieła jej się krzywdą. Skoro przemoc wpłata się w rodzinną tradycję, osobie pokrzywdzonej

trudno pojąć, że doświadczyła czegoś nieakceptowalnego. A co za tym idzie, nie rozumie, że krzywdzi, kiedy bije własne dziecko, wykorzystuje je lub udaje, że nie widzi, gdy spotyka je zło.

Normą jest też zamykanie spraw pod dywan. Z jednej strony cisza, jaka zapada wokół rodzinnych burd, z drugiej brak słów, którymi można nazwać to, co się dzieje. Na dokładkę pojawia się wstyd przed wyrażeniem emocji. Bo przecież ten, kto mówi dużo o sobie, jest egoistą. Ten, kto wyznaje, że się boi, jest tchórzem. A ten, kto płacze, jest mazgajem. Ocenianie, osądzanie, upadlanie, to kolejne pietra przemocy i prosta droga do zamykania ust ofiarom.

Lęk przed nazywaniem stanu rzeczy nie dziwi. Na wypowiedziane słowa wypada zareagować, podjąć konkretne działania. A przecież łatwiej jest zrobić unik, odesłać dzieciaka do odrabiania lekcji czy służenia do mszy. Ponadto dorośli, którzy sami wyszli z przemocowych domów, nie widzą w dziecku człowieka, czyli kogoś, z kim można porozmawiać, kogo należy szanować, wysłuchać. Nie są dzieci ciekawi. Tresują je za pomocą bicia i wrzasku albo ignorują ich istnienie, uznając, że nie będą rozmawiać z bachorami. Wiadomo, dzieci i ryby głosu nie mają.

**T**ymczasem poniżenie i bicie jest łamaniem prawa. Niektórzy próbują doprowadzić do ukarania przemocowców, ale w Polsce różnie się to kończy. Niedawno przedszkolanka z Białegostoku, zaniepokojona śladami na ciele dziecka, zawiadomiła dyrekcję. Ta jednak postanowiła nie interweniować. Zamiast tego zwolniono z pracy wychowawczynię. Białostoczanka twierdzi, że to dlatego, by zatuzować sprawę bitych i zaniedbanych dzieci.

Gdzie jest policja? Dobre pytanie. Podobnie jak to, dlaczego opieka społeczna nie robi, co do niej należy, a sąsiedzi nagle głuchną i ślepną. Równie ważne zagadnienie to: co my byśmy zrobili, widząc, że ktoś bije dziecko? Jakimi dorosłymi sami jesteśmy? Panujemy nad agresją, również werbalną, czy też wyładujemy na słabszych nasze frustracje? Oprócz tych, których stać na autorefleksję, chodzą po świecie również ludzie głęboko zaburzeni lub chorzy, którzy nie potrafią nad sobą zapanować. To o nich w dużej mierze jest film „Ciemno, prawie noc”. Co nie zmienia faktu, że większość tzw. mikroagresji dokonują „zwykli ludzie”, tacy, po których nikt by się tego nie spodziewał. Tacy są przecież mili, kulturalni, pachną drogimi perfumami, kiedy idą na niedzielny spacer z rodziną. No, sielanka! A za zamkniętymi drzwiami groza.

„Nie ci mają dzieci, co trzeba” – niestety, częściowo to prawda. Pytanie, co z nimi zrobić? I jak uchronić ich dzieci przed odtwarzaniem przemocowych wzorców, którymi nasiąknęli od małego? Niedawno billboardy oblepione były napisami „Gdzie są TE dzieci?”. Mamy propozycję erraty: „Gdzie jest szacunek dla dzieci?”.

SYLWIA CHUTNIK, GRAŻYNA PLEBANEK

# Blisko i egzotycznie



Już  
w kioskach  
i na  
[sklep.polityka.pl](https://sklep.polityka.pl)



Zapraszamy na profil <https://www.facebook.com/projekt-pulsar/>,  
a także na [polityka.pl/podkasty](https://polityka.pl/podkasty) do wysłuchania rozmów  
z cyklu „POLITYKA o historii”

## POLITYKA o historii: nowe odcinki podcastu

**L**ato w pełni, dlatego przygotowaliśmy dla Państwa aż trzy rozmowy o tematyce historycznej – idealne do słuchania na plaży lub w drodze na wakacje.

Najdłuższa rzeka w Polsce miała ogromny wpływ na historię naszego kraju. A miałyby jeszcze większy, gdyby nie była tak kapryśna – dzika, piękna i zaborcza. O tym właśnie Agnieszka Krzemińska rozmawia z prof. Andrzejem Chwalbą, autorem książki „Wisła. Biografia rzeki”, historykiem z Uniwersytetu Jagiellońskiego. Z kolei prof. Marcin Zaremba, zwykle występujący jako gospodarz podcastu, napisał książkę o latach 70. „Wielkie rozczarowanie. Geneza rewolucji Solidarności”. Stąd tym razem wystąpi w roli gościa, a przepytwał go będzie prof. Wiesław Władysław.

Do kompletu mamy jeszcze podcast o dzieciństwie w czasach Gomułki i Gierka, wolności bez kontroli dorosłych oraz rozpowieszchnionej wobec dzieci i między nimi przemocy. O tym właśnie opowiada prof. Marcinowi Zarembie historyczka prof. Barbara Klich-Kluczevska.

Rozmowy POLITYKI – nie tylko zresztą o tematyce historycznej – znajdują Państwo na [polityka.pl/podcasty](http://polityka.pl/podcasty), a także na: Spotify.com, Apple Podcasts i Google Podcasts.



Niestety, obraz o małżeństwie Magdaleny Abakanowicz jest niepełny i nie odpowiada temu, co wiem z wieloletniej znajomości z jej mężem i nią. Otóż w latach szkolnych od 1946 r. znałem i przyjaźniłem się z Jankiem Kosmowskim. Od 1953 r. znałem także Magdę Abakanowicz. Bliska znajomość z obojgiem trwała do ok. 1966 r. Wspólnie z innymi osobami uczestniczyliśmy w parotygodniowych wycieczkach zimowych w Tatrach polskich, które organizowałem z przyjaciółmi regularnie każdej zimy w latach 1954–58 i w 1964 r. Poznali się oni właśnie podczas tych wypraw narciarskich. Spotykaliśmy się także przy innych okazjach towarzyskich w Warszawie, a także podczas wspólnej dwutygodniowej wycieczki trzema kajakami przez jeziora augustowskie i Czarną Hańczę w lipcu 1960 r. Byłem także świadkiem ślubu Magdy i Janka (6 października 1956 r.). Zamieszkali początkowo w 13-metrowej kawalerce przy ul. Szczuczyńskiej na Saskiej Kępie w Warszawie, a później w alei Stanów Zjednoczonych.

W tym okresie ich relacje były jak najlepsze, była to niewątpliwie para ludzi w sobie zakochanych. Po 1965 r. nasze kontakty stały się rzadsze i stopniowo zanikły, zapewne w wyniku intensyfikacji działalności artystycznej Magdy i pełnego zaangażowania Janka w organizowanie jej licznych wystaw, podróże i sukcesy wszelkiego rodzaju. Spotkałem tylko raz Janka w latach 80. Niemniej w okresie, kiedy ich znałem, związek sprawiał wrażenie idealnego i zdecydowanie nie można napisać, że ślub z Jankiem Kosmowskim był czymś w życiu Magdy nieważnym, decydującą podjętą bez namysłu – przed ślubem byli przecież ze sobą już od dwóch lat. Tymczasem niestety z lektury fragmentu książki, poświęconego początkom związku Magdaleny i Janka, można odnieść takie wrażenie.

Bardzo możliwe, że Paweł Kowal nie zdołał po prostu dotrzeć do osób, które znały Magdalenę Abakanowicz i Jana Kosmowskiego w tamtym okresie – przecież prawie wszyscy uczestnicy tamtych wycieczek i spotkań już nie żyją. Dlatego właśnie postanowiłem napisać w tej sprawie, ponieważ najpewniej jestem ostatnią żyjącą osobą, która pamięta relację Magdaleny Abakanowicz i jej męża z początków ich znajomości i małżeństwa.

ANDRZEJ M. BRANDT



## Jak wyglądały początki małżeństwa Magdaleny Abakanowicz

**Z**ainteresowaniem przeczytałem w POLITYCE 21 znotatkę autorstwa Piotra Sarzyńskiego o książce Pawła Kowala „Abakanowicz. Trauma i sława”. Ponieważ przyjaźniłem się wiele lat z Magdą i Jankiem Kosmowskimi, chcę podzielić się z czytelnikami tej cennej książki kilkoma uwagami. (...) Imponująca objętość książki (532 strony) i liczne ilustracje decydują o znaczeniu tej pozycji wydawniczej we współczesnym piśmiennictwie na temat sztuki w Polsce i na świecie. Autor dzieli się swoją obszerną wiedzą na temat życia i sukcesów najwybitniejszej współcześnie artystki polskiej. Wiedzę tę uzyskał po wszechstronnych studiach jej drogi życiowej i wielkich sukcesów. Liczne ilustracje pozwalają na przedstawienie wybranych fragmentów twórczości, a obszerne opisy – na poznanie jej życia. Podziwiam znakomity styl i bogaty język, a także trafność wyboru ilustracji, pozwalam sobie jednak na drobne, lecz istotne uzupełnienia treści.

## Vito, czyli Mateusz

**W**POLITYCE 21 błędnie podałem prywatne imię Vito Bambino: w rzeczywistości to Mateusz Dopieralski, a nie Mariusz. Za pomyłkę przepraszam.

BARTEK CHACIŃSKI

Administratorem Państwa danych osobowych jest Polityka Sp. z o.o. SKA z siedzibą w Warszawie 02-309, ul. Słupecka 6. Państwa dane osobowe będą przetwarzane w celu udzielenia odpowiedzi na Państwa listy i mogą zostać opublikowane w tygodniku POLITYKA, chyba że Państwo zastrzegli ich nieujawnianie (art. 15 ust. 2 pkt 1 ustawy Prawo prasowe).

<b>POLITYKA</b>	<b> Członkowie Zarządu</b> Joanna Sojska, Mariusz Janicki, Wiesław Władysław <b> Z-cy Redaktora Naczelnego</b> Mariusz Janicki ( <i>Pierwszy Zastępca</i> ), Witold Pawłowski, tel. 22 451-60-03 Łukasz Lipiński ( <i>wydania cyfrowe</i> )	<b> Prenumerata Papierowa</b> <a href="http://www.sklep.polityka.pl">www.sklep.polityka.pl</a> Infolinia: tel. 67 210 86 30, e-mail: infolinia@polityka.pl Monika Kaliszuk-Radzko, tel. 22 451-61-00, 451-61-15 e-mail: prenumerata@polityka.pl	Sprzedaż bezumowna numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez Wydawcę jest zabroniona, nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.	Przedruk po uzyskaniu zgody Wydawcy. Kontakt: Maciej Domagała, tel. 22 451-61-25, e-mail: m.domagala@polityka.pl
WYDAWCA POLITYKA Spółka z o.o. SKA Adres ul. Słupecka 6 02-309 Warszawa	<b> Biuro Reklamy</b> tel. 22 451-61-36, tel./faks 22 451-61-37 e-mail: reklama@polityka.pl Izabela Kowalczyk-Dudek ( <i>dyr.</i> ), Julian Sobiech ( <i>reklama cyfrowa</i> ) <b> Projekty specjalne</b> tel. 22 451-61-93 Za treść ogłoszeń redakcja ponosi odpowiedzialność w granicach wskazanych w ust. 2 art. 42 Ustawy Prawo Prasowe	<b> Prenumerata Cyfrowa</b> <a href="http://www.polityka.pl/cyfrowa">www.polityka.pl/cyfrowa</a> Infolinia: tel. 22 336-79-16, e-mail: cyfrowa@polityka.pl	Copyright © POLITYKA Spółka z o.o. SKA	Druk Quadra www.izbapras.pl
<b> Recepcja Główna</b> tel. 22 451-61-33, 451-61-34; tel./faks 22 451-61-35 Adres internetowy <a href="http://www.polityka.pl">www.polityka.pl</a> Poczta elektroniczna <a href="mailto:polityka@polityka.pl">polityka@polityka.pl</a>	Konto: POLITYKA, Spółka z o.o. SKA BGZ BNP Paribas S.A. 18 1750 0009 0000 0000 1004 2763 SWIFT: RCBWPLPW	Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułów, w tym artykułów na aktualne tematy polityczne, gospodarcze i religijne opublikowanych w POLITYCE jest zabronione.	PBC lepa passion process technology PRINTED IN POLAND	



## Bardziej narcyz niż orchidea

Wysoka wrażliwość to termin, który zrobił w ostatnich latach zawrotną karierę. Jednak czy uprawnioną? Psychologowie mają wątpliwości. Zresztą nie tylko oni.

RELACJE

**S**łuchaj, a może ty jesteś WWO?” – zareagowała znajoma, gdy poprosiłam ją, żebyśmy się przesiadły, bo nad naszym stolikiem świeciła mocna jarzeniówka, a obok ktoś jadł tortillę. Tak, przeszkadzają mi takie rzeczy. Nie, nie jestem WWO, czyli wysoko wrażliwą osobą. Skąd to wiem? Już wyjaśniam.

Gdy usłyszałam o teorii amerykańskiej psychoterapeutki Elaine N. Aron, też dałam się jej uwieść. Pod etykietą WWO – opisaną w poradniku „Wysoko wrażliwi. Jak funkcjonować w świecie, który nas przytłacza” – mieli się kryć empatyczni wrażliwcy, łatwo przebodźcowujący się, miewający *meltdowny*, nierozumiani przez innych. Porównywano ich do delikatnych orchidei wśród odpornych mleczy. W poradniku znalazł się test, który pomagał się zdiagnozować. I tu pojawił się problem, który zaczęły wkrótce sygnalizować psychologowie: według Elaine Aron do tej grupy miało należeć 20 proc. ludzkości, a jednocześnie każdy człowiek znajdzie w kwestionariuszu WWO jakieś swoje cechy lub predyspozycje.

Psycholog Artur Król ma więcej zastrzeżeń: nie podoba mu się wrzucenie do jednego worka takich



**Grażyna Morek**  
– dziennikarka prasowa, przez lata szefowa działu Zdrowie w miesięczniku „Twój Styl”, zajmująca się problematyką zdrowotną, psychospołeczną, pisze o zmianach stylu życia Polaków.

stwierzeń, jak „mam bogate, skomplikowane życie wewnętrzne”, „do głębi porusza mnie sztuka i muzyka”, „czuję się roztrzęsiony, gdy mam dużo do zrobienia w krótkim czasie” czy „głód wywołuje u mnie silną reakcję, tak że tracę koncentrację czy pogarsza się mój nastrój”. – *Nieprofesjonalne jest to, że można przypisać sobie wysoką wrażliwość, jeśli odpowie się twierdząc na jedno czy dwa zagadnienia spośród dwudziestu kilku, o ile tylko uznamy, że odnoszą się do nas „w bardzo dużym stopniu”* – ocenia psycholog.

Prawdą jest, że ludzie różnią się, jeśli chodzi o poziom wrażliwości sensorycznej. Można również być osobą wysoko (lub nisko) reaktywną emocjonalnie. Natomiast sama wrażliwość układu nerwowego w żaden sposób nie tłumaczy tak wielu cech i zachowań, które są opisywane jako charakterystyczne dla WWO. Weźmy choćby trudność z uspokajaniem się czy wrażliwość na przemoc. Te cechy odpowiadają w psychologii koncepcji zwanej neurotycznością i nie mają nic wspólnego z wrażliwością sensoryczną. Miłość do sztuki i muzyki? Bywa wyuczona. Wiedząc o tym, psycholożka Marta Niedźwiecka i psychoterapeutka Joanna Gutral z SWPS w jednym z odcinków podcastu „O zmierzchu” głośno skrytykowały teorię o WWO i zebrały za to cięgi. – *Wysoko wrażliwe osoby piły do nas ostre wiadomości. Udowodniano nam, że teoria Aron jest odkrywcza i udokumentowana badaniami. Jakimi? Oczywiście prowadzonymi przez samą Aron, jednak nigdzie niezreplikowanymi* – mówi Niedźwiecka.

**O** ile pozytywnym skutkiem popularności koncepcji Aron może być docenienie specyfiki funkcjonowania i odczuwania osób introwertycznych, to jednak w tym, co głosi amerykańska psychoterapeutka, specjaliści od zdrowia psychicznego widzą zagrożenie: jest nim przypisywanie WWO cech, które mogą wskazywać na zaburzenia podlegające psychoterapii, a nawet leczeniu psychiatrycznemu. Przykłady? – *Do cech, zachowań rzekomo typowych dla WWO zaliczane są takie, które mogą wskazywać na zaburzenia obsesyjno-kompulsywne, lękowe, borderline, narcystyczne zaburzenia osobowości, depresję, zespół stresu pourazowego* – tłumaczy Marta Niedźwiecka.

Wszystkie te obszary, gdy są niezdiagnozowane, z czasem powodują narastanie problemów. „Jestem wysoko wrażliwy/wrażliwa, więc się nie zmienię” to coraz częstszy argument samozwańcych WWO w kłótniach z partnerami. – *Zamiast realnie mierzyć się z rzeczywistością, WWO oczekuje przywilejów, bo to jej jest ciężko. I tu jest prawdziwy problem – ludziom może być ciężko, ale jeśli problemy emocjonalne kogoś przerastają, to lepiej iść do specjalistów, żeby je rozwiązywać, niż złościć się na świat, że jest niesprawiedliwy* – dodaje Niedźwiecka.

**Z** teorii Elaine Aron zrobiło się zjawisko na styku popkultury i poppsychologii: od lat ma swoich wiernych fanów, którzy dadzą się pokroić za słuszość zawartych w koncepcji argumentów. A to dlatego, że odnaleźli w niej swoje dotychczas niedoceniane lub krytykowane przez otoczenie cechy i na WWO budują swoją nową „lepszą” tożsamość. Bardziej to jednak pachnie narcyzmem niż orchideą. ■

# Rodzic mądry przed szkodą

TECHNO

W ykupując polisy ubezpieczeniowe na wakacje, warto pomyśleć o prewencji, czyli jak uniknąć wypadków, aby potem nie płacić za nie zdrowiem, także dzieci. Z pomocą przychodzi technologia. – *Warto pamiętać, że dmuchane rękawki, materace czy krokodyle to nie jest sprzęt ratunkowy, tylko zabawki, które pomagają utrzymać się na wodzie, ale kiedy przewróci je fala, to mogą wręcz utrudniać wydostanie się z wody i zasłonić tonącego* – mówi Rafał Nowak, ratownik WOPR. W ostatnich latach pojawiają się jednak gadżety, które mogą realnie poprawić bezpieczeństwo najmłodszych nad wodą. Są to **opaski, które mają wbudowany nabój z CO<sub>2</sub>** i po pociągnięciu zawleczki aktywują zbiornik. Kiedy napełni się on gazem, unosi się na powierzchni wody niczym balon, a z nim jego właściciel. Kolejne rozwiązanie dotyczy tych, którzy zamiast zatłoczonych plaż wolą odpoczynek w domu z basenem. W tym przypadku można wykorzystać inny wynalazek: elektroniczny strażnik basenu (Poolguard), który po wykryciu kontaktu dziecka z wodą uruchamia alarm. Technologia wykrywania działa powyżej 8 kg, więc nie ma obawy, że będzie się włączać za każdym razem, kiedy do wody wpadnie liść lub piłka.

Coraz więcej nowych technologii powstaje też z myślą o bezpiecznym podróżowaniu z dzieckiem na pokładzie.



Ciekawym pomysłem jest system, który może być zamontowany w dziecięcym foteliku w formie klipsa, klamry czy poduszki. Wysyła on powiadomienie na telefon w przypadku rozpięcia pasów bezpieczeństwa, nieodpowiedniej temperatury ciała lub zbyt długiego okresu podróżowania. Jeśli wybieramy się w dalszą podróż, to zgodnie z zasadą „maksymalnie 2 godz. jazdy i 20 min przerwy”, dostaniemy też przypomnienie o zrobieniu postoju. Z tym gadżetem spada także ryzyko pozostawienia dziecka w rozgrzanym samochodzie. We Włoszech systemy przeciwporzuceniowe są obowiązkowe dla przewożących dzieci do lat 4, za ich brak grozi mandat do 326 euro i pięć punktów karnych.

Pomocnym rozwiązaniem podczas wakacyjnych wyjazdów mogą być także lokalizatory GPS, dostępne zarówno w telefonach komórkowych, zegarkach, jak i w postaci breloczka przyczepianego do ubrania malucha. Wskazują współrzędne położenia, ale bywają też wyposażone w przycisk SOS, który dziecko może nacisnąć w sytuacji awaryjnej. Wersją ekonomiczną i obowiązkową dla każdego rodzica powinna być zaś przynajmniej opaska z danymi, którą zakłada się jak bransoletkę, a w środku umieszcza kartkę z numerem telefonu opiekuna oraz informacjami o alergiach i przyjmowanych przez dziecko lekach.

Wszystko po to, aby tegoroczne wakacje zapamiętać tylko pozytywnie, a potem bezpiecznie wrócić do domu.

NINA BAUMANN

# Co nowego dropnęło?

SŁOWO

O tóż dropnęło słowo „sprigożynować”. Błyskawicznie, jak wszystkie neologizmy tworzone od nazwisk. Wystarczy, że piłkarz nie strzeli karnego, a zawodnik MMA nie stawi się na walkę – i już mają swój ślad w naszym giętkim języku. Nawet gdy nie pamiętamy nazwiska, da się to jakoś ominąć – jak przy zwrocie, który pojawił się po niedawnej porażce polskiej reprezentacji: „być bezwzględny jak mołdawski napastnik”. Tym razem jednak padło na człowieka, którego oszczędzać nie trzeba, czyli **Jewgienija Prigożyna**, rosyjskiego oligarchę dowodzącego Grupą Wagnera, prywatną armią najemników. Można więc przytoczyć hasło, które pojawiło się w polszczyźnie (a przynajmniej trafiło do społecznościowego słownika Miejski.pl) w ciągu kilku godzin po nieudanym marszu Grupy Wagnera na Moskwę. To czasownik „sprigożynować”. A definicja brzmi: „Zrobić komuś wielką nadzieję i wycofać się w ostatniej chwili”.

Słowo to „dropnęło”, bo pojawiło się nagle, wyskoczyło nieoczekiwanie. To oczywiście od angielskiego *drop*, które wśród wielu

znaczeń ma m.in. upuścić, a w nomenklaturze wojskowej oznacza „zrzut”. W Polsce znamy je dobrze z klubów techno, gdzie „drop” oznacza moment kulminacji, gdy po krótszym lub dłuższym wstępie wchodzi bęben basowy z miarowym, tanecznym rytmem do tańca. Albo z półek sklepowych – bo „album drop” to premiera płytowa pojawiająca się nagle, bez zapowiedzi. No i przede wszystkim z gier wideo, gdzie mianem dropu opisuje się wszystko, co zostawia po sobie zabity przeciwnik. Mówi się (bez większej konsekwencji), że potwór albo przeciwnik w grze dropi, czyli rozrzuca wokół siebie różne przedmioty, ale także – że my dropimy, zbierając to wszystko. Nie można sobie za ten drop kupić samochodu w prawdziwym życiu, ale można nabyć różne dobra w grze – zazwyczaj, jak to w militarnych rozgrywkach – lepszą broń albo dodatkowe siły zbrojne. Wszystko po to, żeby zakończyć ostateczny marsz po zwycięstwo. Albo w pewnym momencie sprigożynować.

BARTEK CHACIŃSKI



## MÓWIĄ RYMY

Nie muszę być 10/10, żeby być kim chcę  
To nie punk, to nie lady, to jest pop song,  
baby

**Kacperczyk, Moje najlepsze lata, 2023 r.**  
10/10 = ideał

## Ogon jakby krótszy

Na polskich ulicach dominuje słodycz. Rodacy, niezależnie od płci, kochają ulepne pachnidła. Ponieważ wiele osób aplikuje je „na bogato” i sięga po tańsze klony markowych perfum, ciągną się za nimi mocarne waniliowo-kadziłlane ogony (fr. *sillage*). Ale trendy perfumiarskie się zmieniają.

**S**kąd u nas ta słabość do zapachowej słodyczy? Może to efekt kolektywnej pamięci olfaktorycznej i sięgające Rzeczpospolitej szlacheckiej zapatrzenie w pachnący ciężko Orient? Może głód z przeszłości i skojarzenie zapachu wanilii z luksusem, a może Proustowska potrzeba powrotu do dzieciństwa? Nie jesteśmy jedyni, bo choć na Dalekim Wschodzie pachnidła zbyt słodkie i agresywne uchodzą za nieeleganckie, w światowej branży perfumiarskiej od pojawienia się w 1992 r. „Angel” Thierry’ego Muglera perfumy *gourmand* (fr. łasuch) sprzedają się najlepiej.

Co prawda w niszy każdy kraj ma trochę inne zapachowe preferencje, ale globalizacja i reklama robią swoje. – *Nowością na tegorocznych targach perfum w Mediolanie były nuty wytrawnego jedzenia, np. warzyw, ale jednocześnie stale powracają te stare, z tym że w innych odstonach, jako neoszypr czy neofougère* – zauważa bloger Rafał Janta ([charlienose.pl](http://charlienose.pl)). Zaskoczeniem może być tryumfalny powrót róży, która przez lata uważana była za babciną i banalną, a teraz stała się podstawą nieoczywistych kombinacji i w wersji z paczulą awansowała na jeden z ulubionych zapachów młodych paryżanek.

– *W świecie zapachów mocno mieszają media społecznościowe. Influencerzy potrafią z dnia na dzień wprowadzić perfumy niszowe do mainstreamu, co napędza produkcję ich tańszych klonów* – zauważa blogerka Katarzyna Kamińska ([edpholiczka.pl](http://edpholiczka.pl)). Nowym zjawiskiem jest zbliżanie się tych dwóch światów. – *Pachnidła rzemieślnicze zaczynają przypominać mainstreamowe, a zapachy wielkich firm perfumiarskich skracają w stronę niszę* – podkreśla Rafał Janta. Nadal

jednak istnieje jedna różnica: podczas gdy niszę nie dzieli zapachów na płcie, uznając, że kobieco można się czuć także w męskiej lawendzie, a męsko w damskiej róży, w drogeriach sieciowych nadal znajdziemy oddzielne półki z perfumami dla pań i panów. Wszystko przez to, że większość ludzi oczekuje podpowiedzi. Indywidualne dobieranie zapachu wymaga wysiłku, olfaktorycznego obycia i znajomości własnej skóry, która nie każdą nutę zapachową lubi. Za to osoby, które ten wysiłek wykonają, mogą łączyć różne zapachy w zależności od humoru, pory roku, okazji, dzięki czemu pachną wyjątkowo, co też jest bardzo *à la mode*.

Coraz silniej przenika za to do mainstreamu trend na nieperfumy. Będące przeciwieństwem natarczywych „bestii” pachnidła o nazwach „Skin”, „I Don’t Know What”, „Aqua Universalis” mają subtelnie podkreślić zapach ciała (*Your Skin but better*) dzięki nutom czystości, świeżości deszczu, dotyku bawełny czy słonej wody. – *Trend ten przybrał na sile w pandemii, gdy zamknięci w domach potrzebowaliśmy ukojenia i komfortu. Otulające nieperfumy nie atakują otoczenia, tylko sprawiają, że czujemy się lepiej we własnej skórze* – tłumaczy Katarzyna Kamińska. Nie ma szans, by na polskich ulicach wyczuć te minimalistyczne, precyzyjnie skonstruowane zapachy.



### Agnieszka Krzemińska

– archeolożka i dziennikarka działu naukowego POLITYKI, autorka trzech książek popularnonaukowych, w tym o higienie i dbaniu o urodę w przeszłości, „Dawniej ludzie żyli w brudzie”. Perfumoholiczka.

**N**a pewno w laboratoriach „wielkich nosów” już rodzą się nowe pomysły, bo mody szybko przemijają, gusta i potrzeby się zmieniają (np. teraz przykłada się coraz większą wagę do tego, by perfumy były ekologiczne, wykonane z naturalnych składników), techniczne możliwości rosną. Jest od jakiegoś czasu moda na odtworzenie zapachów z przeszłości, z tym że te, które powstają, są impresjami na temat oryginałów, bo każdy zapach wymaga unowocześnienia, nawet produkowany od ponad 100 lat aldehydowy Chanel No 5.

Jednak każdy perfumoholik zachowuje stare flakoniki, bo jeśli znajdujący się w nich płyn nie zjełczeje, będzie jak wehikuł czasu – jeden niuch cofnie nas w przeszłość. Nauka tego nie potrafi, a zapach – jak najbardziej. ■

# Jedz, stój i Kochaj

Przed knajpami kolejki, w cukierniach jagodzianki grozy, a w księgarniach album do gotowania brzydkich potraw ze znanych filmów. Proste jedzenie jest na fali, chociaż może wymagać wysiłku.

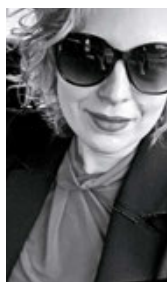
**J**ak przywita pięknie nas warszawski dzień? Pewnie kolejkami. I nie, nie cofnęliśmy się do czasów, w których Czesław Niemien skomponował „Sen o Warszawie”, a Marek Gaszyński napisał do tej melodii tekst (1966 r.). Przed najmodniejszymi kawiarniami i bistrami – nie tylko w Warszawie – od rana jest więcej głodnych niż stolików. Czasy, gdy tyleż gorącym, co sarkastycznym pytaniem w mediach społecznościowych było: czy jest kolejka do Manekina, stołecznego miejsca serwującego naleśniki, minęły (choć profil o dokładnie tej nazwie nadal obserwuje ponad 2 tys. osób). Kolejka została znormalizowana jako element wyjścia i jak była, tak jest. Naleśniki to żadna filozofia kulinarna, jednak nęcą jak wędkarz płotki w mazurskim jeziorze. Inne popularne bistra, pod którymi trzeba odstać od kilku do kilkudziesięciu nawet minut, serwują równie proste dania: racuchy, tosty, jajka we wszelkich formach. Hitem są też kanapki – tak, również z pastą z jajek. Pragmatyk pewnie by się zastanowił, dlaczego ludzie inwestują tyle czasu i pieniędzy w coś, co mogą mieć w domu szybciej i taniej.

Kiedyś w sieci krążył mem ze zdjęciem chłopaka z papierowym kubkiem kawy i tekstem: „Zamiast iść do Starbucksa, zrobię sobie kawę w domu, krzyknę głośno przekreślone swoje imię i podpalę pięciodolarowy banknot”. Był to oczywiście komentarz do zwyczajów panujących w tej kawiarni, która udaje kumpla, pisząc imię klienta na papierowym kubku i stosunku ceny do jakości napoju. Naszym polskim odpowiednikiem pewnie byłoby jagodzianki grozy, których cena w to inflacyjne lato potrafi dobić nawet do 30 zł.

Nie o rozsądek w posiłkach „na mieście” jednak chodzi, tylko o ekonomię przyjemności. Proste dania nie wymagają wysiłku w przygotowaniu ani w jedzeniu, bo nie trzeba wysłuchiwać monologów kelnerów na temat połączenia emulsji z chmurą czy akcentem. A jak mówi izraelska socjolożka Eva Illouz, autorka m.in. książki „Uczucia w dobie kapitalizmu”: „Obecnie większość ludzi konsumuje, aby poprawić jakość swoich relacji społecznych”. W jej teorii wprawdzie chodzi



TREND



## Ola Salwa

– absolwentka psychologii, dziennikarka z 20-letnim stażem. Píše o filmie, modzie i zjawiskach społecznych, konsultuje scenariusze, jest członkinią Europejskiej Akademii Filmowej.

głównie o konsumpcję dóbr niejadalnych, ale dodaje w rozmowie z portalem Thewire.ch, że gdy zbierała materiały do książki i pytała ludzi, co im się kojarzy z romansem, najczęściej mówili, że wspólna kolacja przy świecach i picie szampana. Do tego pakietu można spokojnie dorzucić umówienie się na kawę, śniadanie czy brunch – po uprzednim odstaniu swojego w kolejce.

**P**roste jedzenie daje poczucie komfortu i bezpieczeństwa, nie musi być ani ładne, ani elegancko podane. Przekonuje o tym książka kucharska „Scrounging” („Wyżebiane”), wydana właśnie przez A24 – amerykańską firmę dystrybuującą i produkującą filmy i seriale, w tym ostatnio „Bo się boi” Ariego Astera. A24 znana w kręgach kinofilskich z odważnych ruchów artystycznych, tak samo podchodzi do spraw kulinarnych. Wprawdzie wstęp napisał Matty Matheson, szef kuchni z Kanady i jeden z producentów serialowego hitu „**The Bear**”, którego głównym tematem jest gotowanie, ale w książko-albumie nie ma nic w stylu „Uczty Babette”.

Są tu na przykład płatki śniadaniowe na wodzie z niszowej komedii „Friday”, francuski tost rozwiedzonego ojca ze „**Sprawy Kramerów**” czy spaghetti z rakiety tenisowej, jakie widzieliśmy w „Garsonierze” Billy’ego Wildera. Oraz sok arbuzy z filmu „Kapryśna chmura” tajwańskiego mistrza Tsai-Ming Lianga. Redaktorka książki, Margaret Rhodes tłumaczy, że po prostu chciała pokazać, jak ludzie jedzą naprawdę – gdy wracają zmęczeni po pracy albo mieli ciężki dzień. A do obkolejkowanego bistro nie mają ochoty się wybrać, byśmy dodali.

A co możemy wziąć z polskiego kina? Może makową posypkę z „Magnata” albo „Kotlet z psa, trzeciej kategorii, przemielony razem z budą” z „Psów”? Najlepiej, jeśli ten przepis będzie podany w wersji audio, czytany oczywiście przez Marka Kondrata. ■

Właśnie zakończył się sezon na zdobywanie Mount Everestu. Himalaizm się zmienia. Najistotniejszym problemem w wyprawach jest ekologia i mentalność wspinaczy.



P O D R Ó Ż E

## Kolejki na Everest to nie problem

**T**eraz to na Everest może wejść każdy” czy „jak zapłaci, to go wniosą” – takie głosy o wysokogórnym wspinaniu można dziś usłyszeć coraz częściej. Tymczasem na szczęście wcale tak nie jest. Owszem, czasy się zmieniły i dysponujemy coraz lepszym i lżejszym sprzętem, mamy dostęp do coraz dokładniejszych prognoz pogody, jednak żadne pieniądze nie są w stanie zapewnić dojścia na szczyt ani zagwarantować, że nie stracimy przy tym życia. Lawiny, szczeliny, zimno, niedotlenienie czy też po prostu pech mogą pozbawić życia każdego, niezależnie od zasobności portfela i tego, czy idzie sam, czy pod opieką szerpów.

Sezon na zdobywanie Everestu niedawno się skończył, bo w czerwcu przychodzi monsun, co oznacza opady. To dlatego słynny Everest Base Camp (żargonowo: EBC), wielkie namiotowe miasteczko na wysokości 5300 m, działa jedynie wiosną. Nie prowadzi do niego żadna droga dojazdowa (od najbliższej szosy idzie się minimum 10 dni) i nie widać z niego Everestu (wiele osób jest rozczarowanych).



**Monika Witkowska** – podróżniczka, żeglarka, himalaistka. Autorka książek (m.in. „Everest. Góra Gór”) i przewodniczka grup trekkingowych, m.in. w Himalaje. Prowadzi stronę [monikawitkowska.pl](http://monikawitkowska.pl).

Ile trzeba zapłacić za marzenia? Udział w wyprawie to koszt od 20 do nawet 130 tys. dol. Widełki spore, przy czym na cenę wpływa przede wszystkim to, ile butli z tlenem ma się do dyspozycji, w jakim zakresie można liczyć na opiekę szerpów i jakie warunki mieszkaniowe czekają nas w bazie. Tańsza wyprawa oznacza zwykły namiot i materac wprost na lodowcowym podłożu, górny przedział to już zaskakujący jak na taką wysokość luksus.

Przekonałam się o tym w tym roku, zaglądając do namiotów wersji VIP w obozie nepalskiej agencji Seven Summit Treks. Przypominały hotelowy pokój z wielkim łóżem z podgrzewaną pościelą, podłogą przykrytą dywanikiem, przy łóżku znajdowały się gniazdko do ładowania elektroniki (zwykle dostęp do ładowania jest w obozach mocno ograniczony). Była też namiotowa toaleta – przenośny sedes, a sikanie to temat ważny, bo w związku z koniecznością wypijania na wyprawie 4–5 litrów płynów na dobę (warunek prawidłowej aklimatyzacji), załatwiać potrzeby fizjologiczne trzeba często. A wychodzić na zewnątrz, zwłaszcza w nocy, nikomu się nie chce, w zwykłych namiotach regułą jest więc korzystanie z butelek.

**K**ażdy odcinek drogi na Everest ma swoją specyfikę. Mój ulubiony, a zarazem bardzo niebezpieczny fragment wspinania to droga od bazy do obozu 1., kiedy przechodzi się przez tak zwany icefall, labirynt między potężnymi blokami lodowo-śnieżnymi, często wielkości domów, wyrzeźbionymi przez naturę w niesamowite kształty. To właśnie tam są słynne drabinki, poprzeczone nad szczelinami czasami nawet kilkudziesięciometrowej głębokości. Podczas mojej wyprawy w 2013 r. drabinek mieliśmy do pokonania 23, podczas gdy w tym roku było ich zaledwie 5. Jak w danym roku wygląda droga przez icefall, zależy od wycieczających ją szerpów (co roku trzeba to robić na nowo), ale duży wpływ na to ma również globalne ocieplenie.

Ubyło drabinek, za to przybyło... helikopterów. W 2013 r. były raptem dwa, teraz jest ich wiele i latają co chwila niczym powietrzne taksówki. Helikopterami dowożony jest do bazy sprzęt oraz prowiant (transport karawanami jaków czy tragarzy wyraźnie jest w odwrocie), coraz powszechniej też bierze się „heli”, aby zlecieć na „rest” albo zrobić wypad na przysłowiową pizzę do Katmandu.

**J**aka jest przyszłość Everestu? Co roku będziemy czytać o „kolejkach na Evereście”, choć prawda jest taka, że dotyczą one tylko jednego dnia, gdy w najlepszym momencie okna pogodowego na szczyt wyrusza największa liczba osób. Najistotniejszym problemem jest ekologia i mentalność wspinaczy. Jeśli wejście na Everest wynika z prawdziwej miłości do gór, to doskonale, gorzej z tymi, którzy idą na szczyt jedynie w celach autopromocji, nie rozumiejąc gór i nie darząc ich należytych szacunkiem.



## Ser, o którym trudno zapomnieć

Na warsztatach serowarskich nie ma nic na skrót. Na początku dostają odpowiednią czystą odzież ochronną, czyli kitel i czepek w kolorze mleka.

Sery lutomierskie powstają w niewielkiej, rodzinnej manufakturze na Dolnym Śląsku, w otoczeniu Gór Sowich. Od lat ich produkcją zajmują się Stanisława i Malwina Pasternak, które – poza pasją do serów – aktywnie wspierają producentów ekologicznej żywności. To na terenie ich serowarni, w XVIII-wiecznej oficynie dworskiej w Lutomerzu, odbywają się targi lokalnych rolników.

Sery lutomierskie to sery podpuszczkowe miękkie, łatwe w krojeniu, a „kropką nad i” jest posmak ziół. Są to czarnuszka, kozieradka, czosnek, bazylia, pokrzywa, a także orzechy, kwiaty bzu czy nawet czosnek niedźwiedzi, rosnący na łąkach przy rzece w pobliżu manufaktury. Sery są pyszne, znam je od lat i pomyślałam, że chcę wiedzieć, jak się je robi. Pani **Stanisława Pasternak** to kobieta rakieta. Pełna ciepła, humoru i energii. W sercu Dolnego Śląska w Lutomerzu od lat, wspólnie z córką, rozstawia nie tylko sery własnej produkcji, ale też konsekwentnie pokazuje i uczy, jak je robić.

Bierzemy się do pracy. Na tych warsztatach serowarskich nie ma nic na skrót. Na początku dostają odpowiednią czystą odzież ochronną, czyli kitel i czepek w kolorze mleka, i zostają poinstruowana o zasadach zachowania higieny pracy. Wchodzimy do sterylnych pomieszczeń serowarni, gdzie pani

Stanisława prezentuje, jak mleko, prosto od krów lokalnych rolników, zostaje poddane procesowi produkcji sera. W jakiej temperaturze, kiedy trzeba oddzielić skrzep i w końcu ręcznie odciągnąć serwatkę. Wszystko trwa około dwóch godzin. Na końcu dostają kilka małych foremek, głównie w kształcie koła i serca. Wciskam do nich ser, obracam do góry nogami i jest. Dostają do posypania zioła i kwiatki. Moje małe serowe dzieła mogę zabrać do domu. Zjadam je jednak od razu.

Na kolejne warsztaty trafiają do **Koziej Zagrody w Brennej**, gdzie jest już inaczej, bardziej po góralsku, a sery owcze i krowie uczymy się wyrabiać w kolybie, czyli miejscu przeznaczonym dla pastery.

Tutaj bardziej przyglądam się kolejnym krokom wyrabiania bundzu z wykorzystaniem drewnianych naczyń pasterskich, czyli pucierzy czy czerpaka. I na koniec oczywiście dostają bundz do posmakowania, ser jest ciepły jeszcze, lekko słodkawy. Takich miejsc jak Kozia Zagroda jest w Beskidzie Śląskim czy na Podhalu bardzo dużo. Można byłoby ułożyć mapę, gdzie

warto zobaczyć lub nauczyć się, jak wyrabiać bundz czy słynny oscypek. Wartość dodana do smaku sera.

Dalej w poszukiwaniu serowych wrażeń jadę na ukończoną Warmię, a konkretnie do wsi Kiersztanowo. Wzdłuż polnej drogi prowadzącej do domu swobodnie biegają „Dziewczyny”. Tak Stéphane i Magda czule mówią o swoich owcach francuskiej odmiany Lacaune. To właśnie z mleka tej rasy produkowany jest znany francuski ser *roquefort*. Właśnie trafiłam do Owczarni Lefevere, gdzie Stéphane i Magda, jak sami mówią, od wielu lat łączą francuską tradycję z dobrodziejstwami polskiego gospodarstwa. Przed przeprowadzką do Polski Stéphane zapytany, czego mu będzie najbardziej brakowało, bez zająknięcia odpowiedział, że sera i wina. Następnie powstał pomysł założenia ekologicznej farmy na Warmii. I wtedy Stéphane, który nie robi niczego na skrót, spędził półtora roku na francuskiej farmie owiec. Po powrocie do Kiersztanowa ruszył z produkcją serów pełną parą. Dziewczyny są tutaj traktowane z czułością i troską. A Stéphane przybyłym gościom pokazuje, jak wytwarzać sery: od mleka, poprzez formowanie sera, aż do jego degustacji. W Owczarni Lefevere powstają sery według ściśle sprawdzonych francuskich receptur. W Owczarni kupicie między innymi ser o wdzięcznej nazwie Biała Owca, czyli świeży owczy ser bez dodatków, oraz te posypane ziołami prowansalskimi, płatkami dzikiej róży, suszoną papryką, makiem i mieszanką cebuli z przyprawami. Jednak dla mnie największym przysmakiem była Czarna Owca, czyli świeży ser owczy posypany dębowym popiołem. Dla niego warto jechać do Kiersztanowa. ■



**Magdalena Gorlas**

– dziennikarka w podróży, autorka tekstów, ciekawa drugiego człowieka. Publikowała m.in. w „Chicago Tribune”, POLITYCE, „Vogue’u”, „Dużym Formacie” czy „Piśmie. Magazynie opinii”.

**O**postawie naszej władzy w sprawie unijnej polityki migracyjnej pisze w „Plusie Minusie” Kataryna: „jeśli nawet wokół sprawy tak kontrowersyjnej i trudnej dla większości państw naszego regionu nie umieliśmy zbudować żadnego sensownego sojuszu, to nasza pozycja w Europie jest naprawdę słaba, a my nie mamy żadnej realnej zdolności koalicyjnej nawet z tymi sąsiadami, których jeszcze nie uznaliśmy za naszych wrogów. (...) Przyzwyczaiałam się już do tego, że obecna władza po prostu rozmawiać nie potrafi i nie ma w zwyczaju, ale nie kupuję narracji, że jest to dowód naszej mocnej pozycji, bo jest dokładnie odwrotnie. Nie liczą się z nami i nie liczą na nas nawet ci, z którymi mamy zbieżne interesy”. Dumni i uprzedzeni.

**P**olitolog z UW Bartłomiej Biskup ocenia wejście prezesa PiS do rządu („Rzeczpospolita”): „To jest ruch wewnętrzny, adresowany do działaczy, członków i koalicjantów. (...) Ale dla rządu obecność Kaczyńskiego w randze wicepremiera nie ma żadnego znaczenia, bo ministrowie, których pozbawiono funkcji wicepremierowskich, zachowali swoje teki w resortach. Nie ma to też znaczenia dla ogółu wyborców, bo Jarosław Kaczyński nie cieszy się wysokim zaufaniem społecznym, zatem jako wicepremier nie będzie bardziej atrakcyjny dla wyborców niż jako prezes PiS”. Innymi słowy, znacząca zmiana bez znaczenia.

**K**piny z nowego wicepremiera nie ustają. Tomasz Jastrun („Przeгляд”): „A w Kancelarii Prezesa Rady Ministrów pojawił się przy rządowym stole dwugłowy premier – jak dwugłowy orzeł. Jako że ten orzeł ma oblicze Morawieckiego i prezesa, widok jest osobliwy”. Zwłaszcza że ten orzeł jedną głowę ma bardziej.

**H**enryk Martenka w „Angorze” szuka jednak pozytywów: „Powrót Kaczyńskiego do rządu – kadrowo, więc ekonomicznie efektywny – mógłby się okazać korzystny, gdyby w każdym ministerstwie zastosowano ten sam gzymsz jeden za czterech. Stałby się wtedy Kaczyński wreszcie społecznie użyteczny, redukując nietani aparat władzy. Rząd Rzeczypospolitej jest czwarty w Europie pod względem liczebności! To wielki rząd jest! Istna kwintesencja

profesjonalizmu! – tuż po rządzie rosyjskim, białoruskim i serbskim. I tamtym, i naszemu wychodzi doskonale tylko jedno: wydawanie nie swoich pieniędzy”.

**W** „Przeглядzie” Attaché notuje ze zgrozą: „Oto szef MSZ Zbigniew Rau zatrudnił Sławomira Cenckiewicza na etacie w archiwum MSZ. Ten etat (czy pół etatu) jest istotny – gdyby bowiem Cenckiewicz zgłosił się do MSZ jako pracownik naukowy, musiałby przejść przez określone procedury. Musiałby prosić pracowników archiwum o określone dokumenty, musiałby przeglądać je na miejscu, wszystko byłoby rejestrowane. Tymczasem jako pracownik archiwum, i to nikomu niepodlegający, robił, co chciał. Mógł wyciągać dokumenty, jakie chciał, mógł je kopiować, miał pełną swobodę. Efektem tej swobody są dzieła publicystyczno-propagandowe, które publikuje”. Idealny kandydat na szefa komisji ds. rosyjskich wpływów.

nie ma uczciwości  
w Komisji Europejskiej  
i nigdy jej nie było.  
nie mam o niej  
dobrego zdania  
– prezydent RP Andrzej Duda  
dla wprost.pl.

**W**przodzień ataku Rosji na Ukrainę tygodnik „Sieci” opublikował obszerny wywiad z ambasadorem Rosji w Polsce. Teraz pismo atakuje okładką: „Dziwna gra ambasadora USA. Czy Mark Brzezinski chce stanąć na czele lewackiej rewolucji w Polsce?”. Należy się nagroda za niezależność. Od rozumu.

**A**ndrzej Stankiewicz („Newsweek”) dostrzegł przedstawię w przedstawieniu, jakim była konwencja PiS: „Ten element show PiS w Turowie jest zdecydowanie niedoceniany: hołdy, które Kaczyńskiemu złożyli wszyscy jego niedawni zdrajcy. (...) Jeden po drugim: Ziobro, Bielan, Girzyński. Wszyscy lecieli pisowszczyzną i wszyscy prezesowi kadzili. (...) Kto potrzebował tych pustych, kłamliwych wystąpień? Prezes i jego ego. Wszystkich zdrajców Kaczyński zagonił pod kopalniane kominy i nakazał przywdziać włosiennice, publicznie się ukorzyć i ucałować sygnet. W ten sposób chciał pokazać, że nie ma życia poza PiS, że jest panem politycznego życia i śmierci zdrajców”.

**W** „Do Rzeczy” Rafał Ziemkiewicz znowu doradza prezesowi: „Jeśli lider PiS sądzi, że dotychczasowa nieskuteczność jego kampanii to problem wyłącznie braku energii i słabej organizacji, a zmiana szefa sztabu wyborczego jest odpowiednią wystarczającą, to się myli. Musi podjąć zasadniczą decyzję: trzymać się dotychczasowej linii i grać tylko o dowiezienie do chwili głosowania obecnego wyniku (...), czy też spróbować czegoś zupełnie nowego, co może pozwoli przebić pułap 40 proc., ale może też dać skutki nieprzewidziane”. Ryzyk-fizyk.

**M**ichał Karnowski z „Sieci” też doradza, a nawet proponuje coś „zupełnie nowego”, choć cokolwiek bełkotliwie: „czas krótkiej przerwy wakacyjnej sztabowcy PiS muszą wykorzystać przede wszystkim na analizę i przebudowę obszaru emocjonalno-personalnego. Kto mówi i do kogo? Czy nie należy zdjąć części komunikatów rządowych? Czy nie czas pójść wspólnie i totalnie w teren, przełamując sztabę, zrywając z rządowym sposobem komunikacji?”. Kto tu mówi i do kogo? – zasadne pytanie.



• TUVALU UCIEKA W CHMURY • MUNDIALOWA GORĄCZKA

Istnieje  
od 1965

# FORUM



N A J C I E K A W S Z E H I S T O R I E Ś W I A T A

nr 15 (14-27.07.2023)

Cena 12,99 zł (w tym 8% VAT)

ODLICZANIE DLA ODRY

Kiedy znowu padną ryby?

IDĄ LASEM

Los rosyjskich dezertarów

PARĘ GŁĘBSZYCH WPISÓW

Co gryzie Miedwiediewa?

TERROR Z TIKTOKA

Mizzerne żarty

Z FAWELI DO PAŁACÓW

Kariera żony Bolsonaro

KTO SZCZUŁ

I CO BYŁO GRANE?

Majowie pamiętają

SPACEY W OPAŁACH

Nowy proces

CAR SYPNAŁ ZŁOTEM

Podróż Krugobajką

GĘSTO OD SZACHISTÓW

Debiut korsykański

RAZ, DWA, TRZY,

PUTIN PATRZY!

Gejowskie kluby w Rosji

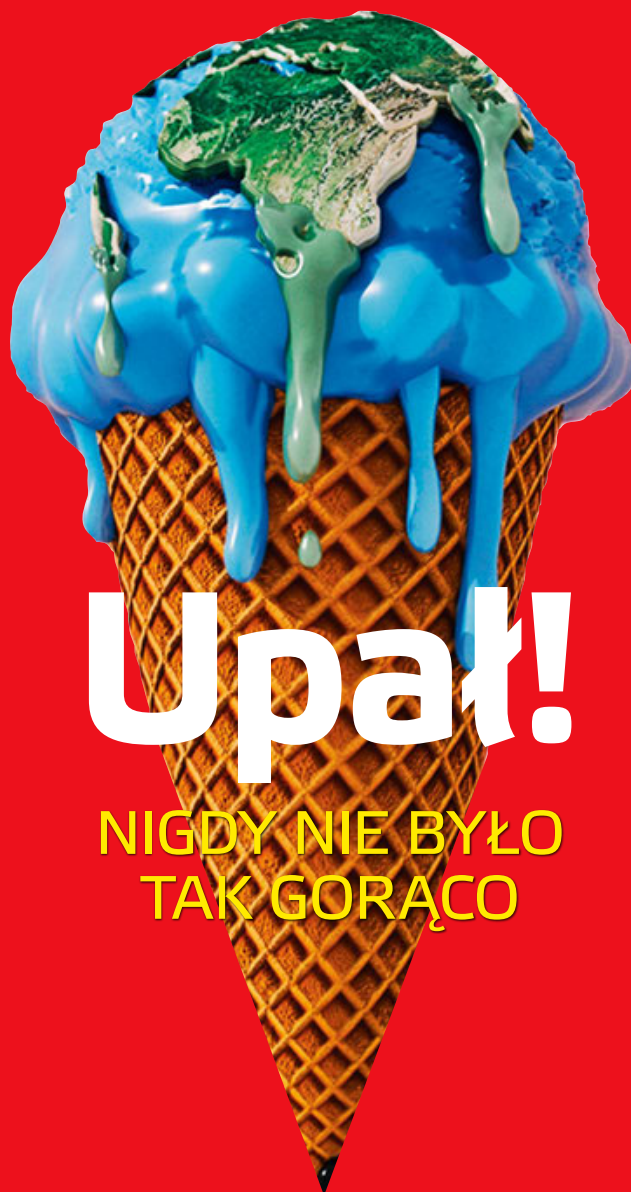
OSTATNIA

DESKA RATUNKU

Moc w jelitach

DZIKA EGZOTYKA

Wypad do Gabonu



# Upał!

NIGDY NIE BYŁO  
TAK GORĄCO

Dwutygodnik **FORUM** – najciekawsze historie świata  
**NOWY NUMER FORUM W SPRZEDAŻY OD 14 LIPCA**

# HALE NAMIOTOWE PROJEKTOWANE NA DEKADY SZYBKI MONTAŻ W KILKA DNI

[www.pol-plan.com.pl](http://www.pol-plan.com.pl)

Nawet  
**25%**  
KOSZTÓW  
TRADYCYJNEJ  
HALI!

**Hale**  
przemysłowe

**Magazyny**  
z dokami  
załadunkowymi

Izolowane  
hale z dachem  
pompowanym  
Lokalne obciążenia  
wiatrowe i śnieżne  
nawet  
do **300kg/m<sup>2</sup>**

Do  
**60m**  
rozpiętości

**POL-PLAN**  
HALE NAMIOTOWE